ROK DWÓCH PLAG
Wyższe podatki nas nie ominą

GŁOSUJ OSTROŻNIE
Premier igra z ogniem, wirus wciąż zabija

SZAMANI GÓRĄ
Amazonio, ty jesteś jak zdrowie

ISTOTA KOTA
Zwierzęta robią z nas ludzi

NA WAKACJE!
Odkryj miejsca sekretne

Kraków 12 lipca 2020 nr 28 (3705) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

JAROSŁAW FLIS
Czyja połowa będzie większa

NATALIA DE BARBARO
Jak żyć w kraju podzielonym

ANDRZEJ STANKIEWICZ
Zdecydują seniorzy

Polska w równowadze

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

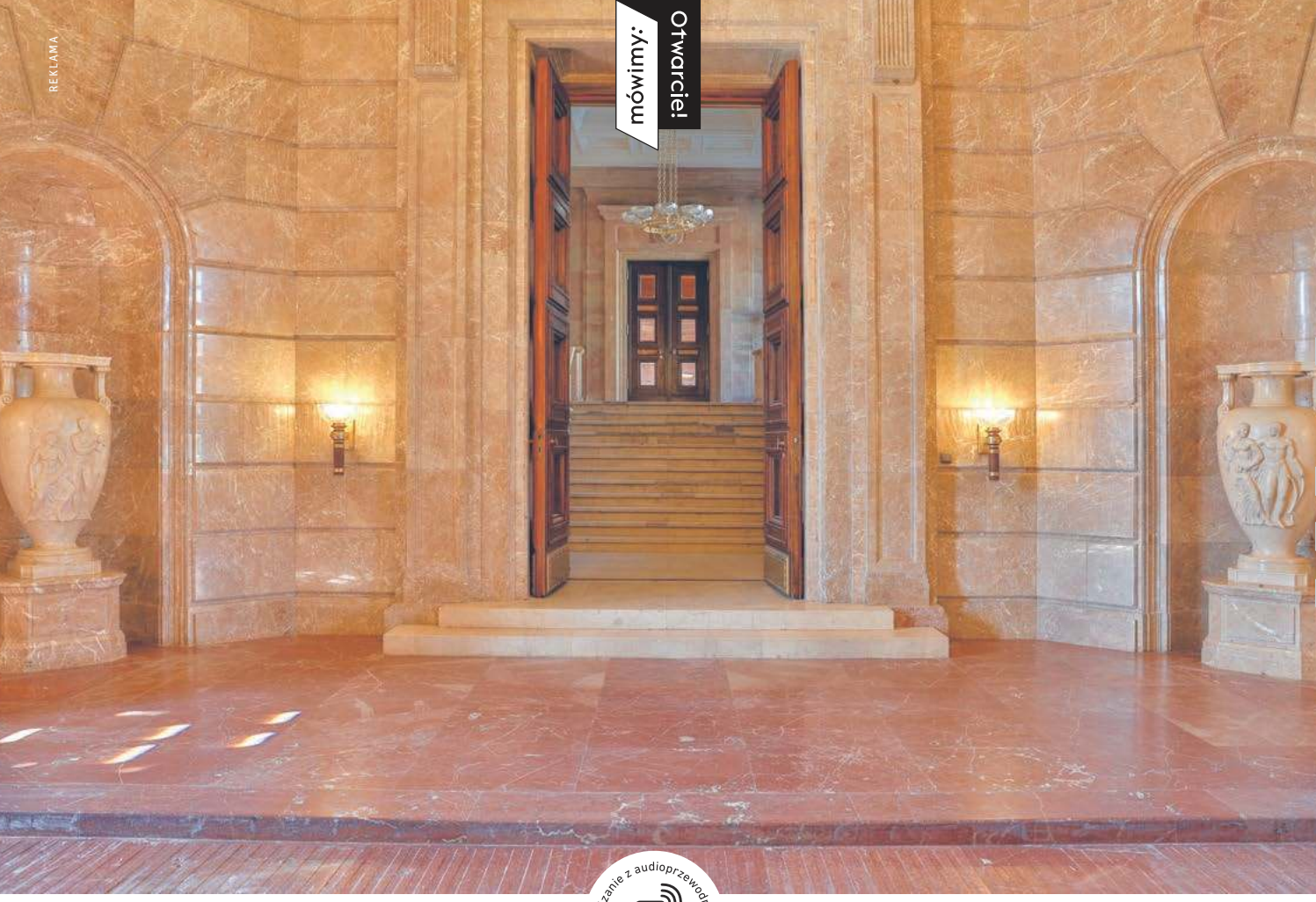

Zwiedzanie z audioprzewodnikiem

Zabytkowe wnętrza Centrum Kultury ZAMEK w Poznaniu wypiękniały!

Przekonaj się od 13.07.

Konserwacja reprezentacyjnych
wnętrz zachodniej części dawnego Zamku Cesarskiego w Poznaniu
i ich adaptacja celem efektywnego wykorzystania dziedzictwa kulturowego

Zrealizowano ze środków Programu Operacyjnego Infrastruktura i Środowisko 2014–2020

Fundusze Europejskie Infrastruktura i Środowisko

Rzeczpospolita Polska

CENTRUM KULTURY ZAMEK

Unia Europejska
Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

KS. ADAM

Boniecki: *Jak będzie po?*

Najpierw będzie szok jednych i euforia drugich (nikt nie wie, których). Przegrani (kimkolwiek będą) będą zaskoczeni: jak to? Jest nas wielu, więcej niż ich, a w dodatku to my mieliśmy rację. Łączyła nas – przypomną – wola walki, pragnienie pokonania wroga, nie naszego osobistego, ale wroga ojczyzny. Może nawet powiedzą: „co za głupi naród" albo zakwestionują legalność wyborów. Walczyli o tron, jakby mieli do czynienia z monarchią absolutną, choć od początku było wątpliwe, czy wybrany na prezydencki fotel będzie w stanie spełnić wszystkie hojnie składane obietnice. Prezydent nie ma absolutnej władzy, a w czasie kampanii kandydaci czasem przemawiali tak, jakby nieco przeceniali swoje przyszłe możliwości. Co nie znaczy, że wybory A.D. 2020 nie są ważne.

Początkowo fascynujące zapasy dwóch kandydatów z czasem zrobiły się nieco nudne. Dzień po dniu słuchaliśmy przemówień budowanych według jednego schematu: 1. Ja jestem lepszy, nawet najlepszy. 2. Uważajcie, jeśli wybierzecie tego drugiego, to... 3. Obiecuję... dotrzymam... Konkurent nie dotrzyma, bo nigdy nie spełniał tego, co obiecał, a ja zawsze dotrzymuję. 4. Mój konkurent to straszny człowiek; oto spis jego grzechów, wręcz przestępstw. Zobaczycie, rządzić będzie nie on, lecz jego mocodawca (jedna strona) krajowy albo (druga strona) z wrażej zagranicy.

W kończącej się kampanii zdumiewają mnie dwie rzeczy: nachalne zachwalanie siebie jak – za przeproszeniem – towaru na straganie i zadziwiająca łatwowierność wyborców.

A debata kandydatów, do której nie doszło? Pamiętam, jak w 1974 r. oglądałem debatę Valéry'ego Giscarda d'Estaing z François Mitterrandem. Rozmówcami byli wyłącznie oni dwaj. Organizatorzy czuwali nad ramami czasu przeznaczonego na poszczególne dziedziny. Obaj panowie (żaden drugiemu nie przerywał!) prezentowali swoje wizje prezydentury, państwa, świata. Nie było impertynencji ani osobistych wycieczek. Żaden nie zarzucał drugiemu obłudy czy kłamstwa, choć walka była mordercza. Humor był zaprawiony subtelną ironią, uprzejme, zadawane z troską pytania stawiały przeciwnika pod ścianą, zmuszając go do jasnych, jednoznacznych odpowiedzi. Kurtuazja, kompetencja i nieubłagana precyzja w zadawaniu ciosów... To u słuchaczy zapierało dech i trzymało w napięciu. Mówiono potem, że kiedy debata dobiegła końca, w Paryżu na moment zabrakło wody, bo w czasie trwania debaty nikt nie chciał nawet na moment odejść od odbiornika, choćby po to, by skorzystać z toalety. No i w chwili jej zakończenia już wszyscy musieli. Jak mogło nie zabraknąć wody, jeśli w tym samym momencie wszyscy (no, może prawie wszyscy) mieszkańcy ponad dwumilionowego miasta pociągnęli za łańcuszek?

Jak więc będzie „po" u nas? Albo będzie kontynuowana „dobra zmiana", albo kohabitacja prezydenta Trzaskowskiego z PiS-em – tak czy tak wojna polsko-polska. Oba scenariusze aż strach sobie wyobrazić. A suweren będzie rozdarty na dwie równe, wrogie części, teraz, po kampanii, jeszcze bardziej zaciekłe i krwiożercze. Jeśli nie nastąpi jakiś cud, to będzie ciekawie, ale też bardzo nieprzyjemnie. ©℗

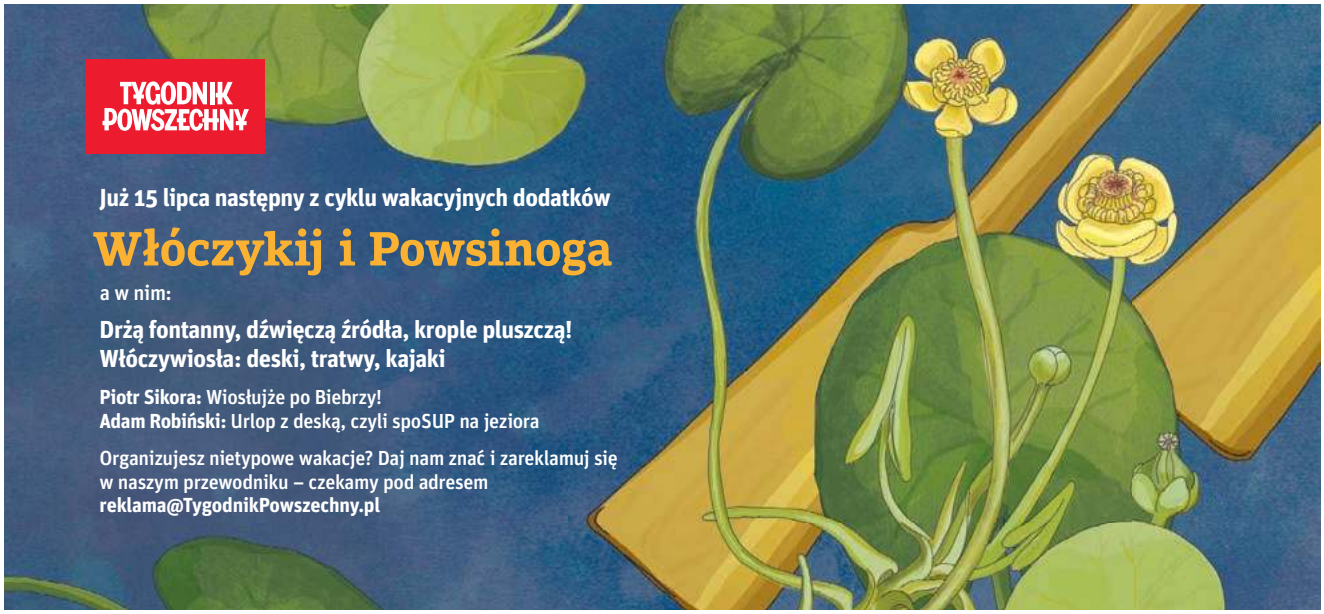

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TEMAT TYGODNIKA

12 Czyja połowa będzie większa
JAROSŁAW FLIS
Czynnikiem, który przechyli szalę tych wyborów, mogą okazać się sieci społeczne. To one przesądzą być może, komu uda się przejąć wyborców kandydatów, którzy odpadli.

17 Kim jest pan z długopisem
NATALIA DE BARBARO
Nie uważam, żebym wybierała między niebem a piekłem. Ale chcę lepszego świata i wiem, że ten, który jest wokół, nie jest najlepszy z możliwych.

22 Ministerstwo niezrównanych możliwości
MAREK RABIJ
Wbrew sugestiom polityków PiS-u, którzy mówią w kampanii o ratunku dla całej gospodarki, budżet ma ograniczoną pojemność.

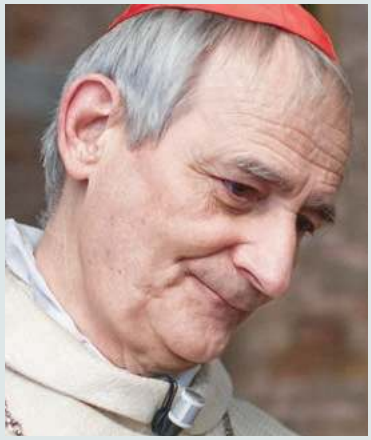

32 Koniec życia w iluzji
ROZMOWA Z KARD. MATTEO ZUPPIM, METROPOLITĄ BOLONII:
Pandemia jest złem powszechnym, naszą odpowiedzią powinno być braterstwo powszechne. Przychodzi nam to z wielkim trudem.

42 Wyścig z wirusem w tle
MARTA ZDZIEBORSKA Z SAN DIEGO
Cztery lata temu zaufali Trumpowi, bo nie chcieli głosować na Hillary Clinton. Teraz, w kraju pogrążonym epidemią, z dwojga złego wolą Demokratę Joego Bidena.

58 Amazonia może nas uratować
ROZMOWA Z MARKIEM PLOTKINEM, ETNOBOTANIKIEM:
Musimy chronić i lasy, i szamanów. Wraz z nimi zanika wiedza o medycznych roślinach.

86 Rozmowa z cieniem
ADAM ROBIŃSKI
Czy ludźmi nie stajemy się dopiero na tle tego, co nami nie jest? Co nam po byciu człowiekiem wśród innych ludzi?

JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA GAZETA // ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM // WIN MCNAMEE / GETTY IMAGES // UDO BERNHART / ANZENBERGER / FORUM // ARCHIWUM MARKA PLOTKINA // MASSIMO PAOLONE / AGF / GETTY IMAGES

INFORMACJA DLA CZYTELNIKÓW Z przyczyn przez Wydawcę niezawinionych, pismo może nie być dostępne w niektórych punktach sprzedaży – szczególnie tych prowadzonych przez Garmond Press SA. W zaistniałej sytuacji najkorzystniejszym i najpewniejszym sposobem otrzymywania naszego pisma jest prenumerata – szczegóły na stronie **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**. *WYDAWCA*

6 Głosuj ostrożnie
MACIEJ MÜLLER

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Ministerstwo niezrównanych możliwości
MAREK RABIJ

26 U nas dzieci nie umierają
ROZMOWA Z MICHAŁEM BŁOCHEM, LEKARZEM HOSPICYJNYM:
Najciężej chorym dzieciom, które nie mają rodziny, komfort ostatnich chwil życia jest odbierany

29 Oczy Jungkooka
MARIUSZ SEPIOŁO
o polskich fanach k-popu

WIARA

32 Koniec życia w iluzji
ROZMOWA Z KARD. MATTEO ZUPPIM, METROPOLITĄ BOLONII

36 Dwa Kościoły
KS. ANDRZEJ DRAGUŁA:
O przyszłość bycia księdzem we wspólnocie wierzących warto się spierać

38 Pozbywanie się lęku
ROZMOWA Z WOJCIECHEM WERHUNEM, JEZUITĄ, DUCHOWYM DORADCĄ:
Życiowe powołanie i szkodliwe złudzenia

41 Terapia Kościoła
MACIEJ MÜLLER
o wywiadzie rzece z ks. Jackiem Prusakiem SJ

ŚWIAT

42 Wyścig z wirusem w tle
MARTA ZDZIEBORSKA Z USA

DODATEK SPECJALNY

JAKUB WŁODEK / AGENCJA GAZETA

75 WŁÓCZYKIJ I POWSINOGA

Rozpoczynamy wakacyjny cykl dodatków: wakacje nad wodą i w górach, rowerem i boso, pod namiotem i w pociągu. W pierwszym odcinku:

- Uwiedzeni duchem miasta: maszyny do mieszkania, kosmiczne pasaże, wertepy przedmieść i bezdroża czasu
- Całkiem inny Kraków
- Urbex – miejskie włóczykije
- Piszą: Olga Drenda, Krzysztof Story

FELIETONY

31 ANNA DZIEWIT-MELLER **74** WOJCIECH BONOWICZ
84 JAN KLATA **85** PAWEŁ BRAVO
90 STANISŁAW MANCEWICZ
90 BARTOSZ MINKIEWICZ

Fotografia na okładce:
MARK KOLBE / GETTY IMAGES // MONTAŻ „TP”
Redaktorka prowadząca: ANNA GOC

46 Białoruskie przebudzenie
WOJCIECH KONOŃCZUK:
Wielu ma dość Alaksandra Łukaszenki. Ale on nie chce odejść

48 Jakbym to ja był wirusem
MARIA WIŚNIEWSKA:
W Chinach epidemia uderzyła szczególnie w przybyszów z Afryki i muzułmanów

51 Kraj nieszczęśliwych ludzi
PAWEŁ PIENIĄŻEK Z HERATU:
Niemal 90 proc. Afgańczyków uważa, że ich życie to cierpienie

HISTORIA

54 Husycka rewolucja
TOMASZ MAĆKOWIAK:
Dlaczego mit husytyzmu jest wciąż kluczowy dla tożsamości Czechów?

NAUKA

58 Amazonia może nas uratować
ROZMOWA Z MARKIEM PLOTKINEM

KULTURA

62 Alef, czyli wszystko
ELIZA KĄCKA: *Jorge Luis Borges był salonową atrakcją, dostarczycielem dreszczyków. Lecz go zauważono*

66 Reprezentuję prawdę
MONIKA OCHĘDOWSKA:
Posłuchajcie Augustyna

69 Stan natury
PIOTR KOSIEWSKI:
Po co nam sztuka w trudnych czasach? Nie ochroni nas przecież przed katastrofą

72 Co robimy w zamknięciu
ANITA PIOTROWSKA *o „Homemade”, filmowej składance Netfliksa*

84 Czytać od nowa
LEKTOR *o książce Ryszarda Koziołka „Wiele tytułów”*

ZMYSŁY

86 Rozmowa z cieniem
ADAM ROBIŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Strona świata
Politycy z partii rządzącej w Malawi musieli powtórzyć sfałszowane wybory. A nowa elekcja wyniosła do władzy przywódcę opozycji – o sprawie, jakiej w Afryce jeszcze nie było, pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** **tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata**

DOM [Podkast Powszechny]
Czas na bezczynność w sprawach klimatu już się wyczerpał. Popanikujmy trochę, a potem, cytując mistrza Młynarskiego – róbmy swoje. Może to coś da – mówi prof. **SZYMON MALINOWSKI**, fizyk atmosfery, w cyklu rozmów Krzysztofa Storego **powszech.net/podkast-dom**

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

GŁOSUJ OSTROŻNIE

Wirus nie jest w odwrocie i nie przestaje być groźny. Warto o tym pamiętać, idąc do drugiej tury wyborów.

MACIEJ MÜLLER

Premier Mateusz Morawiecki podczas spotkania z mieszkańcami Olsztyna w ramach kampanii prezydenckiej Andrzeja Dudy. 4 lipca 2020 r.

Wirus jest w odwrocie, nie trzeba się go bać, sytuacja epidemiczna jest opanowana. Trzeba pójść tłumnie na wybory, wszyscy, zwłaszcza seniorzy, nie obawiajmy się, idźmy" – wzywał premier Mateusz Morawiecki podczas objazdu przedwyborczego w pierwszych dniach lipca. Przygotowując tę wypowiedź, z pewnością nie patrzył na wykresy epidemiologiczne, ale na zgoła inne, wyborcze, z których wynika silne wśród ludzi starszych poparcie dla Andrzeja Dudy.

Że grupa ta ma pełne prawo zagłosować – nie ulega wątpliwości, i dobrze, że seniorom przyznano (razem z kobietami w ciąży i osobami niepełnosprawnymi) pierwszeństwo w dostępie do lokali wyborczych. Słowo „tłumnie" budzi jednak najwyższy niepokój: we wszelkich ludzkich zgromadzeniach łatwo dochodzi do transmisji wirusa; wystarczy jedna zakażona osoba. Żeby żaden z lokali wyborczych nie stał się zarzewiem ogniska epidemicznego, komisja i głosujący muszą przestrzegać zasad sanitarnych (maseczka zakrywająca usta i nos, rękawiczki, dezynfekcja rąk, własny długopis, dwumetrowy dystans), a ludzie starsi powinni wybrać się do głosowania poza godzinami szczytu.

Co z pozostałymi twierdzeniami premiera? Wirus nie jest w odwrocie. COVID-19 przechorowało ok. 3 proc. Polaków, więc jako społeczeństwo nie mamy odporności grupowej (to kwestia wskaźnika przynajmniej 60–70 proc.). Widoków na szczepionkę nie ma. Szef WHO Tedros Adhanom Ghebreyesus podkreślił ostatnio: „Nie jesteśmy nawet blisko końca pandemii. Ona przyspiesza, a najgorsze przed nami". Liczba chorych na świecie przekroczyła 11,5 mln,

SARS-CoV-2 zabił już 500 tys. ludzi, dziennie umiera 5 tys. W USA codziennie notuje się 40–50 tys. nowych przypadków. Większość epidemiologów uważa te liczby za niedoszacowane, bo zależne m.in. od liczby prowadzonych testów i definicji zgonu z powodu zakażenia. Zdaniem polskiego eksperta, dr. Pawła Grzesiowskiego, choruje 200–300 mln osób, a zmarło ok. 1,5 mln. Nawet jednak oficjalne statystyki stawiają COVID-19 na czele globalnego rankingu przyczyn zgonów w bieżącym roku (na kolejnych miejscach są samobójstwa – 390 tys., malaria – 308 tys. i niedożywienie – 250 tys.).

Także wykresy przebiegu epidemii w Polsce nie pozwalają budować tez o spadku aktywności wirusa. Dziennie notujemy między 250 a 350 nowych przypadków; dr Grzesiowski w zeszłotygodniowym webinarium na temat przebiegu pandemii określił ten poziom jako endemiczny, pełzający, którego jednak nie wolno ignorować. Nie spada liczba hospitalizowanych, a wskaźniki zachorowań w niektórych województwach, np. warmińsko-mazurskim i podkarpackim, zaczęły rosnąć.

Wskaźnik zgonów najwyższy jest dla grupy 60 plus. Lekarze nie mają wątpliwości – ludzi starszych musimy chronić. Na całym świecie dochodziło i dochodzi do tragedii w domach opieki: śródmiąższowe zapalenie płuc powodowane przez koronawirusa jest dla seniorów zabójcze. Zresztą także młodszych może uczynić trwale niepełnosprawnymi – u wielu osób odratowanych obserwuje się zwłóknienia płuc. Czy doprawdy nie ma się czego bać?

To, że w Polsce mamy mniej przypadków niż w krajach zachodnioeuropejskich, zawdzięczamy w dużej mierze wprowadzeniu w marcu, wkrótce po wykryciu pierwszych przypadków, szybkiego lockdownu. Przecięliśmy drogi transmisji wirusa, w rezultacie zachorowań było mało i uniknęliśmy przeciążenia szpitali. Drastyczny lockdown był olbrzymim wysiłkiem, a właściwie narodową traumą. Zawdzięczamy mu dzisiejszy względny spokój, połączony ze złudzeniem, że żadnej epidemii nie ma. Nie zmarnujmy tego, słuchając nieopartych na faktach wypowiedzi polityków. Głosujmy, ale ostrożnie. ©℗

Zdecydują seniorzy

W FINALE KAMPANII brakuje tylko prowokacji służb specjalnych i zatrzymań, jak w niedoścignionym roku 2007.

Prezydent Andrzej Duda jest faworytem przed drugą turą wyborów. Nie znaczy to jednak, że może spać spokojnie. Z pierwszej tury wyszedł z wyraźną, 13-punktową przewagą. Tyle że jeśli większość elektoratu Szymona Hołowni (który zdobył niemal 14 proc. głosów) wesprze Rafała Trzaskowskiego, to gra zaczyna być wyrównana, wynik zaś nieprzewidywalny.

Hołownia nie chciał wprost poprzeć kandydata Koalicji Obywatelskiej, mimo że jej politycy o to zabiegali. Ostatecznie jednak spotkał się na internetowym połączeniu wideo z Trzaskowskim, na którym obaj starali się pokazać, jak wiele ich łączy. To poparcie bez formalnego poparcia. Prezydent Warszawy stara się łowić nawet wyborców Konfederacji. A jeśli to się nie udaje, to straszy, że PiS rozbije ich formację, bo stanowi ona konkurencję na prawicy.

Duda stawia wyłącznie na konserwę i radykalizm. Z kalkulacji sztabu PiS wynika, że w ten sposób ma szansę uciułać 1-1,5 mln brakujących mu do prezydentury głosów. Chodzi o wyborców Bosaka, Władysława Kosiniaka-Kamysza oraz o tych, którzy nie głosowali w pierwszej turze, zwłaszcza seniorów. Sztabowcy PiS szacują, że w pierwszej turze wyborów w grupie osób powyżej 60. roku życia frekwencja była o milion osób niższa niż w jesiennych wyborach do Sejmu. To seniorom premier zaczął nawet opowiadać – niezgodnie z prawdą – że rząd pokonał koronawirusa i spokojnie mogą się zająć głosowaniem na Dudę.

Jasny, mobilizacyjny komunikat do konserwatywnych wyborców popsuło Dudzie ujawnienie, że wiosną aktem łaski zniósł zakaz zbliżania się do rodziny mężczyźnie, który wykorzystywał seksualnie własną córkę. Choć o ułaskawienie starała się dorosła dziś ofiara i jej matka, to decyzja jest sprzeczna z dotychczasową linią polityczną prezydenckiej partii. Od kiedy rządzi, PiS utworzył rejestr pedofilów i podniósł kary za pedofilię, oskarżając niechętną tym rozwiązaniom Platformę o to, że sprzyja dewiantom. Teraz to opozycja zarzuca Dudzie, że jest „obrońcą pedofili" – co jest oczywiście brudnym kampanijnym zagraniem.

Prezydent twierdzi, że tylko pomógł rodzinie. Ale zląkł się tej historii na tyle, że zaczął się miotać – zaproponował m.in. poprawkę do konstytucji zakazującą adopcji dzieci przez pary jednopłciowe. Gdy „Fakt" ujawnił szczegóły przestępstw ułaskawionego mężczyzny, Duda zaatakował redakcję, zarzucając jej, że reprezentuje interesy niemieckiego wydawcy. „Niemcy chcą wybierać w Polsce prezydenta? To jest podłość, ja się na to nie zgadzam" – ta wypowiedź znów zapewniła mu miejsce w zagranicznych serwisach informacyjnych.

Duda znalazł się w defensywie i odmawia udziału w jakiejkolwiek debacie przed drugą turą, innej niż organizowana przez TVP, w której może liczyć na czułości. W minionym tygodniu odrzucił ofertę TVN-u oraz portali Onet i Wirtualna Polska. Stwierdził, że to „dyktat" mediów. Pięć lat temu wziął jednak udział w podobnej debacie w TVN. Ba: to on się jej domagał, krytykując ówczesnego prezydenta Bronisława Komorowskiego, który do dyskutowania z nim się nie palił.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP".

BARTŁOMIEJ WOJTOWICZ / REPORTER

ARKADIUSZ STANKIEWICZ / AGENCJA GAZETA

DPS-y: jest reanimacja, co z leczeniem?

„DOMY POMOCY SPOŁECZNEJ nie są zostawiane same sobie" – ogłaszało w zeszłym tygodniu Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, przytaczając kwoty na bieżącą pomoc: 50 mln zł już do DPS-ów trafiło, kolejne 326 – na dodatkowe płace i zakup testów na koronawirusa – ma popłynąć wkrótce.

– Dalsze wzmacnianie instytucjonalnego systemu to droga donikąd – komentuje dr Krzysztof Kurowski, prawnik, badacz m.in. przestrzegania praw mieszkańców DPS-ów, przewodniczący Polskiego Forum Osób z Niepełnosprawnościami. – Nie twierdzę, że specjalne środki to coś złego, ale martwi mnie brak równoczesnych szybkich działań, dzięki którym choć część mieszkańców mogłaby przed drugą falą pandemii skorzystać z innych form wsparcia. Np. lokale wykorzystywane przed pandemią jako mieszkania chronione treningowe mogłyby być przekształcone w mieszkania chronione wspierane o charakterze stałym. Takich działań nie widać. Istnieją obawy, że ten potrzebny program umocni tylko model wsparcia instytucjonalnego.

Ów model – alarmują eksperci – pozbawia od lat tysiące ludzi szansy na wsparcie w miejscu zamieszkania. Rząd jeszcze przed pandemią zaczął pracę nad strategią tzw. deinstytucjonalizacji, ale do efektów daleko. Problemem bywa też polityka samorządów. – Szokiem były dla mnie niedawne słowa łódzkiego urzędnika, że miasto ma interes w tworzeniu mieszkań chronionych, o ile koszt pobytu w nich będzie niższy niż w DPS-ie – dodaje dr Kurowski. – Powiedział to w obecności mieszkańca placówki, który wcześniej stwierdził, że czuje się w niej jak w więzieniu. Tymczasem DPS-y liżą rany. Wiceprezes Instytutu Niezależnego Życia Adam Zawisny opowiadał w „TP" o napięciach wśród będących nadal w izolacji pensjonariuszy („Od mieszkańca łódzkiego DPS-u usłyszeliśmy, że jeśli nic się nie zmieni, może sobie coś zrobić"). Za kilkumiesięczny stres płaci też kadra: jak dowiedział się „Tygodnik", pracownice jednej z placówek na południu Polski, w której były przypadki zakażenia, musiały skorzystać z pomocy psychiatrów. MRPiPS zjawiska nie bada: minister – informuje „TP" biuro prasowe – zalecał samorządom zapewnienie wsparcia, ale „do tutejszego resortu nie wpływają informacje o problemach pracowników DPS w zakresie zdrowia psychicznego".

©Ⓟ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

KRAJ W SKRÓCIE

RÓWNOŚĆ?

Czworo członków zarządu partii Razem przyznało sobie w 2019 r. dodatkowe wynagrodzenia w wysokości 200 tys. zł. Rzeczniczka tego lewicowego ugrupowania zapewniła Onet.pl, że tak naprawdę pieniądze były przeznaczone na kampanię parlamentarną, a politycy „się na nich nie wzbogacili".

RÓWNOŚĆ

Posłowie PiS złożyli w Sejmie projekt ustawy, która rozszerza definicję mobbingu o różnicowanie wysokości wynagrodzenia ze względu na płeć.

CC BY-SA 3.0

ZAPOTRZEBOWANIE

O 58 proc. wzrosła powierzchnia średniorocznej wycinki drzew w Polsce – informuje czasopismo „Nature", badające skalę zjawiska w całej Unii. Lasy Państwowe tłumaczą, że „zaspokojenie naszego zapotrzebowania na drewno i zapewnienie trwałości lasów nie są sprzecznymi interesami".

ZAANGAŻOWANIE

„Gazeta Wyborcza" rozdała milion egzemplarzy darmowego wydania zawierającego krytyczne podsumowanie prezydentury Andrzeja Dudy. „Newsweek" pisze na okładce „Marsz, marsz Trzaskowski". Na okładce „Sieci", kolejny raz w ostatnich tygodniach, również jest prezydent Warszawy, tyle że w negatywnym kontekście, „Do Rzeczy" stawia na fotografię Andrzeja Dudy z piłką do koszykówki.

Umoczeni na sucho

DO KATEGORII słów zakazanych w trakcie kampanii wyborczej należy „kryzys". Gdy rzeczywistość psuje piękno wyborczych opowieści, pozostaje właśnie gra słowami. Zastosował ją premier Morawiecki, przekonując kilka dni temu mieszkańców Podlasia, iż w odróżnieniu od ekonomistów wieszczących głęboki kryzys uważa, „że przejdziemy przez niego raczej suchą nogą, no może troszeczkę taką umoczoną".

Gdyby ktoś mimo wszystko chciał sprawdzić, jak głęboko w recesyjnym bagienku umoczy się polska stopa życiowa, może sięgnąć po „Prognozę przychodów NFZ na lata 2021–2023", którą na swojej stronie publikuje think tank Public Policy. Dokument bazuje na szacunkowych wyliczeniach, które przekazało NFZ samo Ministerstwo Finansów. Prognoza na lata 2020-23 zakłada m.in. spadek zatrudnienia o ponad 190 tys. etatów i wzrost rejestrowanego bezrobocia o 45 proc. – do 1,3 mln osób. Z prognozy wynika też, że pomimo odbicia gospodarki w 2021 r. stopa bezrobocia właściwie nie zmieni się aż do 2023 r.

Analitycy Public Policy zauważają z kolei, że ostry spadek wysokości składek wpłacanych ZUS-owi na opiekę zdrowotną pod koniec tego roku może zmusić rząd do cięcia innych świadczeń socjalnych, by zapewnić finansowanie dla szpitali i przychodni. ©Ⓟ MR

Zybertowicz między odwagą a rzetelnością

ANDRZEJ ZYBERTOWICZ nie zostanie profesorem, zdecydowała Centralna Komisja ds. Stopni i Tytułów Naukowych po zapoznaniu się z opiniami trójki tzw. superrecenzentów. Wcześniej pięciu recenzentów sformułowało wprawdzie opinie pozytywne, jednak niektóre, jak podkreślają superrecenzenci, nie spełniały „wymogów rzetelnej oceny dorobku", a ich autorzy uchylali się od „wejścia w rolę merytorycznych recenzentów".

Uważam Zybertowicza za jednego z najbardziej inspirujących polskich myślicieli. Często nie zgadzam się z jego rozpoznaniami, ale doceniam umiejętność opisywania ważkich problemów z nowej perspektywy. Zadaniem Komisji była jednak ocena *stricte* naukowej wartości dorobku, któremu zarzucono nazbyt publicystyczny charakter i słabo udokumentowane tezy.

Zarzuty te dotykają statusu współczesnej humanistyki zawieszonej między badaniem świata a proponowaniem idei, które go zmienią. Bez narzędzi, jakimi dysponują nauki ścisłe, tezy odważne i inspirujące zwykle nie będą niezbicie udokumentowane, z kolei te dobrze udokumentowane okażą się zbyt wąskie. Jak godzić odwagę i rzetelność?

Tak procedura awansowa stała się podobna pracom ocenianego. Daje do myślenia!

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

ANTHONY WALLACE / AFP / EAST NEWS

NAWET TRZY MILIONY mieszkańców Hongkongu gotowa jest przyjąć Wielka Brytania – zadeklarował premier Boris Johnson po tym, jak Chiny przeforsowały drakońskie prawo ograniczające autonomię miasta. Chodzi o posiadaczy brytyjskich paszportów zamorskich, czyli osoby urodzone tam przed 1997 r. (gdy Londyn przekazał miasto Pekinowi); dziś stanowią oni 3 mln z 7 mln mieszkańców Hongkongu. Johnson obiecał, że na Wyspach dostaną prawo do pracy i pobytu, co otwiera też drogę do brytyjskiego obywatelstwa. Nowe chińskie przepisy dotyczące Hongkongu to oręż przeciw ruchowi demokratycznemu: wprowadzają możliwość dożywocia za działania uznane za separatystyczne i tak szeroką interpretację, że kryminalizują pokojowe demonstracje. Doszło już do aresztowań, a z bibliotek znikają książki (sprawdza się, czy ich udostępnianie nie łamie nowego prawa). Znany działacz demokratyczny Nathan Law już opuścił miasto, za nim mogą pójść inni. Deklaracja Johnsona o pomocy na taką skalę może pozostać tylko gestem – Chiny mogą nie wypuścić posiadaczy brytyjskich paszportów zamorskich. Na zdjęciu: zza szyby sklepowej postronni patrzą na protest przeciw nowemu prawu, podczas którego aresztowano 300 osób, 1 lipca 2020 r. ©℗ PB

Biały Dom, talibowie i czerwonoarmiści

ROSYJSKI WYWIAD WOJSKOWY GRU obiecywał i wypłacał afgańskim talibom nagrody pieniężne za każdego zabitego Amerykanina – podała gazeta „New York Times", powołując się na źródła w służbach wywiadowczych USA.

Amerykańskie media zarzuciły prezydentowi Donaldowi Trumpowi, że na rosyjskie poczynania nie zareagował, podczas sześciu rozmów telefonicznych z prezydentem Władimirem Putinem nie wspomniał o tym ani słowem, a w dodatku zabiegał – bezskutecznie – o to, aby na kolejną, wyznaczoną w Stanach naradę światowych mocarstw z Grupy Siedmiu (G-7) doprosić Rosję. Kiedy prezydent zaprzeczył, że o niczym nie wiedział, gazety podały, iż w lutym otrzymał w tej sprawie raport na piśmie, a w marcu nad zachowaniem Rosjan w Afganistanie debatowała Rada Bezpieczeństwa Narodowego USA.

Trump utrzymuje, że wśród podległych mu służb wywiadowczych nie ma pełnej zgody w sprawie powagi zagrożenia i dlatego postanowiono nie zawracać mu tym głowy. Zdania Trumpa nie podzielają zarówno demokratyczni, jak i republikańscy kongresmani, którzy zapoznali się z raportem służb wywiadowczych. Pod koniec lutego (wtedy, gdy otrzymał pisemny raport) Trump podpisał z talibami ugodę, która ma umożliwić mu wyplątanie Stanów z 20-letniej afgańskiej wojny. Trump obiecał to, sięgając po prezydenturę, i liczy, że w listopadzie pomoże mu to zapewnić sobie reelekcję.

Komentatorzy spekulują, że rosyjska oferta dla talibów może być próbą torpedowania amerykańskich starań, by wyjść z afgańskiej wojny, albo odwetem za pomoc, którą USA okazywały afgańskim partyzantom w czasie ich wojny ze Związkiem Sowieckim (1979-89), lub zemstą za krwawą klęskę, jaką rosyjscy najemnicy z podległej Kremlowi firmy najemniczej Grupa Wagnera ponieśli na początku 2018 r. w Syrii z rąk Amerykanów (w pustynnej bitwie miało zginąć wówczas 200–300 Rosjan).

©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

@ więc wojna!

PO NIEDAWNYM INCYDENCIE W HIMALAJSKIM LADAKHU, który doprowadził do pierwszej od lat konfrontacji militarnej między Chinami i Indiami, konflikt obu krajów przenosi się do internetu. Na początku lipca Indie zablokowały działanie na terenie kraju blisko 60 chińskich aplikacji, na czele z popularnym wśród młodzieży serwisem TikTok, który aż jedną trzecią użytkowników ma dziś właśnie w Indiach. Jak twierdzi tamtejsze ministerstwo elektroniki i technologii informatycznych, zablokowane aplikacje „kradły i potajemnie przesyłały dane użytkowników w nieautoryzowany sposób na serwery zlokalizowane poza Indiami".

Obawy rządu „nie wydają się wyolbrzymione" – komentują specjaliści od cyberbezpieczeństwa i przypominają, że w 2017 r. indyjska armia wycofała z użycia kilkadziesiąt modeli chińskiego sprzętu telekomunikacyjnego, podejrzewanego również o ukryte funkcje szpiegujące. Tym razem chodzi o aplikacje i komunikatory cywilne, choć oczywiście mogły one pojawić się także w telefonach żołnierzy i pracowników administracji wysokiego szczebla, dając przy okazji dostęp do służbowych rozmów czy maili. W narastającym konflikcie o panowanie nad Oceanem Indyjskim między USA i Chinami Waszyngton dąży do zbudowania trwałego sojuszu z Delhi, z czego Pekin zdaje sobie sprawę i z pewnością prowadzi w Indiach operacje wywiadowcze.

Decyzja indyjskich władz ma także kontekst czysto ekonomiczny. Indie są dziś po Chinach największym rynkiem cyfrowym świata. Spośród 1,3 mld mieszkańców tego kraju 51 proc. korzysta z internetu.

©℗ MAREK RABIJ

RENATA DĄBROWSKA DLA „TP"

KLASZTOR BENEDYKTYNEK w Żarnowcu na Kaszubach, reaktywowany po wojnie, zasłynął z organizowania rekolekcji. Spotkać tu można m.in. s. Małgorzatę Borkowską, filolożkę, historyczkę, powieściopisarkę, autorkę m.in. głośnej ostatnio książki „Oślica Balaama". Siostry chcą rozszerzyć ofertę na wakacyjny wypoczynek przy klasztorze, dlatego budują Zacisze św. Benedykta i proszą o wsparcie. Darowizny można przekazywać online na stronie www.benedyktynki-zarnowiec.pl. ©℗ ASK

Papież robi porządek w Fabryce św. Piotra

WEJŚCIE ŻANDARMÓW do Fabryki św. Piotra – instytucji sprawującej nadzór nad największą bazyliką świata – to kolejna w ostatnich miesiącach akcja watykańskiej prokuratury tropiącej finansowe nadużycia za Spiżową Bramą. Tym razem zarekwirowano dokumenty i komputery w biurach dwóch wysokich rangą urzędników podejrzewanych o wydanie wielomilionowych sum na remont kopuły bazyliki bez przeprowadzenia przetargów. Śledztwo wykaże, czy koszt wykonanych prac nie został zawyżony. Decyzją papieża Franciszka pieczę nad Fabryką sprawować będzie komisja kierowana przez abp. Maria Giordanę, byłego nuncjusza w Słowacji, który rok temu otrzymał podobną misję – wyjaśnienia malwersacji finansowych w Chórze Kaplicy Sykstyńskiej, co skończyło się odejściem jego dyrektorów: artystycznego i administracyjnego.

Przeprowadzone jesienią ub. roku zmiany personalne w watykańskich instytucjach kontroli finansowej, prokuraturze i sądach przynoszą wymierne efekty. Wprowadzono restrykcyjne przepisy o przetargach, zwolniono urzędników odpowiedzialnych za wątpliwe inwestycje w nieruchomości, postawiono zarzuty karne osobom, które dopuściły się malwersacji. Według opublikowanego 3 lipca rocznego raportu watykańskiej Agencji Kontroli Finansowej nawiązano też współpracę z organizacjami międzynarodowymi monitorującymi przepływy finansowe w poszukiwaniu śladów korupcji, prania brudnych pieniędzy czy wspierania międzynarodowego terroryzmu. Pod kątem tego ostatniego zarzutu w 2019 r. sprawdzano jedną watykańską transakcję – na szczęście podejrzenia kontrolerów okazały się nieuzasadnione. ©℗ EDWARD AUGUSTYN

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

LIST DO DIECEZJAN
„Najpierw osoba i jej rzeczywiste dobro! Zwłaszcza osoba skrzywdzona i wykorzystana" – takim kryterium chce się kierować w zażegnywaniu kryzysu w diecezji kaliskiej mianowany przez papieża jej administrator tymczasowy abp Grzegorz Ryś. W liście do diecezjan, odczytanym w kościołach 5 lipca, abp Ryś ujawnił, że wystąpi do nuncjatury o przekazanie mu kompetencji w sprawach oskarżeń o nadużycia seksualne wysuwanych wobec duchownych diecezji kaliskiej.

IRLANDZKI KRYZYS
Z powodu pandemii o 80 proc. spadła wielkość ofiar na rzecz Kościoła katolickiego w Irlandii – doniósł dziennik „The Irish Times". Archidiecezja dublińska chce zwolnić jedną trzecią pracowników diecezjalnych, służb pomocowych oraz pracowników duszpasterstwa parafialnego. Zwalnianym osobom oferuje się „mechanizmy wsparcia i doradztwa". Na zmniejszenie o 25 proc. swoich dochodów zgodzili się księża.

FUNDACJA KROMKA CHLEBA

PAPIESKIE WSPARCIE
Franciszek przez swojego jałmużnika kard. Konrada Krajewskiego przekazał tarnowskiej Fundacji Kromka Chleba 5 tys. euro. Fundacja buduje hospicjum dla chorych na raka, prowadzi łaźnię i noclegownię dla bezdomnych. „Dzięki tej pomocy przez kolejne miesiące nie będziemy musieli się martwić, skąd pozyskać środki na czynsz, media, środki czystości i higieny osobistej" – cieszy się prezes fundacji Anna Czech.

Droga amazońska

PIOTR SIKORA

Dwie główne kościelne instytucje Ameryki Łacińskiej – CELAM (jednocząca krajowe konferencje episkopatów) oraz REPAM (sieć amazońskich organizacji kościelnych, jeden z głównych organizatorów Synodu dla Amazonii) – powołały w zeszłym tygodniu Konferencję Kościelną Amazonii. W zamyśle ma to być platforma, dzięki której także świeccy będą mieli znaczący wpływ na kształt amazońskich wspólnot kościelnych.

Dokładny kształt tej organizacji oraz jej sposób funkcjonowania jeszcze się tworzą. Na razie powstał komitet wykonawczy. Na jego czele stoi kard. Cláudio Hummes z Brazylii, wiceprzewodniczącym został bp David Martínez de Aguirre z Peru. W skład komitetu wszedł też jeszcze jeden biskup Eugenio Coter z Boliwii, a także troje świeckich przedstawicieli ludów tubylczych Amazonii: Patricia Gualinga (z ludu Sarayakú z Ekwadoru), s. Laura Vicuña Pereira (z ludu Kariri z Brazylii) i Delio Siticonatzi (z ludu Asháninka z Peru). Co ważne – głos każdej i każdego liczy się tak samo – niezależnie, czy jest biskupem, czy świeckim.

Inicjatywa ta jest kolejnym etapem procesu rozpoczętego w Kościele powszechnym za pontyfikatu papieża Franciszka – czynienia Kościoła bardziej synodalnym, czyli takim, w którym odpowiedzialność za kształt życia wspólnoty – a więc realny nań wpływ – mają wszyscy wierni. Tematem tym ma zająć się kolejny synod biskupów, zaplanowany na 2022 r. Ameryka Łacińska przygotowuje się doń intensywnie.

Samo mnożenie rozmaitych komitetów, konferencji i innych organizacji nie sprawi jeszcze, że Kościół będzie bardziej synodalny. Tym niemniej nie można inicjatyw takich, jak tu opisywana, lekceważyć. Stanowią bowiem próby konkretnego wcielenia owej synodalności w życie. Warto się jednak przyglądać tej inicjatywie. Musimy wciąż próbować i uczyć się, jak czynić Kościół bardziej wspólnotą. ©℗

KULTURA W SKRÓCIE

OSTATNI KOWBOJ
Zmarł włoski kompozytor i dyrygent Ennio Morricone. Stworzył brzmienie Dzikiego Zachodu, ale nie lubił, by całą jego twórczość sprowadzać do spaghetti westernów. Pisał dla Joffégo, Leone, Tarantino – filmografia zdobywcy dwóch Oscarów ma dziś ponad pięćset pozycji. Na początku lipca Morricone trafił do rzymskiego szpitala po tym, jak upadł i złamał kość udową. Odszedł kilka dni później, miał 91 lat.

PIER MARCO TACCA / GETTY IMAGES

NOWI AKADEMICY
Reżyser Jan Komasa, scenarzysta Mateusz Pacewicz, montażysta Przemysław Chruścielewski oraz reżyserka obsady „Zimnej wojny" Magdalena Szwarcbart dołączyli do grona przyznającej Oscary amerykańskiej Akademii Sztuki i Wiedzy Filmowej.

KRAINA CZUŁOŚCI
Esej „Czuły narrator", który wygłosiła w ramach wykładu noblowskiego Olga Tokarczuk, otrzymał tytuł najważniejszego europejskiego osiągnięcia artystycznego w ramach Emerging Europe Awards. Wśród wyróżnionych są także serial „Czarnobyl" oraz macedoński dokument „Kraina miodu". Nagrody przyznano po raz trzeci.

KOSMICZNY KANDYDAT
„Będę kandydował na prezydenta Stanów Zjednoczonych" – ogłosił amerykański raper Kanye West. Swoje poparcie dla muzyka w wyścigu o Biały Dom zadeklarował natychmiast założyciel SpaceX Elon Musk. Do wyborów zostały cztery miesiące.

Wyrok w teatrze absurdu

TRZY LATA pozbawienia wolności w zawieszeniu – taki wyrok usłyszał reżyser teatralny i filmowy Kiriłł Sieriebriennikow (na zdjęciu po wyjściu z sądu) oskarżony o sprzeniewierzenie 133 mln rubli z budżetu moskiewskiego Gogol Center (stworzonego przez Sieriebriennikowa centrum teatralnego nowego typu). Prokurator żądał sześciu lat łagru. Rosyjska Temida urządziła długi, trwający od 2017 r. spektakl-rozprawę z niepokornym reżyserem. Urodzony w 1969 r., uznawany jest za jednego z najwybitniejszych twórców pokolenia (film „Lato", awangardowe realizacje teatralne utworów Gogola, Gonczarowa, Puszkina, braci Priesniakowów, balet „Nuriejew").

Formalną podstawą aktu oskarżenia były malwersacje finansowe (przedstawiane w trakcie procesu ekspertyzy zawierały sprzeczne oceny działalności finansowej Gogol Center i opisywały praktyki stosowane w wielu placówkach teatralnych w Rosji, których dyrektorów nie stawia się jednak przed sądem). Nieformalnych podstaw można się tylko domyślać. Wspierający Sieriebriennikowa przedstawiciele środowisk twórczych wskazywali, że zarzuty są naciągane, a represje obliczone na uciszenie niezależnego twórcy, demonstrującego krytyczny stosunek do władz i śmiało wychodzącego poza ustalone ramy konwencji. Petycję w obronie reżysera podpisało kilka tysięcy ludzi kultury. Środowisko nie było jednak zgodne: część poparła stanowisko władz.

ALEXANDER ZEMLIANICHENKO / AP / EAST NEWS

Łagodny wyrok odczytano jako sygnał ze strony Kremla, że w przeddzień głosowania nad poprawkami do konstytucji władze nie chcą eskalacji buntowniczych nastrojów wśród ludzi kultury. A w myśl tych poprawek mile widziane będą realizacje w duchu tradycjonalizmu – Sieriebriennikow ze swoim awangardowym polotem do tych wytycznych nie pasuje.

Przebieg procesu pokazał, że rosyjskie sądownictwo podporządkowane jest ukazom góry i służy realizacji politycznych zamówień.

© ANNA ŁABUSZEWSKA

Wirusy w skrócie

PIERWSZA SZCZEPIONKA na SARS-CoV-2, nad którą pracuje m.in. chińska firma CanSino Biologics, została warunkowo dopuszczona do użytku przez chińską armię. Na razie nie wiadomo, czy szczepienia dla żołnierzy będą dobrowolne, czy obowiązkowe. Testy innej szczepionki przeprowadzone na makakach wykazały, że preparat chroni małpy przed zachorowaniem na zapalenie płuc.

MIEJSCEM, w którym pojawił się nowy koronawirus – jak powszechnie się przyjmuje – miał być bazar w Wuhan. Jednak początki pandemii mogły być inne. Badacze z Szanghaju opisali w „Nature" dwie odmiany wirusa, różniące się pojedynczymi nukleotydami w RNA, które prawdopodobnie wyewoluowały niezależnie od wspólnego przodka. Jedna z nich miała pojawić się w Wuhan, a druga 800 km na wschód – w Szanghaju. Odmiany nie różnią się ciężkością objawów, które wywołują. Przebieg choroby zależy za to przynajmniej częściowo od genów. Analizy przeprowadzone przez Svantego Pääbo (nieopublikowane jeszcze w recenzowanym czasopiśmie) sugerują, że te geny, które zwiększają ryzyko ciężkiego przebiegu COVID-19, odziedziczyliśmy po neandertalczykach.

PRZED KOLEJNĄ PANDEMIĄ spowodowaną przez wirusa A H1/N1 (świńskiej grypy) ostrzegają media na całym świecie. W latach 2009-10 zaraziło się nim, według oficjalnych danych, prawie pół miliona osób. Badacze z Chin w artykule opublikowanym w „PNAS" zauważają, że jego odmiana odkryta w 2011 r. – szczep G4 – spełnia obecnie wszystkie warunki do tego, by wywołać kolejną pandemię. Szczep ten w ostatnich latach stał się najczęściej spotykanym u świń badanych od czasu pandemii z 2009 r. Jak podają autorzy badania, zmiana ta koreluje ze wzrostem pojawiania się objawów infekcji dróg oddechowych u tych zwierząt. Jednak wśród ludzi pracujących przy trzodzie styczność ze szczepem G4 miało zaledwie 10 proc., co sugeruje, że transmisja międzygatunkowa nie jest aż tak łatwa. Aktualnie zagrożenie jest niewielkie, ale sytuacja powinna być monitorowana.

© BARTOSZ KABAŁA

CZYJA POŁOWA BĘDZIE WIĘKSZA

Czynnikiem, który przechyli szalę tych wyborów, mogą okazać się sieci społeczne. To one mogą przesądzić o tym, komu uda się przejąć wyborców kandydatów, którzy odpadli.

JAROSŁAW FLIS

JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA GAZETA

Spotkanie zwolenników i przeciwników Andrzeja Dudy na jego wiecu wyborczym, Lublin, 15 czerwca 2020 r.

Od ćwierćwiecza żadne wybory nie były tak wyrównane i niespokojne. Obserwujemy dwie drużyny szarpiące za dwa końce napiętej liny. Na razie nieskutecznie. Słychać okrzyki – te bojowe, kierowane do własnej drużyny, i te obelżywe, w stronę przeciwników. Dziwnie z tym współgrają przymilne uśmiechy kandydatów. Są kierowane pod adresem nielicznych jeszcze niezdecydowanych, za który koniec liny chwycić. To paradoks, że choć ogólne napięcie jest tak wysokie, wyrównane siły obu obozów sprawiają, że głos tych nielicznych zyskuje na znaczeniu. Remisu przecież nie przewidziano.

Tę równowagę stworzył splot przyczyn. Dostrzeżenie niektórych wymaga spojrzenia dekady wstecz, inne pojawiły się przed kilku laty. Niektóre – w kilku ostatnich tygodniach.

Dekady

Ciągle nie dość przypominania, że współczesne społeczeństwo przestaje się dzielić na prawicę i lewicę w ich dwudziestowiecznym rozumieniu. Na prawicę głoszącą, że wspólnota jest ważna w obyczaju i tożsamości, lecz w ekonomii lepsza jest już wolność; i na lewicę chwalącą swobodę w sprawach obyczajowych i uwolnienie od zastanych tożsamości, za to doceniającą rolę wspólnoty – ucieleśnianej przez państwo – w zapewnianiu dobrobytu materialnego.

Dziś w większości krajów następuje przegrupowanie. Naprzeciw siebie stają dwie inaczej dobrane drużyny. W jednej są zwolennicy swobody i w obyczaju, i w ekonomii. W drugiej ci, którzy od organizowanej przez państwo wspólnoty oczekują opieki i wzorów w obu tych sprawach. Ten nowy podział ma odbicie w sytuacjach życiowych. Za swobodą są częściej ci, którzy lepiej sobie radzą – bogatsi, wykształceni i młodsi. To zaś z kolei ma przełożenie na strukturę społeczną – wykształceni skupiają się w miastach, oddalając się przy tym od ubogich rodziców, z ich zakorzenieniem i tęsknotą do starego świata, gdzie zachowania kolejnego pokolenia potwierdzały sens własnych wartości.

Choć nie brakuje bogatych wspólnotowców i ubogich indywidualistów, to podział według statusu społecznego napędza wzajemne stereotypy. Medialny dyskurs skupia się wokół wartości przeważających wśród bogatych, tworząc świat, w którym liczą się sukces i kreatywność – ta druga nierzadko sprowadzająca się do ostentacyjnego pogardzania zastanymi normami. Ten świat nie bardzo ma co zaoferować nie tylko kasjerkom i wulkanizatorom, lecz także tym, którzy cenią przyzwoite, skromne, lecz pożyteczne życie. Wszyscy oni świetnie się za to nadają jako kontrapunkt dla „klasy kreatywnej". Poza tym są jej coraz mniej potrzebni.

Dysponują jednak bronią – kartką wyborczą. Choć ubożsi mają ograniczony udział w rynku konsumpcji, stanowią większość elektoratu. Wyglądają na kogoś, kto uczyni ich bohaterami akcji zatytułowanej – powtarzając za publicystą dziennika „The Times" – „Poor Lives Matter".

W Polsce siłą PiS jest wpasowanie się w ten podział i jego całkiem udana instytucjonalizacja. Choć politycy tej partii też prywatnie jeżdżą SUV-ami, to jednak na skutek skomplikowanego zbiegu okoliczności najlepiej urządzona część społeczeństwa uznała ich za obcych, w konsekwencji zaś wśród marginalizowanej większości zaczęli być uznawani za swoich. Podział na „lud" i „patrycjat" nie jest ostry i czarno-biały, lecz tworzy ważną równowagę – z jednej strony jest część potencjalnie liczniejsza, z drugiej – zasobniejsza. Nie tylko w środki materialne, lecz także w kapitał ludzki i społeczny.

PiS jest przekonany, że jako rzecznik ludu znajduje się nie tylko po jasnej, ale również po liczniejszej stronie mocy. Aż tak proste to jednak nie jest. Partia zdecydowanie rozchodzi się ze zdaniem większości np. w sprawie samorządności. Ogół Polaków nie ma tak złego zdania o władzach lokalnych jak PiS, który zresztą w samorządzie kiepsko sobie radzi. Sympatycy partii trzymają się jej w wyborach ogólnopolskich, lecz w lokalnych ledwo, ledwo. Druga rzecz to aborcja i in vitro – PiS omija te kwestie szerokim łukiem, bo wie, że opór przeciwników zmian byłby tu przemożny. Trzeci temat to Unia Europejska. PiS toleruje w swoich szeregach eurosceptyków, puszczając do nich co pewien czas oko. Lecz i tu poglądy większości są zgoła odmienne.

Prawdziwe docenienie marginalizowanej większości wymaga czegoś więcej niż dania jej satysfakcji z wyrażenia swojego poczucia krzywdy. To ostatnie nie jest bez znaczenia, szczególnie w obliczu napięć, jakie wywołują współczesna ekonomia i kultura. Jednak właściwą odpowiedzią na poczucie krzywdy nie jest jego pielęgnowanie. To samo dotyczy opozycji – jeśli jej zwolenników boli pogarda i nienawiść najgorliwszych zwolenników PiS, to dlaczego tak usilnie starają się ją przebić? Czy nie widzą, że to ich reakcje są jedną z podstaw wysokiego poparcia dla partii rządzącej?

Lata

Przewaga uzyskana przez PiS w 2015 r. i potwierdzona przed rokiem była źródłem wielu złudzeń, w szczególności w tej partii. W przekonaniu o samowystarczalności jej politycy nie zwrócili uwagi na to, że 44 proc. poparcia to dość dla zdobycia sejmowej większości, lecz w drugiej turze wyborów prezydenckich to już stanowczo za mało. Od pięciu lat PiS zachowuje się wrogo wobec wszystkich innych ugrupowań. Liczy, że opozycja będzie nadal na tyle niejednorodna, że nie stworzy bloku o sile ponad połowy głosów.

Co prawda PiS jest upojony władzą, ale PO przez ostatnie pięć lat nie dawała znaków, że umie otrzeźwieć po doznanej porażce. Postulaty zmian w partii były do tej pory formułowane w kategoriach ideowych. Mówiło się, że powinna wreszcie wskazać wyraźnie, czego chce. Popełniłaby jednak polityczne samobójstwo, gdyby się jaśniej określiła. Kluczowy podział w elektoracie opozycji to podział między awangardą postępu a umiarkowaną „konserwą". Próbował go, bezskutecznie, przezwyciężyć Szymon Hołownia. Dodał tylko jeszcze jeden element do zawiłej układanki jednoczenia opozycji. Jej wyborcy są znacznie bardziej zróżnicowani ideowo niż wyborcy PiS. Gdy się dużo obejmuje, to się słabo ściska. Lepiej rokuje inne odróżnienie – to wewnętrzne standardy działania PiS są tym, co najbardziej odróżnia go od opozycji.

Tym, z czym PO ma największy problem, jest instrumentalne traktowanie pozostałych podmiotów, czy to instytucjonalnych, czy społecznych. Partia działa według reguły „dopraszamy, jeśli musimy – ignorujemy, jeśli możemy". Można o niej powiedzieć, że jeśli chodzi o społeczeństwo obywatelskie, to dotychczas paliła, ale się nie zaciągała.

Teraz, chcąc przed drugą turą wyborów prezydenckich przyciągnąć część wyborców Hołowni, ma do czynienia z pokoleniem, które przywykło do kultury uczestnictwa. Pod wszystkim stawia

ADRIAN GRYCUK / CC BY-SA 3.0

Licytacja na doznane krzywdy jest może i lepsza od licytacji na wyzwiska. W jakiejś części służy jednak usprawiedliwianiu agresji własnych zwolenników.

JAKUB SZYMCZUK / CC BY-SA 3.0

lajki, wypełnia ankiety, wszyscy pytają je o zdanie. Kiedy kogoś wspiera, to uważa – tak jak na portalach crowdfundingowych – że coś się za to należy. Nie zawsze liczy się to, co powiesz, ale miło, że chcą cię posłuchać. W latach swojej świetności PO przyzwyczaiła się funkcjonować bez tego. I nie wykorzystała ostatnich pięciu lat na poszerzenie szeregów. Z punktu widzenia aparatu partii – posłów i radnych – aktywni obywatele są kłopotliwi. Lepiej rządzić na podstawie swojego widzimisię. Aby otworzyć się na zwolenników Hołowni, PO musiałaby się poświęcić i zmienić dotychczasową praktykę.

Z kolei prezydent Andrzej Duda ma inny problem. Po nieudanej próbie wymuszenia wyborów prezydenckich w maju wyglądało na to, że politycy PiS bardziej boją się prezesa Kaczyńskiego niż wyborców. Teraz są ostrożnymi optymistami: mają świadomość, że mogą przegrać, ale i że może się im udać. Myślą: liczy się to, czy wygramy, a nie to, czy – jak dotąd – prezes obarczy nas winą za nieuchronną porażkę. W efekcie umizgi w stronę elektoratów innych kandydatów czynione są ponad głowami samych kandydatów. Kłopot w tym, że jeśli przez pięć lat nie szczędziło się obraźliwych słów i opowiadało, że to „lokalne sitwy" czy „agenci Putina", to przez dwa tygodnie bycie milutkim może już nie pomóc.

Tygodnie

O ile strategiczne pytanie brzmi, czy w minionych latach PiS udało się zjednoczyć swoich przeciwników tak bardzo, żeby stało się to dla partii groźne, to już sprawą taktyki jest pytanie, co mogłaby teraz zrobić opozycja, żeby posklejać rozszczepione w pierwszej turze elektoraty.

Dla opozycji pierwsza tura była rodzajem prawyborów – możliwych, ponieważ jej elektorat nie trzyma się kandydatów, tylko wędruje między nimi. Jeszcze w kwietniu widać było, że część elektoratu PO czy PSL nie miała problemu, żeby przerzucić się na Hołownię. Podobnie płynna jest granica oddzielająca PO od tej części jej starego elektoratu, która w zeszłym roku zagłosowała na ludowców, uznając zapewne, że Władysław Kosiniak-Kamysz jest bardziej wiarygodny niż Grzegorz Schetyna. Podobnie zwolennicy lewicy już nieraz głosowali w drugiej turze na kandydata PO.

W tych „prawyborach" kandydaci opozycji rywalizowali jednak ze sobą, co nie służy integracji, i do końca wbijali szpile Rafałowi Trzaskowskiemu. Inwestowali w tożsamości, zachowywali lojalność wobec wolontariuszy – lecz na koniec okazało się, że dla wielu wyborców, którzy wskazywali ich w sondażach na wcześniejszych etapach kampanii, najważniejsze było, żeby pokonać Dudę.

Z tymi Trzaskowski nie będzie miał problemu. Ale to nie są wszyscy wyborcy Hołowni, Kosiniaka i Biedronia. Znaczenie ma także poczucie zawodu najbardziej zagorzałych zwolenników trójki, która odpadła. O mobilizację wyborców Biedronia zatroszczy się Andrzej Duda, próbując przeciągnąć na swoją stronę wyborców Bosaka. Inni jednak mogą stwierdzić, że lepiej zabrać zabawki, bo do obu pozostałych w piaskownicy jest im równie daleko.

Brak oferty dla tych ludzi – przede wszystkim dla wyborców Szymona Hołowni – nie świadczy najlepiej o strategicznych zdolnościach sztabu Rafała Trzaskowskiego. Przecież od tygodnia średnia sondaży wskazywała taki wynik jako najbardziej prawdopodobny. Można było przygotować coś już na wieczór wyborczy, a nie organizować go tak, jakby w momencie ogłoszenia wyników pierwszej tury był już czas na świętowanie w gronie najbliższych partyjnych współpracowników.

Kto się prostuje, wygrywa

Pierwsza tura przyniosła rekordową w tym tysiącleciu frekwencję. W obozie rządzącym od jakiegoś czasu tliło się przekonanie, że nie ma się co bać wzrostu frekwencji (wcześniej partia miała uraz po 2007 r., kiedy nadzwyczajna mobilizacja wyborców odebrała jej władzę). To dlatego władza przygotowała ciekawą akcję z wozami strażackimi dla małych gmin, w których padną rekordy frekwencji. Nie wygląda jednak, żeby przygotowano wozy strażackie na drugą turę, trudno zaś oszacować, czy tak wywołany efekt będzie trwały.

Raz jeszcze okazało się, że drobne błędy mogą obrócić każdą wyborczą sztuczkę przeciw inicjatorom. Wśród nagrodzonych przeważały gminy głosujące na Trzaskowskiego. Dlaczego – to już temat na dłuższą opowieść. Najwyraźniej mobilizacja dotyczyła wszystkich wyborców – nie tylko zwolenników PiS. Notowania tej partii na wsi ani drgnęły.

Wzrost frekwencji w mniejszych gminach zamaskował zjawisko wynikające z błędów PiS w całej kadencji, a szczególnie w jej końcówce. Jeśli porównać wyniki z drugiej tury w 2015 r. i teraz, widać, że PiS traci wyborców w miastach trzykrotnie szybciej niż w mniejszych gminach. To wskazuje na narastający przechył na rzecz mateczników partii, co jak dotąd było zwiastunem porażki.

W wyborach prezydenckich powtarza się zjawisko występujące też w wyborach gminnych, sejmikowych i sejmowych. We wszystkich trzech drugich turach wygrywał ten kandydat, który był mniej przechylony w stronę obszarów, gdzie był silniejszy. Jeśli poparcie jest idealnie równe na wsi i w miastach, to kandydat stoi – jak Aleksander Kwaśniewski w 2000 r. Jeśli całe poparcie byłoby po jednej stronie takiego podziału, kandydat leży. Jeśli chce się wygrywać, trzeba się ↦

↦ „prostować", czyli redukować przechyły elektoratu bądź na stronę wsi, bądź wielkich miast.

Wyjaśnieniem tej reguły może być hipoteza o podziale wyborców na dwie kategorie – „stronników" i „spójników". „Stronnicy" to ci, którzy wybrali daną partię, bo jest ona stroną w jakimś ważnym dla nich sporze. Są niezbędni, żeby zaistnieć. Ich brak przesądził o wyniku Kosiniaka-Kamysza. Natomiast „spójnicy" mają na sercu dobro całości, źle się czują, gdy sprawy przechylają się zbytnio na jedną stronę. Nie zapewnią samodzielnie zwycięstwa, lecz nagradzają tych, którzy starają się przełamać podziały, przeważając tym samym szalę. Nie ma ich za wielu, lecz są najwyraźniej do zwycięstwa niezbędni.

Andrzej Duda jest teraz bardziej przechylony w stronę wsi, niż był w 2015 r. Rafał Trzaskowski jest bardziej przechylony w stronę miast niż pięć lat temu Bronisław Komorowski, ale jeśli policzyć cały blok senacki (czyli wyniki Kosiniaka-Kamysza, Biedronia i Hołowni), obóz ten jest mniej przechylony niż PiS. A sam Trzaskowski jest mniej przechylony, niż Platforma była przed rokiem w wyborach sejmowych. Ma potencjał prostowania – czy go jednak wykorzysta?

Harcownicy i ludzie w kolejce

Problemem ostatnich dni są też zbyt rozochoceni harcownicy. To, w jaki sposób mogą szkodzić, widać było podczas wieczoru wyborczego Andrzeja Dudy. Chciał on wyciągnąć rękę ku „spójnikom" i pogratulować swojemu głównemu kontrkandydatowi, lecz w tym momencie rozległo się buczenie, bo uczestnicy myśleli, że jak się mówi „Trzaskowski", to tylko po to, aby go wygwizdać. Okrzyki „Tu jest Polska" pod adresem wyborców Hołowni czy Kosiniaka-Kamysza w Łowiczu były okrzykami na rzecz zwycięstwa Trzaskowskiego.

Cała ta machina może być już zbyt rozpędzona. Nie przyczynia się do jej wyhamowania jeszcze jedno zjawisko. W przekazach medialnych obu stron coraz znaczniejszą rolę odgrywa „gra z kontrataku" – z oburzeniem pokazuje się agresywne wypowiedzi czy to kandydatów, czy ich zaplecza, czy zwolenników. Taka licytacja na doznane krzywdy jest może i lepsza od licytacji na wyzwiska, trudno jednak ukryć, że w jakiejś części służy usprawiedliwianiu agresji własnych zwolenników.

Czynnikiem, który przechyli szalę tych wyborów, mogą okazać się sieci społeczne. To one mają potencjał, by przesądzić o tym, komu uda się przejąć wyborców kandydatów, którzy odpadli. Nie wiemy, ilu wyborców Hołowni czy Kosiniaka zagnieżdżonych jest w jakiejś sieci społecznej, a jaka część to osoby ściągnięte do urny wyborczej przez media.

W wyborach 2015 r. elektorat Pawła Kukiza podzielił się w drugiej turze w takich proporcjach, w jakich w danym miejscu była siła poparcia dla głównych kandydatów w pierwszej turze. Wyborcy Kukiza z małopolskiej Ochotnicy raczej zagłosowali w proporcji trzy do jednego na korzyść PiS, z kolei na Wolinie (zachodniopomorskie) w podobnych proporcjach na korzyść PO. Można przypuszczać, że na ostatniej prostej „konsultowali się" pod sklepem czy na imieninach, częściej trafiając na zwolenników tego, kto na danym obszarze przeważał już wcześniej.

Kukiz jednak pojawił się na scenie w ostatnich „paru minutach" i dlatego jego elektorat tak się rozproszył. Pytanie, czy Hołowni przez kilka miesięcy udało się już stworzyć ruch społeczny, który go posłucha. I jaki procent jego wyborców jest tak sterowalny. Jeśli wśród wyborców Hołowni przeważają – jak wtedy u Kukiza – „wolne elektrony", siła społecznych sieci może być decydująca. Tu też ujawnia się specyficzna równowaga obozów. Sieci PiS wyglądają na lepiej zorganizowane, sieci „anty-PiS" – na napędzane bardziej spontanicznie i oddolnie.

Niedzielna lekcja

Kompetencje prezydenta znacznie ustępują wadze, jaką przypisuje się w powszechnym odczuciu jego wyborowi. W tym roku jest to jednak coś istotniejszego nie tylko od łudzącej symboliki, lecz nawet od prawa do wetowania ustaw. Znacznie ważniejsze od samych działań zwycięzcy są wnioski, jakie polityczne obozy wyciągną z ostatecznego rezultatu. Choć nie brakuje obaw, że w przypadku porażki Jarosław Kaczyński będzie chciał jeszcze bardziej zaostrzyć polityczny kurs, znacznie poważniejszym problemem jest to, że zwycięstwo Andrzeja Dudy doprowadzi go do przekonania, że podgrzewanie konfliktów społecznych jest strategią skuteczną.

Już w przypadku konfliktu o majowy termin wyborów widzieliśmy, jak niebezpieczny dla wspólnoty politycznej może być obóz rządzący, który nie liczy się nie tylko z odmiennym zdaniem, lecz nawet z rzeczywistością. Przez minione pięć lat Kaczyński pokazał, że jest w stanie zepsuć znacznie więcej rzeczy, niż naprawić. Wraz z widocznymi objawami upojenia władzą byłaby to wystarczająca przesłanka do wyborczej porażki.

Jeśli szanse na nią na kilka dni przed wyborami są pół na pół, to jest tak ze względu na generalną równowagę obu obozów. Równowaga ta na każdym z trzech poziomów – strukturalnym, strategicznym i taktycznym – opiera się na podobnym mechanizmie. Słabości przemnożone przez błędy uniemożliwiają każdemu z obozów uzyskanie wyraźnej przewagi. Lecz jego nieusuwalne atuty nie pozwalają mu upaść. Niezależnie za-

Wiec wyborczy Szymona Hołowni we Wrocławiu, 2 czerwca 2020 r.

tem od tego, na którą stronę przechyli się szala wygranej, zwycięzca musi zrozumieć, że nie jest to ostateczne starcie.

PiS i PO przez minione pięć lat ani nie posypały się tak, jak dawniej AWS czy SLD, ani nie zdołały uzyskać przemożnej dominacji. Nic w tej chwili nie wskazuje na to, by coś takiego zdarzyło się w kolejnych latach. Unikanie histerii nie powinno jednak podważać determinacji, z jaką podchodzimy do najbliższej niedzieli.

Zarówno sondażowe deklaracje, jak i analiza wyników wyborów pokazują ten sam obraz: po pięciu latach prezydentury Andrzeja Dudy polaryzacja jest znacząco większa niż na jej początku. Za coś takiego umiarkowani wyborcy zwykli karać rządzących. Choć więc niezależnie od wyniku PiS i PO zostaną z nami na kolejne lata, dobrze byłoby, gdyby obie strony odebrały teraz taką lekcję: od zwycięzcy oczekujemy łagodzenia sporów.

© JAROSŁAW FLIS

Kim jest pan z długopisem

NATALIA DE BARBARO

Nie uważam, żebym wybierała między niebem a piekłem. Ale chcę lepszego świata i wiem, że ten, który jest wokół, nie jest najlepszy z możliwych.

Jedna ze znajomych posłanek poszła kiedyś na wiec w towarzystwie znajomej, zagrzewającej ją do walki i tłumaczącej jednocześnie, że sama jest naprawdę zajęta. Czym? Dopinaniem biznesplanu swojego start-upu, wywiadówką w szkole dziecka, opieką nad starszymi rodzicami, planowaniem fajnych wakacji – słowem, zajęta tymi wszystkimi sprawami, które, wypełniając naszą codzienność, nie zostawiają już wiele czasu na walkę o przestrzeganie konstytucji czy praw obywatelskich. Kiedy razem doszły do sceny i znajoma posłanka właśnie miała na nią wejść, żeby wygłosić płomienną mowę, koleżanka powiedziała do niej: „Walcz, walcz, ja ci kurtkę potrzymam".

Ta scena wydała mi się znamienna. Myślę o niej dzisiaj, kilka dni przed drugą turą wyborów prezydenckich. Jeśli uznać ją za symboliczną, w jakiej ja jestem roli? Na pewno nie jestem tą znajomą posłanką – nie mam jej determinacji; nie wiem nawet, czy – porzuciwszy z wyraźną ulgą pracę dla polityków kilka lat temu – kwalifikuję się do roli koleżanki, która trzyma kurtkę. Ale chcę przynajmniej przyjść na ten wiec, od święta, porzucając swoje relatywnie spokojne życie na tę chwilę: chcę przynajmniej zagłosować.

Nie wszyscy mają ten zamiar. Piszę ten tekst, żeby zmienić ich zdanie.

KRZYSZTOF KANIEWSKI / REPORTER

Czy Lewandowski słucha Bacha

Tych z nas, którzy rozumieją, jak złożoną tkanką jest rzeczywistość, którzy wręcz rozsmakowują się w jej subtelnych splotach, niejednoznacznościach, podtekstach, mogą mierzić te wszystkie gromkie okrzyki kandydatów, którzy obwieszczają, że stoimy przed wyborem między Prawdą a Kłamstwem, Dobrem a Złem, Nienawiścią a Miłością, Wolnością a Dyktaturą, i że te wybory są najważniejsze od trzydziestu lat (zawsze tak mówią). My tu sobie słuchamy Debussy'ego czy Bacha, a kampania wyborcza wjeżdża nam ze swoim disco polo. Chcielibyśmy świata, w którym kandydaci mówią o programach, a wyborcy tego słuchają z uwagą; świata, w którym na naszego kandydata będą głosować sami fajni, a jeśli np. ktoś, kto głosował w pierwszej turze na Krzysztofa Bosaka, chciałby teraz wybrać inaczej, to dobrze: niech głosuje, ale wcześniej ↦

↦ niech przeprosi i obieca, że od teraz już będzie taki jak my.

Perspektywa, wedle której polityka – a zwłaszcza kampania wyborcza – będzie pomieszczać subtelne komunikaty i złożoność istotnych społecznie kwestii, jest, delikatnie mówiąc, naiwna: jest to mniej więcej tak samo prawdopodobne jak to, że biegnąc z piłką ku bramce rywala Robert Lewandowski zatrzyma się, żeby kontemplować kształt przepływającego nad stadionem stratocumulusa. Oczywiście nie wszyscy muszą lubić mecze, a tym bardziej starcia w ringu bokserskim.

Ale zdecydowana większość z nas zostanie w Polsce (więcej czy mniej z nas?), będzie więc przez pięć lat patrzeć na Trzaskowskiego lub Dudę na czerwonych dywanach i mównicach i, przede wszystkim, będzie żyć z konsekwencjami decyzji, które jeden z nich będzie podejmować.

Oblicza polaryzacji

Pamiętam, jak lata temu, w ramach amerykańskiego programu National Democratic Institute, robiłam warsztaty dla kobiet w Strefie Gazy; warsztaty miały zachęcać kobiety do głosowania i startowania w wyborach. Idea, że warto to robić, nie była tam oczywista. Kiedy będąc w restauracji w gronie kilkunastu kobiet zaprosiłyśmy na kolację kierowcę, żeby nie czekał na nas w autobusie, kelner to jemu właśnie wręczył rachunek. Pamiętam, że przy tamtej kolacji, tak pechowo skończonej dla kierowcy (nie no, nie dałyśmy mu płacić), jedna z kobiet powiedziała do mnie: „Ale wy nie macie w Polsce demokracji. Przecież u was jest więcej niż jedna partia".

Brzydzimy się tak zwaną polaryzacją. Ale jaka jest alternatywa? Że zapanuje „demokracja" rozumiana tak, jak ją rozumiała moja rozmówczyni w palestyńskiej restauracji? Że będziemy wszyscy mieli ten sam pogląd? Jeśli tak – kto go zaordynuje? I czy czegoś to wam nie przypomina?

Myślę, że często mylimy formę z treścią. Że często tym, co nas boli, jest właśnie forma; że odrzuca nas nie to, że jest prawica i lewica (czy jakkolwiek należałoby to nazwać), ale to, że na swoich krańcach sama forma wyrażania różnic jest nienawistna. Nienawiść – i ta, którą czujemy od innych, i ta najbardziej bolesna, której nasiona możemy czasem znaleźć w naszych sercach, boli. Nie musimy się na nią zgadzać i nie musimy po nią sięgać w tych ostatnich dniach kampanii. Piłka jest po naszej stronie.

Ci okropni politycy

Tych, którzy zastanawiają się, czy w ogóle wchodzić na boisko, powstrzymuje też coś, co można by nazwać względami estetyczno-towarzyskimi: politycy to nie jest towarzystwo dla nas, my się o tych ludzi nie chcemy nawet otrzeć. Uchylając głowę przed nieuchronnie lecącymi w moją stronę zgniłymi jajkami zaryzykuję i powiem to: politycy są normalnymi ludźmi. Chociaż jest to bodaj jedyny zawód, którego przedstawiciele traktują przymiotnik odrzeczownikowy od jego nazwy jako rodzaj obelgi – np. zarzucając oponentom, że podjęli decyzję polityczną – różnica między nimi a nami nie jest tak uderzająca, jak chcielibyśmy myśleć.

Czy rzeczywiście oni są źli, a my dobrzy, oni są przebiegłymi, cynicznymi oszustami, którzy próbują nas mamić, podczas kiedy my wiedziemy swoje moralne życie? Czy rzeczywiście są tak jednorodni, że nie warto zrobić różnicy np. między tymi, którzy dzielą ludzi na ludzi i nieludzi, i tymi, którzy chcą zrobić przestrzeń dla różnorodności?

Piszę o tym ze złością, także na siebie samą, bo daję się uwodzić temu fastfoodowemu złudzeniu: mojemu ego bardzo smakuje poczucie przewagi i bywa, że ochoczo uprawiam narodowy sport złorzeczenia z kanapy.

Ale też pracowałam z politykami oraz w sztabach wyborczych przez lata i wiem: tak jak w firmach czy organizacjach pozarządowych jedni są fajni, a drudzy nie. Jedni są tam tylko dla kariery, innym naprawdę o coś chodzi. Wiem też, że wśród dziesiątek tysięcy ludzi, którzy pracowali i pracują w sztabach wyborczych, zdecydowana większość zasuwa za darmo, w przekonaniu, że jeśli wygra ich kandydat, świat będzie lepszym miejscem. Chociaż trochę robi mi się słabo, kiedy ćwiczę w wyobraźni tę hipotezę na niektórych z kandydatów, jestem przekonana, że tak właśnie jest.

Piorą mózgi, ale nie nam

Pokrewne przekonaniu o swojej wyraźnej moralnej wyższości nad politykami jest przekonanie, że oni piorą mózgi tym, którzy głosują na kogoś innego. Nie nam! Ale już np. twojemu sąsiadowi? Temu, na którego płocie wisi, na razie nienaruszony, plakat urzędującego prezydenta – Warszawy lub Polski, niepotrzebne skreślić? On to niechybnie jest ofiarą niecnej partyjnej propagandy. Jakiś złowrogi polityk przyszedł nocą, otworzył mu głowę i coś do niej włożył, wyszedł przed świtem i sąsiad się nie pokapował, że ktoś w ogóle był, nawet kot nie miauknął, ale sąsiad obudził się już innym człowiekiem i teraz wykrzykuje obelgi, kiedy zawracasz na jego podjeździe, chociaż wcześniej, jak wszyscy złoczyńcy, był niespotykanie spokojnym człowiekiem i zawsze mówił „dzień dobry".

Oburzaliśmy się na słowa Jacka Kurskiego o „ciemnym ludzie", ale czy my myślimy inaczej? I czy teraz, kiedy część z nas nie chce iść do wyborów, nie stawiamy się znowu ponad tymi, którzy w nich uczestniczą, np. obrażając się, że nasz kandydat pierwszego wyboru nie wszedł do drugiej tury? Czy ci z nas, którzy nie chcą głosować, nie uznają za wyraz i dowód na swoją moralną wyższość swojego aktu abdykacji? Co konkretnie próbujemy udowodnić, wklejając tabelki o zależności między poziomem wykształcenia a wysokością poparcia dla kandydatów? Czy nie widzimy swoich własnych wyborów jako bardziej świadomych, oświeconych, włącznie z wyborem o niegłosowaniu?

Połączeni z kandydatem

Tymczasem motywacje ludzi są złożone; wykresy o tym, że „nasi" są lepiej wykształceni niż „tamci" (czytaj: „gdybyś się uczył, tobyś wiedział"), tej złożoności nie oddają.

Myślę raczej, że znajdujemy się we wspólnym psychologicznym polu z tymi, na których głosujemy; mamy podobną częstotliwość, być może podobną wiodącą emocję w naszym życiu. Jestem przekonana, że gdyby popatrzeć poza suche demograficzne kategorie – takie jak miejsce zamieszkania czy poziom dochodu – okazałoby się, że łączy nas mniej uchwytny wątek: coś, co rozgrywało się przy stołach w naszych domach rodzinnych, może w klasach, do których chodziliśmy, może w parafiach; jakiś niewypowiedziany przekaz, który niesiemy całe życie w swojej krwi. I teraz się spotykamy: polityk i wyborca. I jest to, w pewnym sensie, zawsze

spotkanie osobiste, chociaż jeden grzmi z trybuny na ekranie, a drugi podnosi wzrok znad jajecznicy, wychwytując jakieś słowo. Nie jest to historia o złym wilku i uciśnionych koźlątkach, tylko raczej o spotkaniu ludzi czymś ze sobą połączonych.

Gdyby porzucić przekonanie, że politycy są źli, a my dobrzy, że oni prześladują, a my stajemy przed wyborem, czy się temu poddać czy z odrazą odmówić w tym udziału, można by zobaczyć sprawy inaczej. Mój przyjaciel-polityk, z którym nie zgadzam się w prawie żadnej sprawie, powiedział mi kiedyś, że w moralności podstawową kategorią jest kategoria stopnia; wielu spraw nie da się rozstrzygnąć posługując się czarno-białą skalą.

Wiodąca emocja

W takim stopniowalnym świecie, pozwól, że zadam ci pytanie osobiste: czy twój/twoja partner/ka jest osobą idealną? Czy idealne są, jeśli je masz, twoje dzieci? Szkoła, do której chodzą? Czy twoja praca, pensja, długość wakacji, a w końcu – ty sam – jesteście idealni? Czy w jakiejś dziedzinie życia uczestniczysz w świecie pozbawionym ułomności? Kochamy ludzi ułomnych i sami tacy jesteśmy. Ale kiedy przychodzi do politycznych wyborów, niektórzy z nas oczekują, że akurat tym kawałkiem świata będą rządzić zupełnie inne reguły.

Dzisiaj reguły są takie. Wiele z nich chętnie zastąpiłabym innymi. Ale nie czuję się do niczego przymuszana, wmanewrowywana; nie jestem zakładniczką w niczyich rękach. Nikt mnie nie „wyprowadza na ulicę", nikt nie może „przekazać mojego głosu" innemu kandydatowi; nie jestem meblem, który można przestawić do innego pokoju. Biorę udział w sytuacji, której reguły znam. Ważę plusy i minusy i posługuję się skalą: tak będzie lepiej, tak będzie gorzej.

Nie uważam, żebym wybierała między niebem a piekłem. Ale chcę lepszego świata i wiem, że ten, który jest wokół, nie jest dzisiaj, wbrew słowom Leibniza, najlepszy z możliwych. I że może być lepszy, jeśli wybory wygra wystarczająco dobry kandydat – nawet jeśli szlag mnie trafia, że znów to jest kandydat i że przez ostatnie tygodnie oglądałam na plakatach samych panów w granatowych marynarkach i ani jednej pani w burgundowej sukience.

Jest jakaś wiodąca emocja, front atmosferyczny, koloryt, w którym będziemy żyli przez najbliższe pięć lat, wszyscy – ci, którzy pójdą głosować, i ci, którzy zostaną w domu. Polityka nie znika od tego, że wyłączymy telewizor. A kiedy włączymy go znowu, być może tylko po to, żeby obejrzeć program kulinarny, zanim zdążymy przełączyć kanał, zobaczymy tam prezydenta naszego kraju: przed Pałacem Prezydenckim, pochylonego z długopisem nad jakąś ustawą, mówiącego w naszym imieniu na międzynarodowym zgromadzeniu.

Zobaczymy któregoś z nich.

© NATALIA DE BARBARO

ADRIANNA BOCHENEK / AGENCJA GAZETA

NATALIA DE BARBARO jest psycholożką i trenerką. Prowadzi warsztaty dla kobiet oraz szkolenia z komunikacji i przywództwa. Stale współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym".

Oburzaliśmy się na słowa o „ciemnym ludzie", **ale czy sami myślimy inaczej?**

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia**: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak:
W dolinie Synear

Historia wieży Babel mieści się w kilkunastu wersach. Poprzedza i dopełnia ją biografia potomków Noego. Z niej dowiadujemy się, jakie były imiona jego wnuków, prawnuków, ale też że każdy z nich był ojcem innego narodu, które były podzielone „wedle swoich krajów i swoich języków". Wiemy, kto gdzie zamieszkał. Historia wieży Babel nie jest potrzebna do wyjaśnienia podziału i rozproszenia mieszkańców ziemi na ludy i ziemie. Odnosi nas tylko do jednej krainy.

Jest to dolina Synear, co mniej więcej odpowiada Mezopotamii. Dowiadujemy się też, że panem tej ziemi był Nimrod, wnuk Hama, „dzielny myśliwy przed Panem". On to opanował wiele ziem i zbudował wielkie miasta, takie jak Babilon oraz Resen. W tej dolinie budowano wieżę. Nie wiemy, czy Nimrod był jej pomysłodawcą, czy wspierał projekt. Nic takiego nie jest mu wprost przypisane.

Wiemy też, że jednym z potomków Szema był Terach, a ten zrodził Abrama, który wziął sobie za żonę Saraj. Te dwie historie – biograficzna oraz ta o wieży – nie łączą się zbyt ściśle. Nie jesteśmy w stanie usytuować jej na osi czasu. Można odnieść wrażenie, że jest to opowieść dygresyjna, oddzielona od historii potomków Noego, i ma odrębne znaczenie symboliczne czy filozoficzne. Zapewne została niemal w całości wzięta z mitologii mezopotamskiej. Czytałbym tę opowieść jako swoistego rodzaju eksperyment intelektualny, podjęty po to, by zrozumieć dzieje narodu wybranego i historię objawień Boga.

Z tych kilkunastu wersów dowiadujemy się, że cała ludzkość mówiła jednym językiem, była jednością w swoich zamierzeniach, pomysłach, a przede wszystkim jednością w języku, który łączy nas zawsze wspólnotą emocji, wyobrażeń, sposobów myślenia. Nie ma tu mowy o wojnach i konfliktach wewnętrznych. Można wręcz powiedzieć, że był to wymarzony czas dla ludzkości, do którego, jak do raju, można tylko tęsknić lub o nim marzyć. Lud sam, bez przymusu, bez żadnego tyrana zabrał się do roboty, nie oglądając na nikogo. Nikt nie protestował. Musieli mieć w głowie projekt budowli. Wypalano najpierw cegły i gromadzono smołę jako spoiwo konstrukcji. Nic w tym nie było złego. Co więcej – czy co gorsza – prace szły im całkiem żwawo. Nic nie wskazywało na to, że ludzkość miała nie osiągnąć swoich zamierzeń. Wiedzieli, po co to robią. Chcieli stworzyć coś wielkiego i mówili sobie: „uczyńmy sobie imię, abyśmy nie rozproszyli się po całej ziemi!" (Rdz 11, 4). Nie ma tu słowa o tym, żeby stała za tym jakaś polityczna teologia.

Dopiero autorzy Talmudu i współcześni filozofowie bardzo się na budowniczych wieży obrazili. My możemy – tak sądzę – wręcz im zazdrościć i życzyć sobie, byśmy potrafili w pokoju i zgodnie, na skalę globalną, tak pięknie ze sobą współpracować. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Matka

„Boże, Ciebie godzi się sławić hymnami na Syjonie i wypełniać złożone Ci śluby. (...) Nawiedziłeś i napoiłeś ziemię, obficie ją wzbogaciłeś. Boża rzeka jest pełna wody; wszystkim przygotowałeś pokarm. Oto jak przygotowujesz ziemię: spulchniasz jej bruzdy, wyrównujesz skiby, użyźniasz ją obfitym deszczem, błogosławisz zasiewy, by rosły. Rok wieńczysz Twoimi plonami, tam gdzie przejdziesz, wzbudzasz świeżą zieleń. Użyźniasz stepowe pastwiska, a wzgórza przepasujesz weselem. Łąki odziewają się stadami, a doliny okrywają się zbożem. Wybuchają radosnym śpiewem" – pisze psalmista. Łatwo się przekonać, że ma rację. Wciąż jeszcze mówimy, że jedziemy na łono natury, żeby chłonąć piękno przyrody, odetchnąć od miejskiego zgiełku, odzyskać psychiczną równowagę. Mówiąc w ten sposób, świadomie lub nie, przypominamy, skąd przyszliśmy i dokąd zmierzamy.

Mistyk, czyli najprawdziwszy realista, który nie zamykał oczu na dolę i niedolę stworzenia, Franciszek z Asyżu, nazywał Ziemię matką. Dzisiaj tym bardziej powinniśmy pamiętać, że to ona nas zrodziła. Jesteśmy też dziećmi gwiazd, czyli Kosmosu. To gwiazdy, podobnie jak Mędrcom ze Wschodu, wskazują nam drogę, w którym kierunku iść, by nie rozminąć się z tym, co dzisiaj najważniejsze. W psalmach czytamy: „Jeśli wzniosę się do nieba, tam jesteś; gdy zejdę do krainy umarłych, i tu jesteś obecny!". „To Ty ukształtowałeś moje sumienie, przygarnąłeś mnie już w łonie matki!", „kiedy powstawałem w ukryciu, tkany w głębinach ziemi! Oczy Twoje widziały (mnie), gdy byłem jeszcze w zarodku; w Twej księdze były zapisane wszystkie dni przeznaczone dla mnie, gdy jeszcze żaden z nich nie istniał!". A zatem w człowieku rzeczywistość się syntetyzuje. Chcąc jednak o niej opowiadać, musimy ją dzielić na naturalne i nadnaturalne, duszę i ciało, wieczne i przemijające, transcendentne i immanentne, na *sacrum* i na *profanum* itd. A co gorsza – te różne aspekty, obrazy rzeczywistości przeciwstawiamy sobie, jakby Bóg i szatan podzielili się światem. A przecież jest tylko jedno królestwo – Boga, a więc życia.

Dyrektor Ogrodu Botanicznego PAN w Powsinie, dr Paweł Kojs, mówi: „Jeśli z (przyrodą) właściwie byśmy postępowali, to znaczy nie przekraczalibyśmy jej zdolności regeneracyjnych, nie zaburzalibyśmy cykli biogeochemicznych, to byłaby ona dla nas łaskawa". Natomiast: „jeżeli będziemy ją zniewalać i działać bezmyślnie – to usuwając, zdawać by się mogło, nic nieznaczący kamyczek, możemy doprowadzić do lawiny, która zmiecie z Ziemi całe miasta i zabije miliony ludzi. To się niestety już dzieje".

Pokochajmy Ziemię i pozwólmy naszej matce odetchnąć, niech i ona ma wakacje, i niech cieszy się swoimi dziećmi. Oszczędzajmy wodę. Szanujmy zieleń. ©

To, co we mnie jest zrodzone,
musi umrzeć
i stać się niczym,
gdyż jest śmiertelne
i z upływem czasu
musi ulec rozkładowi.
Moje odwieczne narodzenie
było narodzeniem się
wszystkich rzeczy.

MISTRZ ECKHART

Kocham tego,
czyja dusza jest przepełna,
tak iż samego siebie
człowiek zapomina
i tylko rzeczy wszystkie
życie w nim mają,
gdyż rzeczy wszystkie
zanikiem jego będą.

FRYDERYK NIETZSCHE

Wybrał PIOTR SIKORA

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Chcę!

„Panie, jeśli chcesz, możesz mnie oczyścić” – mówi do Jezusa trędowaty z okolic Kafarnaum. „Chcę, bądź oczyszczony” – odpowiada Jezus, dotknąwszy go wcześniej swoją ręką.

Liturgia niedawno przypomniała nam to wydarzenie (zob. Mt 8, 1-4). Istnieje niebezpieczeństwo, że zbyt łatwo je odczytamy. Jakby rzecz cała dotyczyła jedynie możliwości Jezusa – wyznanych zresztą przez chorego słowem „Panie!”, „Kyrie!”. *Kyrios* to słowo, którym w Septuagincie zastąpiono niewypowiadalne Imię Boga. Prośbę trędowatego można więc odczytywać następująco: Jesteś Bogiem – oczyść mnie! Właśnie Ty możesz to uczynić, jeśli tylko zechcesz. Masz takie możliwości.

Ewangelista Mateusz czyta jednak ten dialog zupełnie inaczej, i swoją interpretację zamieszcza kilkanaście wersetów dalej. Po opisie jeszcze dwóch uzdrowień – sługi setnika i teściowej Szymona Piotra – ujawnia mechanizm, dyscyplinę, logikę Jezusowego działania, przytaczając werset z Izajasza (Iz 53, 4): „On wziął na siebie nasze słabości i dźwigał nasze choroby” (Mt 8, 17).

Pytanie właściwe nie brzmi więc: czy Jezus – skoro jest Bogiem – potrafi oczyścić trędowatego z jego trądu? Właściwe pytanie brzmi: czy chce wziąć jego trąd na siebie? A więc nie „czy może”, lecz „czy chce się zaangażować w taki sposób, który będzie Go kosztować”. Ostatecznie: będzie Go kosztować życie. Nie: „czy potrafisz mnie uzdrowić?”, lecz „czy chcesz za mnie umrzeć?”.

Jezus mówi: chcę! Nie: „chcę, byś był czysty”, ale: „chcę wziąć na siebie twój trąd”, „daj mi swój trąd”. Przyznacie, że to dwie zupełnie różne wypowiedzi.

Niejednokrotnie w życiu bywa tak, że moglibyśmy coś uczynić dla drugiego, dla innych, dla wspólnoty. Wystarczyłoby tylko użyć tkwiących w nas możliwości: naturalnych czy nadprzyrodzonych – zawartych np. w otrzymanej władzy święceń czy w charyzmatach udzielonych nam przez Ducha Świętego. Moglibyśmy...

Ale wstrzymuje nas strach, że to nas będzie kosztować – czasami może nawet wiele. Możemy stracić poparcie otoczenia, swojej grupy. Na pewno będziemy musieli poddać rewizji nasze dotychczasowe plany. Coś będzie musiało umrzeć.

– Czy chcesz?

– Chcę!

W naszym przypadku ów dialog jest w pewnym sensie łatwiejszy. Wystarczy tylko oczyma wiary zobaczyć, kto pyta. Kim jest ów trędowaty stający przed nami. Wystarczy rozpoznać w Nim Jezusa. Staje przed nami i nie pyta, czy bylibyśmy w stanie coś dla Niego zrobić. Wie, że mamy takie możliwości – sam nam je podarował. On pyta, czy chcemy się zaangażować. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (12 – 19 VII)

15. niedziela zwykła: Iz 55, 10-11; Ps 65; Rz 8, 18-23; Mt 13, 1-23;
Poniedziałek: Iz 1, 10-17; Ps 50; Mt 10, 34 – 11, 1;
Wtorek: Iz 7, 1-9; Ps 48; Mt 11, 20-24;
Środa: Iz 10, 5-7. 13-16; Ps 94; Mt 11, 25-27;
Czwartek: Iz 26, 7-9. 12. 16-19; Ps 102; Mt 11, 28-30;
Piątek: Iz 38, 1-6. 21-22. 7-8; Iz 38; Mt 12, 1-8;
Sobota: Mi 2, 1-5; Ps 10; Mt 12, 14-21;
16. niedziela zwykła: Mdr 12, 13. 16-19; Ps 86; Rz 8, 26-27; Mt 13, 24-43.

KRAJ

MINISTERSTWO NIEZRÓWNANYCH MOŻLIWOŚCI

Wbrew sugestiom polityków PiS-u, którzy mówią w kampanii o ratunku dla całej gospodarki, budżet ma ograniczoną pojemność.

MAREK RABIJ

ADAM CHELSTOWSKI / FORUM

Unikając zgranego porównania do kota Schrödingera przejdźmy od razu do twardych liczb. Dwa miliony złotych. Prawdopodobnie tyle każdego dnia tracą Polskie Linie Lotnicze LOT wskutek zamrożenia ruchu powietrznego. Prawdopodobnie – bo w szczycie kampanii wyborczej politycy i oddelegowani przez nich do LOT-u menedżerowie unikają rozmowy zarówno na temat bieżącej kondycji przewoźnika, jak i jego najbliższej przyszłości.

„Uderzył w LOT kryzys koronawirusowy, absolutnie niezawiniony przez tę firmę. My zrobimy wszystko, żeby pomóc. Zarząd też robi wszystko, żeby firmę uratować" – zapewniał niedawno wiceminister infrastruktury Marcin Horała.

„Jesteśmy zdeterminowani, by LOT uratować, tak jak zdeterminowane są rządy innych krajów, by ratować swoje linie lotnicze" – to już szef resortu aktywów państwowych Jacek Sasin.

Pytania o konkrety zawisają w próżni. Nie wiadomo więc, czy LOT, który od połowy marca praktycznie nie zarabia (w marcu i kwietniu spółka przewiozła jedynie 54 tys. pasażerów w ramach programu „LOT do domu"; rok wcześniej z jej usług korzystało średnio ponad 800 tys. osób miesięcznie), jest jeszcze w stanie na bieżąco spłacać raty leasingu za samoloty. Można też jedynie zgadywać, dlaczego zwrot pieniędzy za odwołane wcześniej loty przebiega tak wolno i czy nie świadczy to o tym, że kasa już świeci pustkami. Nie wiadomo wreszcie, jaki sens miało zarejestrowanie pod koniec maja spółki LOT Polish Airlines przez właściciela PLL LOT, czyli państwową Polską Grupę Lotniczą – bo zdawkową informację, że chodzi o „porządkowanie działalności" w obrębie holdingu trudno w ogóle nazwać wyjaśnieniem.

Znawcy branży są jednak przekonani, że to pierwszy krok na drodze do kontrolowanej upadłości starego LOT-u, który w ten sposób mógłby strząsnąć z siebie część zadłużenia i działać dalej pod dotychczasowym szyldem, ale w ramach nowej struktury. Taki scenariusz restrukturyzacji obrały m.in. Austrian Airlines, które przeniosły na jakiś czas pracowników i flotę do spółki Tyrolean Airways.

Na liście możliwych rozwiązań widnieje jeszcze jedno. To pomoc publiczna, na którą Bruksela patrzy obecnie z większą wyrozumiałością niż przed pandemią. Spółka wielkości LOT-u, o kluczowym znaczeniu dla infrastruktury transportowej kraju, mogłaby ją otrzymać w tej chwili bez większego trudu. Kilka dni temu Niemcy wsparły swoją Lufthansę gigantyczną subwencją 9 mld euro. Szkopuł w tym, że unijne przepisy pozwalają na ubieganie się o pomoc publiczną raz na 10 lat, LOT tymczasem skorzystał z niej w 2012 r., kiedy Skarb Państwa wsparł go sumą 400 mln zł.

Ratunek czy ulga?

Międzynarodowe Zrzeszenie Przewoźników Powietrznych IATA w marcu szacowało wysokość strat branży na ok. 30 mld dolarów. Kilka tygodni później podniosło ją jednak już do ponad 100 mld. Dziś IATA mówi o globalnych kosztach zamrożenia transportu powietrznego na poziomie 314 mld dolarów. Po częściowym wznowieniu ruchu rentowność linii nie wróciła do poziomu sprzed lockdownu, bo zapotrzebowanie na loty, w zależności od kierunku, oscyluje w przedziale 25-50 proc. stanu sprzed

Start dreamlinera wymalowanego w barwy narodowe z okazji 100-lecia niepodległości, Warszawa, lotnisko Chopina, 18 kwietnia 2019 r.

pandemii. Zagrożenie koronawirusem nadal powstrzymuje turystów przed dalekimi podróżami. Biznes z oszczędności czasu i pieniędzy ograniczył do minimum podróże służbowe, odkrywając uroki wideokonferencji. Niektóre kraje, jak np. USA, nadal zresztą nie wpuszczają wszystkich chętnych; na lotnisku trzeba wylegitymować się obywatelstwem, prawem stałego pobytu lub oficjalnym dokumentem potwierdzającym cel podróży.

Nikt w tej chwili nie potrafi zatem odpowiedzieć na pytanie, jak długo jeszcze utrzyma się postpandemiczny strach przed lataniem i czy ewentualna pomoc publiczna, którą LOT (lub jego formalny następca) miałby znów otrzymać od podatników, nie przyniesie mu jedynie chwilowej ulgi. W odniesieniu do krajowego przewoźnika rządową strategią – przynajmniej do końca kampanii wyborczej – wydaje się brak strategii. Spisanie na straty oznaczałoby wszak nie tylko utratę kilku tysięcy etatów w samej spółce i obsługujących ją firmach, ale też konieczność zwolnienia tzw. slotów lotniskowych. I postawiłoby pod znakiem zapytania sztandarowy projekt infrastrukturalny rządu, jakim jest budowany z myślą o LOT Centralny Port Komunikacyjny.

Pewne jest tylko, że każdy dzień zwłoki w podjęciu decyzji o przyszłości przewoźnika pogłębia jego straty. Zobowiązania spółki prędzej czy później będzie musiał pokryć Skarb Państwa, który od połowy marca próbuje sił w nowej roli ratownika dla tysięcy większych i mniejszych firm. Polityczny priorytet, jaki władza nadaje w tej akcji LOT-owi, może jednak oznaczać śmierć dla wielu lepiej rokujących biznesów, dla których nie wystarczy pieniędzy z budżetu.

Bo wbrew sugestiom polityków PiS nie jest on z gumy.

Pudrowanie deficytu

Nikt o zdrowych zmysłach nie zakłada dziś, że walkę ze skutkami pandemii można pogodzić z zapowiedzią budżetu bez deficytu, obiecywanego przez rząd jeszcze w styczniu. Mimo to gabinet Morawieckiego nadal robi, co może, by ukryć przed opinią publiczną rzeczywisty stan finansów publicznych.

Dość dziwna to gra, bo akurat ci, którzy naprawdę są zainteresowani kondycją państwowego portfela – czyli ekonomiści i analitycy pracujący dla banków kupujących nasz dług – mogą łatwo wyczytać stan faktyczny ze statystyk GUS. Pozostali – od wyborców na etatach po zatrudniających ich przedsiębiorców – zdają się zaś oczekiwać w tej chwili od rządu nie tyle dyscypliny budżetowej, ile skutecznego przeciwdziałania skutkom pandemii, która ściągnie na polską gospodarkę recesję o skali nienotowanej nad Wisłą od 1989 r. Gdzieś pomiędzy tymi rozbieżnymi oczekiwaniami rozciąga się dziś cienka linia optymalnej polityki fiskalnej w dobie pandemii: dostatecznie elastycznej, by w imię budżetowej buchalterii nie zdusić całkowicie i tak mocno osłabionej gospodarki, ale też na tyle trzeźwej, żeby nie stracić kontroli nad długiem publicznym.

Ile w tej chwili mamy w kasie? W kwietniu tego roku resort finansów informował Senat, że pod koniec marca „stan środków na rachunkach budżetowych przekracza 70 mld zł", a potrzeby pożyczkowe państwa polskiego określone ↦

↦ w ustawie budżetowej zrealizowano w 87 proc. Dzień wcześniej premier zapewnił też przedstawicieli wyższej izby, że budżet dodatkowo dysponuje ok. 50 mld zł zapasu, który pozwala mu przesunąć pobór pewnych danin i podatków o sześć-siedem tygodni (tę część wyjaśnień Morawieckiego interpretowano potem mylnie w mediach społecznościowych jako deklarację, że państwu za półtora miesiąca po prostu skończą się pieniądze).

Rzecz w tym, że „potrzeby pożyczkowe" budżetu z marca, szacowane jeszcze w odniesieniu do budżetu projektowanego przed pandemią, mają się nijak do bieżących, uwzględniających koszty wszystkich projektów składających się na cztery odsłony tarczy antykryzysowej. Tegoroczny budżet pierwotnie miał zamknąć się w 430 mld zł, rozrósł się jednak o kolejne 325,5 mld zł. Bank PKO BP w najnowszym raporcie szacuje wartość bezpośrednich wydatków budżetowych na wsparcie gospodarki na 136,5 mld zł. Polski Fundusz Rozwoju dołoży do tej kwoty kolejne 94,5 mld zł. Kontrolowany przez Skarb Państwa Bank Gospodarstwa Krajowego ma uruchomić specjalny fundusz przeciwpandemiczny na drugie 94,5 mld zł.

Dzięki ordynarnej sztuczce księgowej, która pozwala nie wliczać do budżetu wydatków realizowanych przez fundusze celowe i spółki zależne – właśnie takie, jak PFR i BGK – deficyt finansów publicznych nie wystrzeli jednak do niebotycznego poziomu; czeka go formalnie jedynie „znaczny wzrost". Resort finansów spodziewa się, że na koniec roku sięgnie on ok. 8,5 proc. PKB. Gdyby przełożyć to na liczby bezwzględne, otrzymamy 168,5 mld zł. Bardzo dużo, biorąc pod uwagę, że w dotychczasowej historii deficyt nigdy nie przekroczył 7 proc., a w liczbach bezwzględnych najwyższego poziomu sięgnął w 2016 r., kiedy rząd zapisał w ustawie budżetowej wydatki wyższe od wpływów o 46,3 mld zł. W porównaniu z tegorocznym deficytem, niemal czterokrotnie wyższym, ten sprzed czterech lat może się wydać wzorem budżetowej wstrzemięźliwości.

Rok dwóch plag

Odpowiedź na pytanie, skąd wziąć te pieniądze, jest niestety bardzo prosta. Niestety, bo rząd będzie musiał je pożyczyć w imieniu podatników, przede wszystkim poprzez emisję obligacji państwowych z kilkuletnim terminem zapadalności. Zapewne dlatego w tegorocznej kampanii wyborczej, praktycznie wypranej z tematyki ekonomicznej, nieoczekiwanie pojawił się wątek podwyżki podatków, wobec której kategoryczne weto obiecuje Rafał Trzaskowski – choć ze strony obozu rządzącego padają zapewnienia, że do podwyżek nie dojdzie.

> Polityczny priorytet, jaki władza nadaje LOT-owi, może oznaczać śmierć dla wielu lepiej rokujących biznesów, **dla których nie wystarczy pieniędzy z budżetu.**

W rzeczywistości kontrkandydat urzędującego prezydenta naraża się na zarzut taniego populizmu. Bo wzrosty podatków i akcyzy wydają się pewne. Badania Centrum Monitoringu Sytuacji Gospodarczej pokazują, że obawia się ich aż 63 proc. polskich przedsiębiorców. Ekonomiści przypominają podwyżkę stawek VAT zarządzoną „tymczasowo" przez gabinet Tuska w 2011 r., po kryzysie finansowym, który osłabił polską gospodarkę.

Nie wiadomo tylko, czy obecny rząd zdecyduje się zagrać w otwarte karty i podniesie daniny bezpośrednie, takie jak PIT, czy raczej wybierze wariant politycznie bezpieczniejszy i sięgnie po pełzające podwyżki, realizowane choćby poprzez mrożenie kwoty wolnej od podatku i wzrost danin pośrednich. Z raportu o „Szacunkowym wykonaniu budżetu państwa w okresie styczeń-kwiecień 2020 r." wynika, że dochody podatkowe budżetu państwa były niższe w stosunku do okresu styczeń-kwiecień 2019 r. o ok. 8,7 mld zł. Wpływy podatku PIT od osób fizycznych zmalały rok do roku o 2,2 mld zł, czyli 10,9 proc. Jeszcze gorzej poszło państwu z poborem CIT-u od firm – tu spadek sięgnął aż 28,9 proc. i kosztował budżet 5,2 mld zł.

Stosunkowo dobrze wypadł na tym tle pobór VAT-u, czyli najważniejszego źródła dochodów dla finansów publicznych. W okresie styczeń-kwiecień fiskus zainkasował z tego tytułu zaledwie 900 mln zł mniej niż rok wcześniej (spadek o 1,7 proc.). W tym przypadku wynik podreperowały jednak dane z „przedpandemicznego" stycznia i lutego, kiedy wpływy z podatku były wyższe odpowiednio o 1,3 i 1,8 mld zł w porównaniu ze styczniem i lutym 2019 r. W kwietniu VAT przyniósł już o 3,3 mld zł mniej, co oznaczało spadek o prawie 23 proc. W maju, pomimo zdjęcia pierwszych obostrzeń, przychody z VAT były niższe aż o 36 proc. w porównaniu z zeszłorocznymi, kiedy epidemia nie pokrzyżowała Polakom planów na długi majowy weekend.

Skala wiosennej zapaści w dochodach z VAT jest tak duża, że nie uda się jej nadrobić. Główny ekonomista Pracodawców RP dr Sławomir Dudek szacuje, że gdyby nawet jakimś cudem kolejne miesiące nie przyniosły już spadku przychodów z VAT (co wydaje się nierealne, zważywszy na głębokość zapowiadanej recesji, która z pewnością osłabi konsumpcję), na koniec roku do budżetu i tak trafiłoby zaledwie 174 mld zł zamiast prognozowanych 200 mld zł z podatku VAT. Rok 2020 upłynie zatem finansom publicznym pod znakiem dwóch skumulowanych plag: skokowego wzrostu wydatków połączonych z topniejącymi dochodami budżetowymi.

Cena zaufania

W tej wyliczance złych wieści jest tylko jedna pozytywna. Wciąż relatywnie niskie zadłużenie państwa i niezła kondycja finansów publicznych sprzed pandemii sprawiły, że rząd może dziś zadłużyć się w naszym imieniu dość tanio.

Międzynarodowe rynki finansowe od lat cierpią na nadmiar gotówki – to rezultat blisko dekady polityki tzw. luzowania ilościowego (a prościej – druku pieniądza) mającego pomóc wyjść gospodarkom z poprzedniego kryzysu. Pomimo tej globalnej nadpodaży pieniądza kredytobiorcy nadal starannie szacują ryzyko każdej pożyczki, korzystając w tym celu z międzynarodowego systemu ratingów. Im zdrowsza, stabilniejsza i bardziej przewidywalna gospodarka, tym oczywiście niższe oprocentowanie obligacji kraju emitenta. Pewniakom takim jak Niemcy, Szwajcaria, Japonia czy Francja systematycznie zdarzają się nawet emisje obligacji z ujemnym oprocentowaniem. Inwestorzy gotowi są dopłacić za przywilej tymczasowego zamrożenia gotówki

w papierach wartościowych gwarantowanych przez tak stabilnych partnerów.

Polska na razie nie dostąpiła podobnego przywileju, ale oprocentowanie naszego długu oscyluje dziś na poziomie 1,65-1,95 proc. rocznie – czyli nieco powyżej średniej dla najlepiej rozwiniętych krajów Europy. Rząd USA, przykładowo, może dziś bez trudu sprzedać obligacje dwuletnie oprocentowane na 1,76 proc. w skali roku i 1,74 proc. w przypadku „pięciolatek". W przypadku Wielkiej Brytanii rentowność obligacji wynosi odpowiednio 0,61 i 0,62 proc. Geopolitycznie niestabilna Turcja, pomimo wielkiego rynku wewnętrznego, musi za to kusić inwestorów oprocentowaniem dwuletnich obligacji na poziomie aż 18,8 proc. w skali roku. A już rentowność tureckich papierów z pięcioletnim terminem zapadalności sięga niemal 22 proc.

Co to oznacza dla statystycznego podatnika? Prostą zależność. Im lepiej polską gospodarkę oceniają inwestorzy zagraniczni, kontrolujący obecnie już blisko 40 proc. naszego zadłużenia, tym mniej pieniędzy z podatków idzie na tzw. bieżącą obsługę długu – czyli skup obligacji i wypłatę odsetek. W ubiegłym roku, jak podliczyło Forum Obywatelskiego Rozwoju, każdy obywatel Rzeczypospolitej wydał na ten cel 827 zł. Tymczasem jeszcze w 2012 r. obsługa długu kosztowała nas średnio 1152 zł na głowę rocznie – mimo że łączna wysokość zadłużenia kraju była wówczas niższa niż obecnie o niemal ćwierć miliarda złotych.

Ruszając na wojnę z recesją pod hasłem luzowania wymogów fiskalnych rząd dokonuje więc iście hazardowej zagrywki, obstawiając scenariusz, w którym ocena polskiej wiarygodności kredytowej w kolejnych latach nie ulegnie pogorszeniu. Na razie rzeczywiście nie ma powodów do niepokoju, bo Komisja Europejska przez palce patrzy na kolejne kraje członkowskie, które walcząc z pandemią przekraczają wspólnotowy górny próg 3 proc. deficytu finansów publicznych. Dla Polski, będącej poza strefą euro, powyższa reguła pozostaje zresztą bardziej kwestią finansowej estetyki niż twardą regułą.

Kto wykręci bezpiecznik

Z punktu widzenia potencjalnych kredytodawców o wiele groźniejsze będzie jednak otarcie się o zapisany w konstytucji próg relacji długu publicznego do PKB na poziomie 60 proc. W tej chwili rząd pożyczył w imieniu obywateli z grubsza bilion złotych. Wartość PKB w zeszłym roku wyniosła 2,27 biliona złotych. Słowem – nawet z dodatkowymi 200 mld zł długu nadal wskaźnik polskiego zadłużenia wzrośnie do 58,3 proc. PKB.

Sytuacja może jednak wymknąć się spod kontroli, jeśli jesienią – jak przewiduje część epidemiologów – druga fala COVID-19 zmusi świat do ponownego lockdownu. Recesja w Polsce, którą Bruksela oszacowała wiosną na poziomie 4,3 proc., może w tych warunkach skoczyć – jak szacują z kolei ekonomiści OECD – aż do 9,5 proc. Tak głęboki spadek PKB w połączeniu z koniecznością dalszego zwiększania zadłużenia (piąta czy szósta wersja tarczy musiałaby mieć finansowanie, jeśli nie miałaby stać się politycznym frazesem) przerzuci już polski dług powyżej konstytucyjnego bezpiecznika.

Co wtedy? Czy rząd zdoła zbudować w parlamencie większość niezbędną do zmiany ustawy zasadniczej? Zresztą sam fakt, że posłowie na Wiejskiej grzebią przy konstytucji, dla wielu dużych inwestorów może stać się sygnałem do odwrotu z Polski, która w ich opinii przestanie być przewidywalnym krajem o okrzepłych instytucjach polityczno-prawnych.

„Nasza waluta, wasz problem" – rzucił John Connally, sekretarz skarbu w gabinecie Richarda Nixona, do grupy finansistów z Europy Zachodniej, którzy przyjechali do Waszyngtonu na rozmowy ostatniej szansy w sprawie planowanego odejścia od wymienialności dolara na złoto. Negocjatorzy nic nie wskórali i 5 sierpnia 1971 r. USA zgodnie z zapowiedziami porzuciły złoty parytet, wprawiając w konfuzję resztę świata, który od końca II wojny światowej traktował go jako punkt finansowego odniesienia dla kursów innych walut. Od tamtej pory cena dolara, jena, euro czy funta szterlinga bazuje już nie na rezerwach złota zgromadzonych przez banki centralne, lecz na zaufaniu kupujących do siły gospodarki emitenta.

W przypadku polskiego złotego ryzyko, że „nasza waluta" będzie oznaczać także „nasze problemy", jest niestety wysokie.

©℗ MAREK RABIJ

weź, czytaj!

zanim zabraknie

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego", zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: **zamowienia@tygodnik.com.pl**, my zajmiemy się resztą.

Do kompletu 4 dowolnych wydań piąte dodajemy GRATIS*!

* Cena pojedynczego wydania w tej ofercie – 15 zł.

W ofercie można zamówić następujące tytuły wydań specjalnych „TP": „Do Betlejem!", „Moc czytania", „Polska Żydowska", „Smak wolności", „Zwierzenia zwierząt", „Halo, tu Ziemia", „Moc Kobiet".

TYGODNIK POWSZECHNY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

U nas dzieci nie umierają

MICHAŁ BŁOCH, LEKARZ HOSPICYJNY:

Najlepszym miejscem do umierania jest dom. Ale najciężej chorym dzieciom, które nie mają rodziny, komfort ostatnich chwil życia jest odbierany.

DRHOSPICE / INSTAGRAM

Ostatni dzień pobytu Mateusza w Zakładzie Opiekuńczo-Leczniczym dla Dzieci w Wierzbicach, który był przez lata jego domem. Wraz z osiemnastymi urodzinami procedury nakazują przeniesienie go do obcego miejsca.

ANNA KIEDRZYNEK: Napisał Pan kilka miesięcy temu list do posłów PiS i Konfederacji z Dolnego Śląska, którzy poparli projekt Kai Godek. Odpowiedzieli?

MICHAŁ BŁOCH: Nawet nie odpisali na maila. Inni posłowie z tej samej partii lubią mówić, że aborcja powinna być zakazana, bo dziecko z ciężką i nieodwracalną wadą można oddać.

W województwie dolnośląskim są aż trzy Zakłady Opiekuńczo-Lecznicze dla dzieci. Trafiają tam także niemowlęta z najcięższymi wadami. W liście zaprasza Pan tych posłów do pomocy, kontaktu, zainteresowania.

ZOL-e są właśnie tym miejscem, gdzie te dzieci są oddawane. Pozostawione w szpitalu niemowlęta są często przekazywane do nas bezpośrednio.

Dolnośląskich działaczy PiS zaprosiłem do wsparcia m.in. zakładu w Wierzbicach, w którym pracuję. To bardzo elitarne miejsce. Niektóre choroby moich pacjentów są tak rzadkie, że nie mają nazwy. Genetycy określają je po prostu ciągiem liter i cyfr.

Ilu macie pacjentów?

W zakładzie zaprojektowanym na pięćdziesiąt łóżek mamy 52 pacjentów. W sąsiedniej placówce, w Jaszkotlu, jest 66 dzieciaków, czyli o sześcioro więcej, niż zakłada projekt budynku.

Jest Pan aktywny na Instagramie jako DrHospice. Pokazuje Pan rzeczywistość ZOL-u: życia, odchodzenia swoich pacjentów, żywienia ich przez rurkę.

Kiedy zaczynałem zajmować się medycyną paliatywną, usłyszałem od bardziej doświadczonego lekarza: „Musisz się jak najszybciej usamodzielnić, bo pacjenci terminalni, a zwłaszcza dzieci, nie potrzebują gapiów". Dwie osoby z personelu medycznego to o jedną za dużo. Ten brak gapiów to jest w ogóle cecha miejsc, gdzie są chore dzieci. Gdy taki maluch się rodzi, przestrzeń wokół niego się wyludnia. Zostają rodzice, ale ich przyjaciele wraz z upływem czasu znikają. Jeżeli rodzice też znikną, zostają siostry zakonne i opiekunki.

W rezultacie prawie nikt – poza nielicznymi, którzy zostali – nie wie, jak wygląda opieka nad ciężko chorym dzieckiem. To jest inna planeta. Równoległa rzeczywistość, w którą społeczeństwo nie ma wglądu. Przez moje działania w internecie staram się odsłonić maleńki kawałeczek tego świata. Może zajrzą tam w końcu politycy popierający ruchy pro-life.

I co powinni wtedy zrobić?

Mam kilka pomysłów: chociażby wirtualne adopcje dzieci mieszkających w ZOL-ach. Wiele fundacji oferuje możliwość „adopcji" dzieci z krajów Afryki, czyli przelewanie co miesiąc kwoty pozwalającej opłacić im szkołę, jedzenie, zabawki. Chciałbym, aby ruchy pro-life wpadły na taki pomysł w Polsce. Nie chodzi tylko o pieniądze. Niech ta adopcja oznacza comiesięczną dawkę zainteresowania, np. wizytę raz na jakiś czas i zabranie na spacer do parku.

Jakie jeszcze marzenia ma lekarz pracujący w ZOL-u dla dzieci?

Ujednolicenie wytycznych. Teraz jesteśmy szpitalem, kiedy NFZ tego wymaga

– bo np. musimy prowadzić aptekę szpitalną – a przestajemy nim być w momentach dla tych dzieci krytycznych.

To znaczy?

Dzieci w ZOL-ach nie umierają.

Przecież są ciężko chore.

Tak, ale tu nie ma np. całodobowych dyżurów lekarskich, więc gdy stan dziecka się pogarsza, wg przepisów przestajemy być szpitalem. Do dziecka, które jest w agonii, siostry mają obowiązek wezwać karetkę. Część dzieci w tej karetce umiera. Jeśli mają więcej „szczęścia", umrą w szpitalnej sali po kilku dniach lub tygodniach. Same.

Staram się, aby w miejscu, w którym pracuję, wyglądało to inaczej. Jako lekarz hospicyjny uważam, że najlepszym miejscem do umierania jest dom. Ale najciężej chorym dzieciom, które nie mają rodziny, komfort ostatnich momentów życia jest odbierany. One również w chwili śmierci powinny mieć prawo patrzeć w sufit własnego pokoju, a nie szpitalnej sali. Czuć zapach tego, co znają. Słyszeć znajome dźwięki. Trzymać ulubioną przytulankę. ZOL jest dla nich właśnie takim miejscem – a do tego placówką, gdzie personel potrafi się nimi zająć.

W ciągu ostatnich kilku lat w ZOL-u mieliśmy jedną bardzo wyjątkową, bo domową, śmierć.

Proszę o niej opowiedzieć.

Kasia była nastolatką z mózgowym porażeniem dziecięcym. Kiedy jej stan się pogorszył, tłumaczyłem siostrom, jak ważne jest to, by umarła u nas. Zadzwoniliśmy po jej ojca. Przyjechał z partnerką. Wcześniej bywał u Kasi, ale rzadko. Kiedy dowiedział się, że jest źle, praktycznie u nas zamieszkał. Jego partnerka też – i to ją podziwiam najbardziej. Nie była w żaden sposób związana z tym dzieckiem, ale trwała przy nim do końca. Trzymała Kasię za rękę i kąpała ją na zmianę z jej ojcem. Nikt nie jest stworzony do tego, by patrzeć na umieranie dziecka, nawet obcego.

To, że Kasia umarła w ZOL-u i na dodatek w towarzystwie rodziny, jest jednak ewenementem. Jako lekarz większość tych dzieci muszę wypisać wraz z pełnoletniością – czasem tuż przed śmiercią. Niekoniecznie do szpitala. Niektóre, te w lepszym stanie, trafiają do ZOL-i dla dorosłych albo do Domów Pomocy Społecznej. I to jest chyba największy koszmar mojej pracy.

Dlaczego?

Wedle przepisów podopieczni ZOL-u zostają w nim, dopóki trwa ich obowiązek szkolny. Czasami da się przedłużyć ich pobyt o dwa, trzy lata. Potem takie dziecko, często leżące, niekomunikujące się, system uznaje za osobę dorosłą. A dorosły, który nie jest w stanie sam funkcjonować, trafia do DPS-u. Nie ma zmiłuj. Bo u nas musi się zrobić miejsce dla niemowląt.

Co innego, gdy chore dziecko ma rodzinę. Wtedy system jest dużo łaskawszy. Opieka hospicyjna w domu należy się takiemu pacjentowi aż do końca. Dlatego jako lekarz hospicjum domowego mam teraz pod opieką trzydziestolatka chorującego od urodzenia. Dla systemu wciąż jest dzieckiem, ponieważ ma rodziców, którzy opiekują się nim w domu. 17-letnia Marta, moja pacjentka w ZOL-u z ciężką wadą serca, tzw. zespołem Ebsteina, niedługo trafi do placówki dla dorosłych na drugim końcu kraju. Kiedy opowiadałem o niej koledze kardiologowi, przerwał mi: „Jak to, masz prawie dorosłego Ebsteina?". Był zaskoczony, bo takie dzieci umierają jako kilkulatki. A Marta wciąż żyje. I teraz będę musiał ją wypisać do placówki, gdzie pracuje lekarz, który nigdy wcześniej nie widział podobnego przypadku. Czy będzie wiedział, jak postępować z Martą? Ja znam ją od trzech lat i przez ten czas uczyłem się jej choroby. Prowadzące ZOL siostry znają Martę całe jej życie. Tworzą dla niej dom. I ja za chwilę będę musiał jej powiedzieć, że nie może tu zostać, bo jest dorosła.

Ile dzieci czeka teraz w waszym ZOL-u na wypis?

Dwójka. 1 czerwca, czyli symbolicznie – w Dzień Dziecka – wypisałem 20-letnią Natalię, jedyną w Polsce pacjentkę z zespołem CFC. Wymaga opieki kardiologicznej i dermatologicznej. Nie mówię, że ZOL dla dorosłych nie będzie umiał się nią zająć. Tylko że ona jest bardzo specyficzna w sposobie komunikowania się. Latami uczyliśmy się kodu, którym porozumiewa się z otoczeniem. Poznawaliśmy jej humory i upodobania. Czy ktoś w placówce dla dorosłych będzie miał do tego cierpliwość? Zastanawiam się też czasem, co z dziećmi, których nauczyłem używać eye trackera?

To znaczy?

Urządzenia monitorującego ruch gałek ocznych, za pomocą których można poruszać kursorem na ekranie komputera. Jednym z dzieci, które korzystają z tego sprzętu u nas, jest Klaudia, pacjentka z ciężkim kurczowym porażeniem mózgowym. Cała napięta, z głową wykręconą w jedną stronę. Zanim dostała eye tracker, spełniała wyłącznie proste polecenia: otwórz buzię, zamknij, połknij. Od kilku lat może wyrażać swoje zdanie. Pytamy: wolisz kisiel czy budyń? Muzykoterapię czy ciszę? I ona pokazuje to na ekranie. Albo bawi się, zbijając piłki lub chmurki latające po monitorze. Nigdy wcześniej nie miała tyle kontroli nad rzeczywistością. Teraz się uśmiecha, bo może świadomie modelować swój świat. Tylko że to niedługo się skończy. Trafi do DPS-u i znowu będzie jadła tylko to, co jej podstawią, i patrzyła godzinami w punkt, przed którym ją posadzą. To jest w pewnym sensie okrutny aspekt tego, co robimy w ZOL-u: dajemy dziecku coś dobrego, wiedząc, że zostanie od tego brutalnie odcięte. Kasia, zaprzyjaźniona logopedka, pociesza mnie: przynajmniej dajecie jej wspomnienia. Będzie mogła w nie uciec.

Nie buntuje się Pan?

Owszem, ale też nie mogę narzucać dzieciom katastroficznych wizji. Gdy przychodzi czas wypisu, nie są zadowolone. Ci mówiący powtarzają, że chcą zostać, bo u nas jest tak super. Tłumaczę im, że możliwości opieki nad nimi w naszym zakładzie się skończyły, a ponieważ teraz są dorośli, muszą iść w świat. I że znaleźliśmy im miejsce w miłym i ładnym ośrodku, na przykład na Pomorzu.

Potem tracę z nimi kontakt. Robię dobrą minę do złej gry, ale zwykle się o nich boję.

Że stanie się im krzywda?

W DPS-ach podopieczni są różni. Moje pacjentki to młode, niepełnosprawne kobiety. Czasami, tak jak Natalia, nieumiejące porozumiewać się z otoczeniem. Co będzie, jeżeli spotka je przemoc albo nadużycie? Komu się poskarżą? I jak? Kolejna moja obawa dotyczy karmienia. U niektórych trwa ono pół godziny, czasem nawet dłużej. Żeby te dzieci karmić, trzeba je znać, mieć do tego cierpliwość. Nie chcę sobie wyobrażać, że ktoś zniecierpliwiony, niewprawny, wmusza w nie jedzenie. To byłaby przemoc. Boję ↦

↦ się też innych nadużyć, np. finansowych. Nasza psycholog, robiąc niektórym dzieciom ewaluację przed wypisem, sprawdza, czy poradzą sobie „na zewnątrz". I one czasami mają problem z odróżnieniem banknotów prawdziwych od tych używanych w grach planszowych – ze względu na swoją niepełnosprawność. Boję się, że w DPS-ie inny pensjonariusz może to wykorzystać.

Jakie widzi Pan rozwiązanie?

Rozmawiałem o tym niedawno z dyrektorem dolnośląskiego NFZ. Są różne pomysły. Na przykład: otwórzmy obok naszego ZOL-u zakład dla dorosłych i tam przenośmy naszych pacjentów, gdy ukończą 18 lat. No tak, ale jaką mam gwarancję, że nie będę musiał do niego przyjmować zgodnie z kolejką NFZ osób z zewnątrz? Żadnej. Poza tym takie rozwiązanie zapcha system, bo przecież nie da się dostawiać łóżek dla małych dzieci w nieskończoność.

„To może hospicjum dla dzieci obok ZOL-u?" – pytam dyrektora. Tam mógłbym kierować dzieci, o których wiem, że mają przez sobą kilka lat życia. To trochę lepszy pomysł, ale co jeśli będą żyły dłużej? To oczywiście wspaniale, ale znowu oznacza „zapchanie" systemu. Bo z czasem może się okazać, że w takim hospicjum leżą także 30-latkowie.

System nie ma pomysłu na te dzieci. Najprościej jest kierować je do ZOL-i dla dorosłych – tam jest rotacja, więc są miejsca. Jest jeszcze jedna kwestia: mamy i takie dzieci, które są intelektualnie sprawne i być może będą żyły ze swoimi chorobami do siedemdziesiątki. One nawet powinny iść do dorosłych, tylko dlaczego koniecznie do placówki? Nie lepsze byłoby wyprowadzenie ich do jako takiej samodzielności? Każdy z tych przypadków jest inny.

Pamiętajmy, że te dzieci to nisza. Wycinek pediatrii. Dlatego uważam, że stać nas na traktowanie każdego przypadku indywidualnie. Problem w tym, że nikt się za tymi dziećmi nie wstawia, nie robi w ich sprawie szumu.

Wkurza się Pan czasem na rodziców swoich pacjentów? Za to, że ich zostawili?

Nigdy. Chociaż boli mnie to, że przed Wigilią wypisuję do domów najwyżej 15 procent dzieci. Siostry opowiadają, że kiedyś zakład pustoszał przed świętami. Ale nie oceniam. Nie każdy ma siłę to dźwigać. Proszę wyobrazić sobie sytuację, w której kobieta planuje rozszerzone samobójstwo, bo nie daje sobie rady z opieką nad chorym dzieckiem. Matka jednego z pacjentów przyznała, że chciała zrobić krzywdę sobie i dwójce dzieci. Jedno było zdrowe, drugie niepełnosprawne. Na szczęście w porę otrzymała pomoc, teraz odwiedza chore dziecko w zakładzie. Radzi sobie. Nie, placówki takie jak nasza nie są przechowalnią dzieci, które oddali wyrodni rodzice. ZOL jest miejscem, które czasami ratuje tych rodziców przed rozpaczą.

> Czasami rodzice dzwonią i mówią: niedługo przyjedziemy! Po czym zjawiają się rok później. **Dziecko najpierw się cieszy, a po ich wyjeździe rozpada na kawałeczki.**

Co do innych przypadków: niektóre z tych rodzin są niewydolne wychowawczo, więc dziecko odbiera im sąd. Są i takie rodziny, które oddają dziecko, mimo że mają warunki, aby się nim zająć. Ale z różnych powodów nie chcą. Nie każdy chce poświęcać całe swoje życie w imię opieki nad ciężko chorym dzieckiem. Takiej osoby też nie nazwę wyrodną matką albo ojcem. Nie usprawiedliwiam ich, ale staram się zrozumieć.

Wkurza mnie co innego: rodzice, którzy dają obietnice bez pokrycia. Dzwonią i mówią: niedługo przyjedziemy! Po czym zjawiają się rok później. Dziecko najpierw się cieszy, a po ich wyjeździe rozpada na kawałeczki. Mam też pacjenta, którego rodzice wyemigrowali do Francji. Tam mieli kolejne, zdrowe już dzieci. O narodzinach młodszego rodzeństwa powiedzieli synowi przez telefon. Nie pofatygowali się do niego z wizytą. Po co w takim razie w ogóle dzwonią? Po co opowiadają, że mama urodziła młodszą siostrę albo braciszka?

Rozmawia Pan z ciężko chorymi dziećmi o tym, że umrą?

Sytuacja w ZOL-u jest o tyle bardziej komfortowa od tej w szpitalu, że mogę sączyć te informacje miesiącami. Rozmawiamy na bieżąco, zwłaszcza z dziećmi starszymi i sprawnymi intelektualnie. Chociaż zdarzają się trudne momenty. Mamy np. pod opieką rodzeństwo z dystrofią mięśniową. To postępująca choroba uszkadzająca mięśnie. Pacjenci z czasem przestają chodzić, poruszać się, a na końcu – oddychać. Młodszy z braci, który jest pod naszą opieką, widział, jak umiera jego starszy brat. Czyli wie, dokąd to zmierza. Oczywiście tłumaczymy mu, że zrobimy wszystko, aby go nie bolało, by nie miał duszności – jemu na tym bardzo zależy. Ale nie jest to zbyt pocieszające.

Czy możliwa jest sytuacja, w której ten chłopiec kończy 18 lat, jest w ciężkim stanie, a Pan musi go wypisać do placówki dla dorosłych?

Tak. Takie dziecko to trybik w systemie, a ten bywa bezduszny.

Zdarzało się Panu wypisać z ZOL-u nastolatka przewlekle chorego, ale zdolnego do samodzielnego życia? I jeśli tak, to czy takie dziecko dostaje wsparcie od państwa?

Z opowieści sióstr wiem, że w ostatnich latach były dwa takie przypadki. Dwie osoby z przepukliną oponowo-rdzeniową wyszły z ZOL-u, dostały mieszkania treningowe i nauczyły się funkcjonować normalnie. Jedna odwiedza nas w Wierzbicach. To chłopak, który gra w kosza na wózkach. Jest przykładem i wsparciem dla naszego obecnego podopiecznego, Mateusza, też zafascynowanego koszykówką. On również ma szanse na samodzielne życie. Ma 15 lat, więc mamy jeszcze trzy, żeby go przyzwyczaić do myśli o wyjściu. Jeszcze go nauczymy, które pieniądze są prawdziwe.

© Rozmawiała ANNA KIEDRZYNEK

Imiona niektórych dzieci zostały zmienione.

ARCHIWUM PRYWATNE

MICHAŁ BŁOCH jest lekarzem w trakcie specjalizacji z pediatrii, absolwentem studiów podyplomowych z etyki w pediatrii i perinatologii. Leczy dzieci z chorobami przewodu pokarmowego. Pracuje w Hospicjum dla Dzieci Dolnego Śląska „Formuła Dobra" oraz w ZOL-ach w Wierzbicach i w Jaszkotlu.

ED JONES / AFP / EAST NEWS

Fanka na tle bilbordu grupy BTS. Korea Południowa, Seul, październik 2019 r.

Oczy Jungkooka

MARIUSZ SEPIOŁO

Milenialsi mają nowy sposób wyrażania depresyjnych myśli i poczucia odrzucenia. Tylko kolor czarny dawnej estetyki emo zastępują barwami tęczy.

K-POPEM FASCYNUJĄ SIĘ MILIONY NA całym świecie. Miliony codziennie znoszą nieprzyjemne komentarze odnoszące się do wyglądu ich idoli. Na początku tego roku prowadzący jeden z najchętniej oglądanych programów polskiej telewizji śniadaniowej komentowali zdjęcie Jungkooka (gwiazdy południowokoreańskiego zespołu BTS), który w jednym z plebiscytów został uznany za najprzystojniejszego mężczyznę na Ziemi. „Twarz niezbyt męska – ironizowali dziennikarze. – I te oczy. Czy te oczy mogą kłamać?". Potem widzowie obejrzeli reportaż, w którym dziennikarz wybrał się na targowisko ze zdjęciem innego wykonawcy, by zapytać, co myślą o nim „zwykli Polacy". „Moja krowa też ma kolczyk" – komentuje jedna z zapytanych.

Południowokoreański pop dawno przestał być tylko gatunkiem muzyki. Wykształcił sposób ubierania się, układania fryzur, żargon. W warstwie muzycznej nie odchodzi daleko od popu puszczanego w radiach w całym zachodnim świecie. Podkłady muzyczne mają chwytliwe melodie, oparte na sprawdzonych schematach. To dzięki nim – a także dzięki spektakularnym teledyskom, w których k-popowi artyści perfekcyjnie synchronizują taneczne układy – muzyka przeniosła się na listy przebojów w Stanach Zjednoczonych i dalej w innych krajach świata.

Koreańska grupa BTS sprzedała w ubiegłym roku 4,2 mln płyt. Prowadzący popularny *talk-show* James Corden zaprosił zespół do jednego z odcinków swojego „Carpool Karaoke" (filmik obejrzano dotąd 26 mln razy). Utwory k-pop na YouTubie odtwarzane są miliardy razy. Na całym świecie w siłę rośnie baza fanów koreańskiego popu, zakochanych w tej prostej stylistyce i jej przedstawicielach.

Przecież oni są identyczni

Do Polski zainteresowanie k-popem dotarło kilka lat temu. Trudno oszacować dokładny moment, ale do powszechnej świadomości z pewnością przedarł się PSY i jego taneczny „Gangnam Style". Refren tego kawałka znali wszyscy.

Moi rozmówcy k-popem interesują się od kilku lat – ich fascynacja raczej nie zaczęła się od tego utworu. Muszą wiedzieć o koreańskim popie wszystko i jeszcze więcej, by nadążać za nowościami. W swoim gronie zamiast imion wolą używać pseudonimów, które brzmią jak nazwy koreańskich zespołów. Często są zresztą zaczerpnięte z k-popowej estetyki. Na co dzień żyją normalnym życiem nasto- i dwudziestolatków: uczą się, studiują, pracują.

Mizzu, czyli Paulina, wsiąkła w roku 2010. – Przez przypadek wpadłam na ↦

↦ piosenkę „What A Girl Wants" zespołu 4minute – mówi. – Byłam od niej uzależniona, nie wiedząc, w co się pakuję. Zaczęłam szukać dalej.

Dziewczyna o pseudonimie Kuroi zaczęła jeszcze w gimnazjum. Interesowała się Japonią, tamtejszą kulturą i anime. Z Japonii przerzuciła się na Koreę – zobaczyła, jak postaci z anime tańczą do k-popowego hitu. – K-pop stał się dla mnie ważny głównie przez teksty piosenek, w których artyści opisują sytuacje życiowe, problemy.

Nottek, czyli Patrycja, pamięta dokładny moment. Rok 2013 r., była wtedy adminką na stronie poświęconej Harry'emu Potterowi. W k-pop wprowadziła ją dziewczyna poznana w sieci. Pierwsza spodobała jej się piosenka zespołu Big Bang. – Sama nie wiem, co takiego jest w tej muzyce... Może inna kultura, może całkiem inne brzmienie? – zastanawia się. – Nie spodziewałam się, że coś, co może wydawać się wręcz dziecinne, wejdzie aż tak bardzo w moje życie.

Pytam o najczęstsze stereotypy wokół k-popu. – Ludzie myślą, że każdy piosenkarz jest osobą homoseksualną, i że każdy wygląda tak samo – mówi Kuroi. Na co dzień uczy się w technikum eksploatacji portów, lubi sobie pośpiewać i nagrywać filmy na YouTubie.

– Czasem słyszę pytania: „To faceci czy kobiety?". Albo: „Przecież oni wszyscy są identyczni" – mówi Nottek, 23-latka, która na portalu zajmuje się m.in. profilami artystów i recenzjami. Jak przyznaje, choć jest dorosła i pracuje, k-pop to ważna część jej życia.

– Denerwuje mnie – mówi Ania – kiedy ludzie wypowiadają się o artystach jako o „Chińczykach, którzy wyglądają tak samo". Wiele osób nie chce nawet spróbować zapoznać się z tą kulturą i muzyką, bo uważa, że barierą jest język. Ja też nie znałam koreańskiego, ale nie było to dla mnie problemem, a wręcz przeciwnie: stało się fascynacją. Chciałam się tego języka nauczyć.

Weterani emo

Jeszcze niedawno popularna wśród młodych była subkultura emo. W potocznym odbiorze kojarzyła się z nadwrażliwymi nastolatkami, którzy w buncie wobec okrutnego świata malowali włosy i oczy na czarno, a co bardziej radykalni nacinali skórę żyletkami. Przed emo był w latach 90. grunge, jeszcze wcześniej punk, a na początku tego stulecia swoją fazę szczytową miał z kolei nu-metal. K-popowi daleko do agresji punku czy nisko nastrojonych gitar nowego metalu. Ale milenialsi mają nowe, własne emo. Tylko kolor czarny zastępują wszystkimi barwami tęczy.

K-pop swój ogromny sukces zawdzięcza perfekcyjnie skonstruowanej machinie, przygotowującej piosenkarzy do odgrywania roli gwiazd. Kandydat trafia do jednego z wielkich przedsiębiorstw, które uczy go śpiewać, tańczyć, wymyśla jego stylizację, komponuje i produkuje piosenki, a potem czuwa nad przebiegiem jego kariery. Gwiazdy skarżą się potem na chroniczne przemęczenie i wyzysk. Dziennikarze agencji Bloomberg News twierdzą, że k-pop to przemysł oparty na niezdrowych relacjach, wykorzystywaniu początkujących artystów. Doszło do kilku głośnych przypadków samobójstw k-popowych piosenkarzy.

Nie każdy chce tę mroczną stronę dostrzegać. Fani wolą w swoich idolach widzieć szczerych artystów, którzy dzielą się swoją niedolą. – K-pop uczy nas bycia sobą. Nieważne, co i kto o nas sądzi – mówi Ania vel. Lavender Tae. – Jesteśmy wyjątkowi i jedyni w swoim rodzaju. Ta muzyka uczy szacunku do samego siebie. Wiele osób z mojego kręgu zmaga się z samoakceptacją.

Gwiazdy k-popu kształtują dziś postawy milionów nastolatków w Korei Południowej i na całym świecie. Są znakiem rozpoznawczym stylistyki, w której dominuje poczucie krzywdy i odrzucenia. Życie młodych w ich tekstach to życie ofiary wypchniętej na margines, niechcianej i niezrozumianej. K-popowcy to wrażliwcy odtrącani w szkole, wytykani palcami na ulicy. W jednym z najbardziej popularnych teledysków artysta chce wejść do popularnego klubu, ale zostaje brutalnie wyrzucony na ulicę przez rosłych bramkarzy.

Opowieści tych, którzy do dźwięków k-popu się budzą i do niego zasypiają, pokazują, jak bardzo ten przekaz jest potrzebny – artyści kierują swoje słowa do niszy chłonącej tę narrację jak gąbka.

– Czego uczy nas k-pop? Że należy być sobą, nie zwracać uwagi na negatywne opinie innych – mówi Grazia. – Należy takie osoby ignorować, to dla nas wampiry energetyczne.

Grazia to prywatnie Grażyna. Na stronie Kpoplivepolska.pl zajmuje się sprawdzaniem artykułów, przekładów tekstów, postów i tekstów autorskich. Na co dzień studiuje turystykę i rekreację, jest już na magisterce. Uczy się koreańskiego. Oprócz tego prowadzi drużynę harcerską.

Marta jeszcze kilka lat temu o k-popie mówiła wszystkim. Zachwyciła się nim na studiach i piosenki BTS puszczała koleżankom w akademiku na cały regulator. – Najbardziej podobał mi się smutek. Melancholijne, powłóczyste melodie. Zauważyłam, że kiedy zaczynał się szybszy bit, włączałam kolejny kawałek. W końcu poczułam, że jeszcze trochę i popadnę w jakiś straszny dół. Godzina słuchania smutnych k-popowych piosenek jest trochę jak trans, w którym czujesz się bezpiecznie. Karmisz się tymi smutnymi historiami.

Strony w sieci grupują cytaty z k-popowych piosenek w różne kategorie. Jest też dział z „mrocznymi" linijkami. „Jestem niepotrzebny / Wrzucam te zdjęcia / Ale nikt nie zna / Ukrytych za nimi uczuć" – śpiewa Dean, koreańska gwiazda. „Dzisiaj wszystko było takie trudne / Nic nie wypełni mojego pustego serca" – to cytat z Jessiki Jung. Bobby iKON wtóruje: „W środku jestem półmartwy".

Biju Belinky, dziennikarka portalu Vice.com, opisywała swoje kontakty z fanami k-popu. Z zaskoczeniem odnotowywała, że większość z nich (zresztą tak jak ona sama) to „weterani" emo z początków XXI wieku. Dlaczego? Pociąga ich taka sama szczerość, smutek i agresja, jak w muzyce zespołu My Chemical Romance sprzed 15 lat.

Sama Biju przyznaje, że w k-popie zakochała się w trudnym dla siebie czasie, kiedy borykała się z depresją. Przy emo przeżywała smutek i gniew. K-pop także był pożywką dla złych emocji, ale dał jej też nadzieję.

© MARIUSZ SEPIOŁO

RDC POLSKIE RADIO

O duchach polskich miast, o przedmieściach Krakowa, o cyberpunkowym Śląsku i architekturze Gdańska opowie OLGA DRENDA (tekst w naszym wakacyjnym dodatku „Włóczykij i Powsinoga"), która będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 8 lipca o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia.

| Warszawa 101 FM |Ostrów Maz. 87,6 FM
| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

ANNA

Dziewit-Meller:
Miasto z marzeń

Myślałam, żeby napisać dziś felieton, w którym zwróciłabym się do kobiet głosujących na Krzysztofa Bosaka z pytaniem, dlaczego tak wybierają i czy można coś zrobić, by zmieniły zdanie. Ale potem pomyślałam, że one nas może jednak nie czytają i nie ma to sensu. Następnie przyszło mi do głowy, żeby w takim razie zapytać tych, co nas czytają, jak myślą, co zrobić, by ci, co nas nie czytają, jednak przeczytali i mieli ochotę odpowiedzieć na takie pytanie. Ale ten pomysł też wydał mi się ostatecznie taki sobie – bo jestem pewna, że ci, co nas czytają, nieraz zadawali sobie te pytania i jasne jest, że nie ma na nie dobrych odpowiedzi. Bo gdyby były, to może w ogóle nie trzeba by było stawiać pytania wyjściowego kobietom głosującym na Bosaka, którego starszy kolega partyjny uważa, iż „mądre kobiety doskonale wiedzą, że w ich interesie leży, by kobiety NIE MIAŁY czynnego prawa wyborczego".

Socjolożka Elżbieta Korolczuk w tekście dla „Wysokich Obcasów" starała się analizować to zjawisko, jakim jest rosnący odsetek kobiet wspierających coraz bardziej skrajną prawicę w Polsce. Nie będzie wielką niespodzianką, gdy napiszę, że wyszło jej, iż generalnie chodzi o godność i poczucie bezpieczeństwa: „Dziś już wiadomo, że takie instrumenty [jak 500 plus – ADM] nie zwiększają dzietności ani nie likwidują ubóstwa wśród dzieci, ale skutecznie zachęcają wiele kobiet do zagłosowania na partie, które i w słowach, i czynach doceniają je jako żony i matki. Jeśli lewica i liberałowie nie będą mieli pomysłu na dobrą politykę społeczną, popartą spójną opowieścią o tym, że wolność musi być zawsze połączona z solidarnością, nie powinni liczyć na szerokie poparcie wśród tej grupy kobiet". Dziękuję, nie mam więcej do dodania, może oprócz: „Elżbieta Korolczuk na prezydentkę".

Zrezygnowana i pogrążona w marazmie, postanowiłam przestać czytać analizy polityczne i zająć się czymś, co nie odbiera mi woli życia ani poczucia sprawczości. I wtedy natrafiłam na nową książkę Katarzyny Boni „Auroville. Miasto z marzeń". Uprzedzając uprzedzenia – nie, nie jest to książka o sekciarskim miasteczku hippisów powstałym w Indiach. Nie – bynajmniej nie jest to po prostu kolejna newage'owa mantra o świecie bez wojen, religii i własności. Książka Katarzyny Boni, choć o takim hippisowskim projekcie opowiada, jest przede wszystkim rzeczą o tym, co w człowieku może zagrać, gdy na chwilę spojrzy na siebie z boku, otrząsnąwszy się z kulturowego tynku, jakim go wyszpachlowało wychowanie, oraz o tym, że człowiek musi mieć marzenie.

Samo Auroville to realizacja utopijnej wizji niezwykłej kobiety, urodzonej w Paryżu filozofki Mirry Alfassy zwanej Matką, która pod koniec lat 60. XX wieku stworzyła w Tamilnadu niezwykły projekt – miasto, w którym ludzie z całego świata próbują zbudować społeczeństwo bez pieniędzy, bez własności prywatnej, instytucji, religii, podziałów. Położone na południu Indii, niedaleko Pondicherry, miejsce, do którego ściągali ludzie z całego świata w poszukiwaniu odpowiedzi na pytania o sens, powód, przeznaczenie ludzkiego życia, różniło się jednak od pozostałych wspólnot, jakie powstawały na fali zainteresowania Zachodu Wschodem w latach 60. i 70. I, co ciekawe – przetrwało do dziś, a Katarzyna Boni trafiła tam, by miejsce to najpierw opuścić z pewnym niesmakiem, a potem wrócić, by zrozumieć, co właściwie opuściła i dlaczego.

Opowieść o ludziach, którzy chcieli budować utopię, którzy mieli marzenie i nie bali się za nim podążać, czytałam z rosnącym niepokojem i smutkiem. Nie o konkretną ideę leżącą u podstaw Auroville mi jednak chodziło: po pierwsze, różnie było z jej faktyczną realizacją. Po drugie – wcale nie jestem pewna, czy ta konkretna utopijna wizja świata byłaby moją. Smutek podczas lektury wynikał raczej z poczucia, że żyję w cywilizacji cynizmu i dystansu względem jakichkolwiek idealistycznych marzeń o lepszym jutrze. Moje dzieci będą dorastać w świecie, w którym coraz mniej jest miejsca na szalone utopijne wizje pięknej przyszłości, w świecie, w którym nie czas na marzenia. A przecież w utopii nie o to idzie, by ją zrealizować – taka jej natura, że wciąż będzie się wymykać z rąk – lecz by mając jej wizję, próbować się do niej trochę zbliżać. Zmierzać w stronę swojego Królestwa Niebieskiego.

Boni przywołuje poetę W.H. Audena, który dzielił ludzi na Arkadyjczyków i Utopistów. Pierwsi tęsknią za tym, co było, drudzy za tym, co będzie. Żyjąc w krainie pełnej Arkadyjczyków, którymi kieruje nostalgia i pesymizm, że „lepiej już nie będzie", chciałabym jednak wykrzesać z siebie odrobinę Utopistki, pozwolić sobie na tęsknotę za lepszym światem. „Podobno mamy w sobie gen, który pcha nas na drugi brzeg wielkiej wody, choć nie mamy pojęcia, czy drugi brzeg istnieje" – pisze Boni i dodaje, cytując badaczkę utopii Ruth Levitas, że to nie utopia jest niemożliwa. Niemożliwe jest życie bez dalszej zmiany. To, czy przeżyjemy jako gatunek, zależy od tego, czy potrafimy na nowo wytyczyć drogę do utopii. Choćby tej, gdzie na urząd prezydenta startują kobiety, na które chcą zagłosować inne kobiety. Marzyć trzeba. ©

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Opolu Lubelskim, w sprawie I Ns 274/19, toczy się postępowanie z wniosku Czesława Stępnia o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości położonej w miejscowości Babin, gmina Bełżyce, stanowiącej działkę oznaczoną w ewidencji gruntów numerem 717, o powierzchni 0,04 ha.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych do wylegitymowania praw do ww. nieruchomości w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia. Jeżeli w tym terminie nikt się nie zgłosi albo zgłosiwszy się, własności nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

WIARA

KONIEC ŻYCIA W ILUZJI

KARD. MATTEO ZUPPI, METROPOLITA BOLONII:

Pandemia jest złem powszechnym, naszą odpowiedzią powinno być braterstwo powszechne. Przychodzi nam to z wielkim trudem.

ZUZANNA FLISOWSKA: Samotny papież na placu św. Piotra w deszczu błogosławi miastu i światu – ten obraz modlitwy w intencji ustania pandemii działał na wyobraźnię. Franciszek powiedział wtedy, że płonna była nadzieja na to, iż będziemy żyć zdrowo w chorym świecie. Doszliśmy do ściany przez logikę rywalizacji, zysku, panowania nad ludźmi i środowiskiem. Jak wyjść z tego potrzasku?

KARD. MATTEO ZUPPI: Przede wszystkim uznając pandemię. To nie jest oczywiste i nie było łatwe. Ponieważ należy nazwać rzeczy po imieniu. We Włoszech wielu na początku mówiło: „To tylko mocniejsza grypa, tylko pojedyncze przypadki, niegroźna, bo atakuje tylko starszych". Wobec tego, że za kilka miesięcy dołączam oficjalnie do kategorii starszych, ponieważ kończę 65 lat, byłbym zainteresowany, żeby i oni byli brani pod uwagę.

Trudność z uznaniem pandemii była wszędzie. Zawiniona czy nie i kto ponosi za nią odpowiedzialność – historia nam to wyjaśni. Z wielkim wysiłkiem przyznawano, że mamy do czynienia z pandemią, i nie wszędzie w ogóle do tego doszło. Z jednej strony popadamy w ryzyko maksymalistycznego odbioru tej sytuacji, z drugiej mamy odbiór minimalistyczny, który też jest oczywiście niebezpieczny.

Stwierdzenie papieża Franciszka wcale nie jest oczywiste: dlaczego myślimy, że będziemy żyć zdrowo w chorym świecie? Nie jest to zbyt logiczne. Żyliśmy iluzją, którą wirus obnażył: nam się to nie przytrafi, to problem innych. A jednak dosięga wszystkich – od premierów po staruszków w domach opieki. To powinno nam uświadomić, że płyniemy wszyscy tą samą łodzią. Strach każe nam budować mury, a wirus pokazuje, że na nic się one nie zdają. Musimy włożyć wysiłek w próbę uleczenia świata, który jest chory, uświadomić sobie, że nawet jeśli problem nas nie dotyczy bezpośrednio, w interesie każdego jest uzdrowienie tego świata. Jest obawa, że nie zrozumiemy tego stwierdzenia papieża Franciszka, że będziemy dalej konstruować iluzoryczne mury albo że wrócimy do poprzedniego życia bez tej świadomości. Musimy zatem mieć w pamięci całe to cierpienie, wszystkie osoby, które umarły, musimy nazywać rzeczy po imieniu. Konfrontując się z rzeczywistością, musimy dokonać wyboru, czy otworzyć oczy, czy nie, zacząć działać czy nie.

Skoro mamy nie wracać do świata z nierównościami ekonomicznymi, z egoizmem, z konfliktami, to jak szukać nowej drogi?

Pamiętając, że rozwiązanie znajdziemy tylko razem, że każdy z nas jest odpowiedzialny za innych, w dobrym i złym sensie. Również dzisiaj, nie tylko w najgorszej fazie infekcji, mogę być zarówno zarażającym, jak i zarażanym. Jestem więc odpowiedzialny za innych. I oczywiście muszę pamiętać, że mam zwalczać wirusa, nie innych ludzi. W imię wspólnej odpowiedzialności muszę dbać o nierozprzestrzenianie się wirusa. Dlatego uważam, że pierwszym krokiem jest osobista przemiana. Następnie, jeśli wszyscy jesteśmy na tej samej łodzi, trzeba naprawić tę łódź i sprawić, żeby działała dla wszystkich.

Powinniśmy sobie przypomnieć o naszym braterstwie?

To też nie jest wcale oczywiste. Pandemia jest złem powszechnym, naszą odpowiedzią powinno być braterstwo powszechne. I nie ma wątpliwości, że to przychodzi nam z wielkim trudem. Bo często boimy się, że braterstwo zniweluje naszą tożsamość, albo wydaje nam się ono zbyt przytłaczające. A tymczasem nie sposób w świecie, który stał się taki mały, wierzyć, że wciąż możemy żyć podzieleni albo uratować się w pojedynkę. Więc ja pierwszy muszę zacząć się zmieniać i muszę wziąć na siebie odpowiedzialność za innych – tak jak było podczas pandemii.

Po epidemii wielu z naszych bliźnich dotknie poważny kryzys ekonomiczny. Czekają nas systemowe, polityczne pytania. Co chrześcijaństwo może wnieść w budowę nowej ekonomii?

Ktoś pomyśli, że chrześcijaństwo nie ma z tym nic wspólnego, zapominając o Liście św. Jakuba, w którym m.in. czytamy: „Jeśli na przykład brat lub siostra nie mają odzienia lub brak im codziennego chleba, a ktoś z was powie im: »Idźcie w pokoju, ogrzejcie się i najedzcie do syta!« – a nie dacie im tego, czego koniecznie potrzebują dla ciała – to na co się to przyda?". Na nic ci taka wiara, jeśli nie ↦

MASSIMO PAOLONE / AGF / GETTY IMAGES

KARD. MATTEO MARIA ZUPPI (ur. 1955) pochodzi z Rzymu. Od młodości związany ze wspólnotą Sant'Egidio niosącą pomoc osobom bezdomnym i biednym oraz angażującą się w pokojowe negocjacje w różnych zapalnych miejscach świata (jako ksiądz m.in. w latach 90. negocjował zawieszenie broni w Mozambiku, które zakończyło trwającą od 15 lat wojnę domową). Od 2012 r. jako biskup pomocniczy rzymski wspierał parafie przyjmujące imigrantów. W 2015 r. zastąpił na stolicy biskupiej w Bolonii kard. Carlo Caffarrę, jednego z największych krytyków obecnego papieża. Kardynałem został w 2019 r.

idą za nią czyny. Związek między wiarą a uczynkami jest nierozerwalny. Chrześcijanin nie żyje poza światem; żyje poza logiką tego świata, to prawda, ale wewnątrz świata. Czyli w tym przypadku musi skonfrontować się z ekonomią, będąc wolnym od rynkowej logiki zysku. Wobec tego, że pandemia pogłębia nierówności, potrzebujemy zacząć odbudowę od fundamentu etycznego.

Rynek wywrócił etykę do góry nogami. Zredukował ją do czegoś nieużytecznego. A nawet przekonał nas, jakoby etyka przeszkadzała rynkowi w zapewnieniu dobrobytu, który miał przynieść. To jakby powiedzieć: „z tą całą etyką nie pozwalacie nam robić interesów, które zapewnią dobrobyt wszystkim". A to nieprawda! Rynek wielokrotnie zawiódł te oczekiwania i wciąż je zawodzi, bo wcale nie jest nam dobrze, kiedy mamy wiele. Ekonomia musi zagwarantować człowiekowi to, co jest mu potrzebne. Kościołowi zależy na tym, by człowiek znalazł to, co jest mu konieczne do życia, i żeby to znaleźli wszyscy. Dlatego potrzebujemy etyki i potrzebujemy odbudować ekonomię, w której człowiek stoi w centrum i nie jest wykorzystywany do budowania dobrobytu jedynie wybranych.

Firma FAAC, która przez zapis testamentowy stała się własnością diecezji bolońskiej, zasłynęła tym, że osiągając dobre wyniki biznesowe, przeznacza zyski na rzecz pracowników i dobroczynności. Czy to przykład przełożenia etyki na konkretne warunki?

Bez wątpienia. I mówię to, będąc świadomym, że robimy wciąż za mało, to znaczy, że wszyscy musimy się jeszcze uczyć używania narzędzi ekonomicznych. To, że zyski przedsiębiorstwa nie służą jednej osobie, żeby mogła sobie kupić jacht czy spełnić inne fantazje, ale zostają użyte dla dobra innych, jest właściwym sensem bogactwa. Jeśli bogactwo staje się zabawką dla jednostki, a nie talentem używanym dla innych, to i jednostka ma się źle, i inni na tym tracą. Bo bogactwo niszczy jednostkę i jeśli zatrzymuję je dla siebie, znaczy, że zabieram je temu, kto potrzebuje.

Licząc się z realiami rynku, FAAC przyjmuje jako regułę, że zyski służą do tworzenia następnych miejsc pracy. Zyski służą też tworzeniu godnych warunków pracy, żeby to praca była dla człowieka, a nie człowiek dla niej. Myślę, że to dobra wskazówka dla ekonomii.

> Nie mamy usprawiedliwiać, ale przyjąć i kochać ludzi LGBT. Niektórzy uważają, że to oznacza brak klarowności, ale ja uważam, że właśnie takiej prawdy się od nas wymaga **– prawdy miłości.**

Istnieją w Kościele środowiska, które są szkołą tej logiki, by nigdy nie traktować drugiego człowieka jako środka do osiągnięcia czegoś, ale doceniać go po prostu za jego istnienie. Na przykład wspólnota Sant'Egidio. Wiem, że jest ona dla Księdza Kardynała bardzo ważna.

Wychowałem się w niej. Poznałem ją, gdy miałem 15 lat. Zostałem kapłanem w tej wspólnocie, jednocześnie jako syn Kościoła rzymskiego, podobnie jak sama wspólnota jest „córką" Kościoła rzymskiego. Nauczyłem się w niej przede wszystkim tego, że sens Słowa Bożego należy odczytywać w wymiarze osobistym i braterskim. Zawsze jako dwa nierozłączne wymiary: Ewangelia skierowana do mnie, którą dzielę się z braćmi. Ewangelia i ubodzy. Liturgia i służba. Wszystko to są wymiary nie przeciwstawne lub niezależne, ale bardzo mocno powiązane ze sobą. Tak więc Bóg i człowiek, ja i inni – to pary pojęć, które tworzą charyzmat wspólnot Sant'Egidio i które towarzyszyły mi i towarzyszą do dziś.

Sant'Egidio to w dodatku wspólnota założona przez świeckiego – prof. Andreę Riccardiego – w której

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

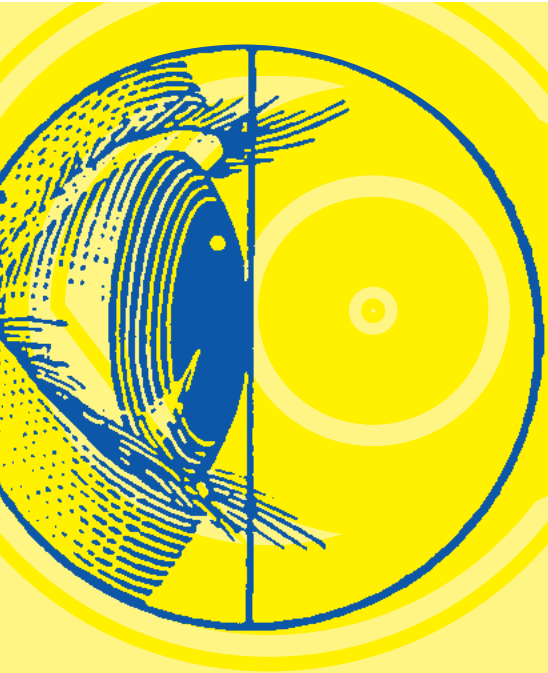

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących!

Już dziś rejestracja w internetowym kiosku **Stowarzyszenia „De Facto"** umożliwia bezpłatną lekturę „Tygodnika Powszechnego" osobom z orzeczeniem niepełnosprawności z tytułu wzroku.

Serdecznie prosimy Państwa o przekazanie tej informacji bliskim, przyjaciołom lub sąsiadom, którzy mogą być zainteresowani czytaniem naszego pisma w takiej formie.

Więcej informacji na powszech.net/dostepny

DE STOWARZYSZENIE FACTO

TYGODNIK POWSZECHNY

świeccy odgrywają zasadniczą rolę. Nie jest to jednak normą w Kościele, który, jak często powtarza Franciszek, jest chory na klerykalizm. Czy mamy możliwość wydostania się również z tej pułapki?

Więcej niż możliwość – mamy obowiązek się z niej wydostać. Sobór Watykański II wskazał w posługach Kościoła-ludu Bożego także sens służby księży. Klerykalizm nie służy duchownym, szkodzi im. Podczas gdy Kościół-lud Boży, Kościół-wspólnota przeciwnie – pomaga księdzu być sobą.

Co więcej, uważam, że Kościół klerykalny bez duchownych lub z małą liczbą duchownych jest nie do pomyślenia. Naprawdę ryzykujemy, że staniemy się muzeum. Jan XXIII rozpoczął Sobór Watykański II właśnie po to, by Kościół nie stał się muzeum, ale mógł stać się Wspólnotą, wspólnotą ludzi i pośród ludzi, otwartą, bez lęku, znaną z tego, jak bardzo kochamy siebie nawzajem i jak bardzo kochamy Boga i ubogich.

Klerykalizm dzieli wspólnotę kościelną na dwie rozłączne grupy: kapłanów i świeckich. Często wydaje się, że obie pracują nad utrzymaniem tego podziału. Dlaczego tak duży jest opór przed zburzeniem muru?

Bo to zmienia perspektywę i wymaga wysiłku. Kościół-wspólnota oznacza Kościół, w którym wszyscy jesteśmy zaangażowani. A tymczasem często uważamy, że Kościół musi zagwarantować usługi. Ale tych „usług", czyli sakramentów, nie można zrozumieć bez chrześcijańskiego życia. Nie możesz myśleć: „Przystąpiłem do sakramentów, jestem w porządku". Kościół, który udziela tylko sakramentów, nie zmienia życia ludzi. A tymczasem my bardzo potrzebujemy chrześcijan, a nie ludzi, którzy przystępują do sakramentów. To chrześcijanie nadają znaczenie sakramentom.

Mam wrażenie, że pandemia była papierkiem lakmusowym również w kwestii klerykalizmu. W czasie izolacji niemało osób świeckich odczuło, że ich przynależność do wspólnoty była iluzoryczna. Paradoksalnie mnogość mszy transmitowanych w internecie zdawała się sugerować, że świeccy nie są do liturgii koniecznie potrzebni, że msza będzie się odbywała również bez nich. Teologowie pytali: liturgia bez księdza odbyć się nie może, dlaczego odbywa się bez wspólnoty? Czy ten czas ma szansę zmienić coś w naszym rozumieniu wspólnotowości?

Mam taką nadzieję. Prawdą jest, iż również księża zorientowali się, że bez wspólnoty czegoś brakuje w celebracji. Że wspólnota jest niezbędna. Do tego stopnia, że w wielu przypadkach transmisja internetowa właśnie z tego wynikała – z próby bycia blisko wspólnoty, która niestety została zmuszona do podziału.

Teraz stoimy przed wielkim pytaniem: jak odbudować wspólnotę, jak ponownie ją zjednoczyć, uwolnić się od zbyt dużego indywidualizmu? Bo to prawda, że wirus rujnuje także życie społeczne. Jest ryzyko, że wspólnota stanie się zbiorem ludzi, w którym wszyscy pozostaną odizolowani. A przecież przykazanie każe nam kochać się wzajemnie, a nie uczęszczać do tego samego kościoła. Jesteśmy nazywani braćmi i siostrami, być może musimy nauczyć się rzeczywiście to okazywać.

Jednak klerykalizm to nie tylko kwestia mentalności. To jest również konkretna struktura i przepisy, które całą władzę oddają w ręce biskupów, uzależniając od ich dobrej woli transparentność decyzji. Czy są jakieś konkretne perspektywy na to, by tą władzą podzielono się ze świeckimi?

W Kościele największy jest ten, kto służy. Jeśli istnieją deformacje, w wyniku których służba zostaje zredukowana do władzy, to nie jest to dobre. Wszyscy musimy zacząć od nowa, od idei służby. Ksiądz bez wspólnoty nie ma sensu. Uważam, że musimy kontynuować perspektywę nakreśloną przez papieża Franciszka, która polega na zrozumieniu, jaki jest sens wspólnoty, poprzez wyjście do innych. Wtedy zrozumiemy sens bycia wspólnotą i to, że wspólnota nigdy nie może być klubem wybranych, ale rodziną z otwartymi drzwiami.

Żeby więc nie mówić o władzy, mówmy o decyzjach. Czy istnieją sposoby, dzięki którym duchowni mogą podzielić się podejmowaniem decyzji ze świeckimi?

Jest wiele kwestii, które nie powinny być w gestii księży. Na przykład księża powinni się uwolnić od wszystkich spraw administracyjnych. Jeśli uważają, że są ważni, bo mają gruby portfel, to się mylą. To jest pokusa. Jesteś ważny nie dlatego, że masz portfel, ale dlatego, że wspomagasz tę komunię, która jest wspólnotą. Czasami, niestety, człowiek myśli inaczej. To nie jest logika naszego Pana. Zdaje się, że powiedział On, żeby nie nosić pieniędzy ani torby...

To jest przykład. Ale świeccy nie są wykonawcami poleceń duchownych, są pełnoprawnymi chrześcijanami i jak wszyscy chrześcijanie ponoszą odpowiedzialność za Kościół. W tej rodzinie nie ma zarządzających i widzów, to jest nasz wspólny dom. W moim rodzinnym domu, kiedy ustawiałem się w roli widza, zawsze szybko interweniowała moja matka lub bracia, którzy mówili mi po prostu: „pomóż nam!".

Właśnie ukazała się we Włoszech książka „Kościół i homoseksualizm" (red. Luciano Moia), z przedmową Księdza Kardynała. Nie jest to pierwszy raz, kiedy wzywa Ksiądz do szacunku dla osób LGBT. Co powinno się zmienić w podejściu Kościoła do osób homoseksualnych?

Katechizm Kościoła Katolickiego mówi o homoseksualizmie jako o „obiektywnym nieuporządkowaniu", ale również prosi, by przyjmować takie osoby z szacunkiem. Jest z tym problem. Jeśli mój syn mówi mi, że jest homoseksualistą, przecież nie wyrzucam go z domu. Przyjmuję go. Nie oznacza to usprawiedliwiania problemów, ale kochanie ludzi i przez to pomaganie im. Niektórzy uważają, że to oznacza brak klarowności, ale ja uważam, że właśnie takiej prawdy się od nas wymaga, prawdy miłości. Nie ukrywając prawdy, ale jako „uważna i troskliwa matka" zawsze dając poczucie bliskości, zwłaszcza jeśli mamy do czynienia z cierpieniem.

Myślę, że nie ma potrzeby szczególnej opieki duszpasterskiej nad tą grupą, nawet jeśli w niektórych przypadkach musimy być blisko, aby pomóc zrozumieć ich sytuację, ponieważ często istnieje również presja ze strony świata. Ale możemy pomóc tylko poprzez bliskość i osobiste towarzyszenie, nie poprzez tworzenie abstrakcyjnych definicji i kategorii.

© Rozmawiała ZUZANNA FLISOWSKA

Dwa Kościoły

KS. ANDRZEJ DRAGUŁA

O przyszłość bycia księdzem we wspólnocie wierzących warto się spierać – stoimy bowiem na rozdrożu.

Dyskusja o kształcie kapłaństwa jest ważniejsza, niż nam się wydaje. Nie da się bowiem mówić o kapłanie bez relacji do świeckich, do wspólnoty Kościoła, do liturgii, do sakramentów, do Boga wreszcie. W artykule „Kapłańska futurologia" („TP" 25/2020) starałem się pokazać konieczność uwzględnienia dwóch odmiennych wizji: kapłaństwa pośredniczącego, zorientowanego bardziej wertykalnie, oraz kapłaństwa przewodniczenia, zorientowanego bardziej horyzontalnie. To pierwsze zorientowane jest na ryt i ofiarę, to drugie – na wspólnotę i ucztę.

Wzięta z Listu do Hebrajczyków tradycyjna formuła mówiąca, że „kapłan z ludu jest wzięty i dla ludu ustanowiony" (por. Hbr 5, 1), rozpada się na dwie niezależne, a może nawet wykluczające się wizje. W tej pierwszej kapłan jest nie tylko z ludu „wzięty", co wręcz z niego „wyjęty", zyskując jakąś zasadniczą teologiczno-społeczną inność, owo – jak pisał ks. Janusz St. Pasierb – „straszliwe wyobcowanie". W tej drugiej istotą kapłańskiej posługi jest bycie „dla ludu" i nie ma nic o jakiejkolwiek wobec niego inności, żadnego klerykalnego dystansu, raczej maksymalne upodobnienie.

W pół drogi

W swoim tekście zawarłem postulat, który wydaje mi się coraz trudniejszy do zrealizowania, a może nawet niemożliwy: postulat połączenia obu wizji. W zakończeniu napisałem: „Czy [ksiądz] będzie chciał poprzez ołtarz spoglądać w oczy zgromadzonych razem z nim na liturgii? Czy może raczej jego wzrok będzie się kierował ku Wschodowi? A może to fałszywa alternatywa? Może swoje kapłaństwo – jak to było chyba dotychczas – »wygrywają« ci, którzy potrafią złączyć w sobie oba kierunki? Popatrzeć ludziom w oczy i z oczu Boga nie stracić?". W polemicznym tekście pt. „Kościół bez duchowieństwa?" („TP" 27/2020) Piotr Sikora napisał: „[Ks. Draguła] zatrzymał się jednak – by tak rzec – w pół drogi". I ja się z tym sądem zgadzam. Świadomie zatrzymałem się w pół drogi. Co więcej, nie wiem, czy iść dalej, czy zawrócić. Bo co, jeśli żadna *via media* nie okaże się możliwa? Co, jeśli nie da się zbudować takiej koncepcji, która połączy obie tak różne od siebie wizje kapłaństwa?

Sikora pisze: „Nadchodzi prawdopodobnie czas różnorodności – w różnych miejscach Kościoły lokalne będą wyglądały bardzo różnie. Całkiem jednak możliwe, że powoli dominować zacznie model, w którym przyjęcie sakramentu święceń nie będzie wiązało się z wejściem w żaden osobny »stan duchowny« ani nawet z wykonywaniem w pewnym sensie odrębnego zawodu". O ile z pierwszym zdaniem jego diagnozy się zgadzam, o tyle z drugim już nie. Wcale nie jestem bowiem pewny, że ten drugi model – Kościoła „bez duchowieństwa" – będzie dominował. Coraz bardziej wydaje mi się prawdopodobne – i to może jest ta postulowana różnorodność – że będą współistnieć ze sobą oba modele: Kościół z ofiarniczym, wstawienniczym duchowieństwem i Kościół – nie umiem tego lepiej określić – ze zorientowaną wspólnotowo posługą święceń niektórych. I kto wie, czy nie będą to dwa różne Kościoły funkcjonujące obok siebie.

Kurs na rytuał

Nie tak dawno sprowokowałem na Facebooku dyskusję na temat filmu powołaniowego przygotowanego przez jedno z polskich seminariów duchownych. Ks. Grzegorz Strzelczyk tak skomentował wówczas ten spot: „Żadnego kadru z ludźmi. Koncentracja na kulcie, nie na wspólnocie. Kurs na kryzys". To prawda. W filmie dominowały ujęcia z liturgii sprawowanej w seminarium. A więc kult, i to kult – że tak powiem – wsobny. Jakby lud do liturgii – do życia? – wcale nie był potrzebny. Ten film uświadomił mi, że w świadomości kleryckiej – a może i w formacji seminaryjnej? – wciąż dominuje myślenie kultowo-ofiarnicze. Ksiądz jest po to, by sprawował liturgię, składał ofiarę, wstawiał się za lud.

To jest świadomość, która – tak wynika z moich obserwacji – wcale nie słabnie. Widać to choćby w zainteresowaniu kleryków tzw. liturgią trydencką, czyli rytem nadzwyczajnym. Zresztą nie tylko kleryków, bo coraz większej liczby księży także. Nie są w tym zainteresowaniu odosobnieni. W tych liturgiach bierze udział coraz więcej ludzi. Dlaczego tak się dzieje? Otóż dlatego, że wszyscy – zarówno duchowni, jak i świeccy – mają w tej liturgii jasno zdefiniowaną rolę, co ujawnia się także w samej topografii liturgii.

Można się na to zżymać, ale liturgia sprawowana *à l'ancienne*, a więc i dawny model kapłaństwa, są wcale popularne. Co więcej, ta popularność wynika z autentycznego zapotrzebowania. Dajmy świadectwo prawdzie: środowiska – nazwijmy je w skrócie – tradycjonalistyczne i tradycjonalizujące cieszą się licznymi powołaniami. Przykład? We francuskiej Wspólnocie św. Marcina pod koniec czerwca wyświęcono 11 księży i 27 diakonów. Nie jest to wspólnota *stricte* tradycjonalistyczna, ale wystarczająco klasyczna, ponieważ sprawuje się w niej liturgię w rycie zwyczajnym, za to z dużym naciskiem na *ars celebrandi*, śpiew gregoriański, duchowość benedyktyńską. Wspólnota ta rozwija się bardzo dynamicznie i obejmuje coraz więcej parafii – także poza Francją – opuszczanych

przez księży diecezjalnych. Czy nam się to podoba, czy też nie, trzeba przyznać, że jest zapotrzebowanie na takich księży i takie powołania się rodzą. I dobrze byłoby wyciągnąć z tego jakieś wnioski.

Antypody

Na teologicznych antypodach leży koncepcja proponowana przez Piotra Sikorę. Że ma ona zwolenników, to oczywiste. I zapewne – jak zresztą autor wykazuje – można dla niej znaleźć uzasadnienie teologiczne, wyrasta z bardzo określonej eklezjologii. Na konferencji online pt. „Kościół w dobie koronawirusa", zorganizowanej w czerwcu przez Wydział Teologiczny Uniwersytetu Szczecińskiego, mówił o niej ojciec Kasper Kaproń OFM z Uniwersytetu w Cochabamba (Boliwia). Punktem wyjścia była dla niego nie tylko sytuacja epidemii czasowo pozbawiająca Lud Boży dostępu do sakramentów, ale także sytuacja pastoralna Amazonii, gdzie taki stan pozbawienia ludzi ochrzczonych życia sakramentalnego jest faktycznie permanentny. Co zrobić w sytuacji stałego braku świętych szafarzy?

Kaproń przypomniał, że liturgia jest dziełem całego Ludu Bożego, dlatego też cały zgromadzony Kościół na mocy powszechnego kapłaństwa otrzymanego na chrzcie świętym jest podmiotem akcji liturgicznej. „Lud ten – mówił Kaproń – sprawuje swoje funkcje pod przewodnictwem wyświęconego ministra, który pełni funkcję ministerialną, czyli służebną. Funkcja ta – wynikająca z sakramentu święceń – jest funkcją bycia sakramentem, czyli ikoną Jezusa. Zadaniem ministra jest być znakiem jedności: tworzyć jedność zgromadzenia. Celebrans gromadzi lud, ale to cały Kościół celebruje Eucharystię. Jeżeli chcemy używać tradycyjnego i technicznego terminu »konsekracja«, to słuszniejszym jest twierdzić, że dokonuje jej całe zgromadzenie, a nie jedynie ksiądz. Chrystusowy nakaz »To czyńcie na moją pamiątkę« został skierowany do całego Ludu Bożego, a nie tylko do wybranej grupy mężczyzn". Służebna funkcja księdza polega tutaj na gromadzeniu, jednoczeniu, przewodniczeniu, a nie na wstawiennictwie czy pośrednictwie. Według boliwijskiego teologa w sytuacji skrajnej możliwe byłoby nawet sprawowanie Eucharystii bez wyświęconego szafarza. Wtedy teologiczne upodmiotowienie ludu byłoby pełne.

Potrzeby religijne

Nie będąc dogmatykiem, nie mam dostatecznych kompetencji, by oceniać poprawność teologiczną obu tych koncepcji. Być może są one tak samo zasadne, choć zbudowane na różnych teologiach odwołujących się do odmiennych interpretacji tego samego wydarzenia z Wieczernika. Jestem pastoralistą, a moje spojrzenie wynika z *praxis* kościelnej. Zaryzykuję jednak tezę, że wizja kapłaństwa ofiarniczego i wstawienniczego jest bardziej właściwa dla chrześcijaństwa rozumianego jako religia, a wizja kapłaństwa wspólnotowego – dla chrześcijaństwa rozumianego jako wiara. Tymczasem, nie pamiętam już, w którym tekście, ale Joseph Ratzinger pisał, że nie da się chrześcijaństwa jako wiary zupełnie wypreparować z naturalnych pokładów religii.

Ofiarniczo-wstawienniczy model kapłaństwa odpowiada na religijne potrzeby człowieka wierzącego. Czy należy je zignorować, porzucić, ponieważ wiary nie należy budować na naturalnej religijności? Wciąż jestem zdania, że potrzebna jest *via media*, a więc kapłaństwo ujawniające w sobie bardzo silnie oba wymiary: wstawienniczy i służebny, pośredniczący i jednoczący, rytualny i wspólnotowy. Śmiem twierdzić, że udawało się to przez dziesiątki lat w posoborowym Kościele w Polsce. Dziś – zdaje się – idziemy w kierunku alternatywy „albo-albo", czego niejakim potwierdzeniem jest fiasko pomysłów mówiących o fuzji obu rytów mszy: zwyczajnego i nadzwyczajnego. Kto wie, czy raczej nie będą się one oddalały, będąc wyznacznikiem Kościoła wysokiego i Kościoła niskiego, podobnie jak to jest w anglikanizmie?

Na koniec trudno sobie nie postawić pytania o kształt teologii powołania kapłańskiego w Kościele bez duchowieństwa. Co to w ogóle znaczy być księdzem w takim Kościele? Bo co to znaczy być księdzem w Kościele z duchowieństwem, by nie powiedzieć: klerykalnym, to wszyscy wiemy. Skoro już nie będzie radykalnej inności księdza, być może wtedy nie będzie już żadnego kapłańskiego powołania?

We wspomnianym spocie reklamowym – jak refren – pojawia się wypowiedź kleryków, którzy mówią o porzuceniu dotychczasowego życia, pragnień i zamiarów na rzecz „czegoś więcej". W Kościele bez duchowieństwa żadnego „czegoś więcej" nie będzie. Niczego nie trzeba będzie porzucać. Będą – jak pisze Sikora – wyświęceni, ale nie będzie księży. Na pewno ta wizja odpowiada jakiejś części naszych wiernych. A być może gdzieś i kiedyś się ziści. Na razie jednak odnoszę wrażenie, że religijne zapotrzebowanie na księży pośredników ma się zupełnie dobrze. ©

GODONG / GETTY IMAGES

Pozbywanie się lęku

WOJCIECH WERHUN, JEZUITA, DUCHOWY DORADCA:

Nie ma czegoś takiego jak powołanie życiowe wyznaczone ze wszystkimi szczegółami przez Boga. To szkodliwe złudzenie.

MARIUSZ SEPIOŁO: Jakie były początki?

WOJCIECH WERHUN SJ: Proste. Jestem odpowiedzialny za organizację jezuickich obozów powołaniowych, które odbywają się zwykle dwa razy do roku. Ze względu na epidemię ten wiosenny nie mógł się odbyć. Choć zgłosiło się zaledwie trzech chłopaków. Postanowiłem poszukać innej formy. Z pomocą jednego ze współbraci, który z wykształcenia jest programistą, stworzyliśmy stronę z webinarami, czyli szkoleniami *online*. Szybko okazało się, że zmienia się idea całego projektu. Zrozumiałem, że powinien to być kurs nie tylko dla przyszłych zakonników.

Dlaczego?

Wypuściliśmy stronę praktycznie bez żadnej promocji, a zainteresowanie przerosło nasze oczekiwania. Zaczęło do nas pisać również wiele kobiet z różnymi historiami życiowymi. Mamy za sobą już trzy edycje: dwie majowe i jedną czerwcową.

Uczono nas, że rozeznawanie odbywa się w życiu człowieka tylko raz, w młodości, kiedy człowiek definiuje swoje życie raz na zawsze, aż do śmierci. Nie zgadzam się z tym. Jesteśmy napędzani przez jakiś cel i sens, ale co kilka lat przychodzi czas pytań, zmiany hierarchii wartości. Szczególnie w momentach krytycznych, kiedy przeżywamy życiowe kryzysy zawodowe, osobiste czy utratę bliskiej osoby. Ludziom na różnych etapach życia przydarzają się chwile, kiedy zaczynają szukać narzędzi, które pozwoliłyby te chwile zwątpienia przepracować.

Takie kryzysy dotykają duchownych?

Nie tylko. Kurs „Rozeznaj powołanie" jest dla wszystkich, którzy chcą w jakiś sposób w swoje życie wplątać Boga. Ale zdaję sobie sprawę, że w życiu kapłana czy zakonnika szczególnie trudne bywają momenty zwątpienia. To życie, wokół którego narosło wiele mitów, oczekiwań i konwenansów. Taka presja może prowadzić do zrzucenia sutanny czy habitu. Chciałbym, żeby nasza internetowa platforma była naturalną pomocą dla osób stojących przed decyzją i zmianą, oferującą życzliwe towarzyszenie i praktyczne narzędzia. Kryzysy wiary czy właśnie powołania to nie jest temat, o którym w Kościele swobodnie się rozmawia. To jakieś dziwne tabu. Jeśli już rozmawiamy, to tendencyjnie, oceniająco i oskarżająco. Tymczasem ci cierpiący i poszukujący ludzie nie dostają konkretnej pomocy.

Ten problem nie bierze się z niczego.

Wyrażę teraz niepopularną opinię. Nie wierzę w istnienie czegoś takiego jak powołanie. Wynika to z mojego doświadczenia, ze studiów biblijnych i z pracy z ludźmi. Nie sądzę, żeby Bóg miał wobec nas gotowy projekt. Ludzie lubią myśleć, że to Bóg rozpisuje ich życie na konkretne punkty: studia, zawód, ludzi, których spotykają, choroby i nieszczęścia, które przechodzą itd. Ale z tym łączy się bardzo smutne przekonanie, że jeśli nie wstrzelę się w ten Boży plan, jeśli go nie wypełnię, to będę nieszczęśliwy. A potem spotkam się z Bogiem po śmierci i będzie ze mnie niezadowolony.

Uważam, że nie ma żadnego takiego planu. Przekonanie o jego istnieniu przynosi ludziom więcej szkody niż pożytku, także na poziomie duchowym. Od kiedy pracuję przy rekolekcjach powołaniowych czy ignacjańskich, widzę, że takie podejście prowadzi do realnych problemów, ponieważ ludzie, podejmując decyzję np. o wstąpieniu do zakonu, robią to w ogromnym lęku czy poczuciu zobowiązania. Mają też tendencję do tego, by unikać odpowiedzialności za swoje życie i decyzje, zrzucając je na tajemniczą „wolę Bożą". Jednocześnie niszczy to obraz Boga.

W jaki sposób?

Niektórzy przeżywają to naprawdę bardzo lękowo, podświadomie postrzegając Boga jako kogoś, kto się nimi bawi. Rekolekcje ignacjańskie, z których czerpiemy, dają dwa podstawowe doświadczenia konieczne do podjęcia dobrej decyzji: jestem kochany za darmo i jestem całkowicie wolny. Pomaga to podjąć życiową decyzję z hojnością i w poczuciu odpowiedzialności za samego siebie. Jednym z najważniejszych wniosków, z jakimi wyszli uczestnicy naszego kursu, było przekonanie, że Bóg jest po ich stronie. On nie chce ci gmatwać życia, On chce ci kibicować. Nie strzeli focha, bo nie robisz tego, co On dla ciebie zaplanował. Największy owoc takich rekolekcji to zaprzyjaźnienie się z Bogiem.

Czyli powołania nie ma?

Wszyscy jesteśmy zaproszeni do bycia z Bogiem i do życia w pełni. To jest prawdziwe powołanie, które wypływa z Pisma Świętego i duchowości chrześcijańskiej. A jak to zrealizujemy w naszym życiu, to już nasza sprawa. Miłość, wolność i odpowiedzialność za swoje decyzje wyznaczają nam kierunek.

Jak w praktyce kurs wyglądał?

ARCHIWUM PRYWATNE

WOJCIECH WERHUN jest jezuitą, księdzem, żeglarzem i egzegetą. Twórca kursu internetowego RozeznajPowolanie.pl. Pasjonat Tolkienowskiego Śródziemia, języka hebrajskiego i eskimoskiej tundry. Studiował filozofię na Akademii Ignatianum w Krakowie i Heythrop College w Londynie oraz teologię na Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie. Specjalizację z języka hebrajskiego i egzegezy zrobił na Boston College w USA. Zaangażowany w Odnowę w Duchu Świętym, kierownictwo duchowe oraz rekolekcje ignacjańskie.

MANFRED HORVATH / ANZENBERGER / FORUM

Salzburg, Austria

Trwał trzy dni, po dwa moduły dziennie. Każdy moduł rozpoczynał się 15-minutową konferencją wideo z krótkim wprowadzeniem. Potem każdy uczestnik dostawał artykuły do przeczytania. A do tego ćwiczenia duchowe, medytacyjne z Pismem Świętego, ale też w stylu eksperymentu myślowego. Przykład: wyobraź sobie, że umierasz, i napisz swój testament. Uczestnicy pracowali indywidualnie w ciągu dnia, po czym spotykaliśmy się *online*. Każdy mógł się odnieść do wykonanych ćwiczeń, powiedzieć, co zrozumiał, jak mu to pomogło, co go zainspirowało. Dyskutowaliśmy. Starałem się, żeby każdy webinar kończył się praktycznie. Pytałem: jaką zmianę chcesz wprowadzić teraz w swoje życie? Co takiego się wydarzyło? Jak zaplanowałbyś jutrzejszy dzień?

Efekty?

Dostaliśmy 13 formularzy z feedbackiem. Uczestnicy dzielą się w nich wszystkim, co wyciągnęli z kursu. Widać, że rozeznawanie powołania to nie jest zawsze podjęcie decyzji: w lewo albo w prawo. To przede wszystkim proces poznawania samego siebie. Sprawdzania, na ile jestem wolny, na ile jeszcze nie. Dlatego to trwa całe życie! Zdarzało się, że uczestnicy odkrywali np. wydarzenie w ich życiu, które ich „trzyma", blokuje i nie pozwala decydować o przyszłości. Takie odkrycie to bardzo konkretny owoc w kierunku dobrej decyzji! Jeden chłopak podjął ostateczną decyzję co do wyboru studiów.

Chętnych do kursu online było dużo więcej niż do tradycyjnego obozu powołaniowego. O czym to może świadczyć?

Szykowałem się na maksymalnie 12 osób. Przyjęliśmy 25, drugie 25 było na liście rezerwowej. Co to pokazuje? Rozeznawanie powołania to ciągle temat tabu. Chociaż na sam kurs zgłosiło się 50 osób, to jeszcze nigdy nie prowadziłem tak „martwego" fanpage'u na Facebooku. Okazało się, że prawie nikt nie chce go polubić, komentować. Zostawić po sobie jakiegokolwiek śladu. To moje wielkie rozczarowanie, zastanawiam się, jak się z tym zmierzyć. Widać, że wokół powołania narósł jakiś dziwny, tajemniczy, niemal sekciarski klimat. To nie pozwala zmierzyć się z tematem na poważnie.

Klerycy i księża opowiadają mi, że kiedy zastanawiali się nad pójściem do seminarium, nikomu o tym nie mówili. Nawet najbliższym.

O powołaniu w polskim Kościele można tylko szeptać – zresztą tak jak o wielu innych sprawach. Brakuje nam punktów odniesienia. Wyobrażenia o życiu duchownych najczęściej biorą się z kultury, filmów, telewizji, może plotek o życiu księży. W kościele z ambony słyszy się o żywotach świętych, z którymi nikt z nas nie ma nic wspólnego, bo prawdziwe życie tak nie wygląda. Z drugiej strony, z mediów dowiadujemy się o mrocznych stronach Kościoła, o pedofilii. Musi to rodzić ogromną niepewność. Albo dociera do ciebie totalne *sacrum*, albo totalne *profanum*.

Dla wielu ludzi jedynym przedstawicielem tego świata, z którym mają na co dzień styczność, jest proboszcz parafii. ↦

Wraz ze swoim specyficznym sposobem mówienia, poruszania się, dobierania tematów rozmów. Wszystko to jest dla ludzi po prostu obce. Ja sam widzę różnicę: kiedy jem obiad we wspólnocie i kiedy wychodzę ze znajomymi na obiad na zewnątrz. To dwa zupełnie różne światy. Pamiętam, jak rodzice odwiedzili mnie po roku w nowicjacie, kiedy jeszcze bezkrytycznie chłoniesz cały „zakonny" świat i jesteś w stanie przyjąć z niego wszystko. Powiedzieli: „Wojtek, co się z tobą stało? O czym ty mówisz? Jak się zachowujesz?". Jakbym przyleciał z innej planety. Dopiero później, kiedy mniej czasu spędzałem we wspólnocie, a więcej z ludźmi spoza zakonu, zaczęło mi się to normować. Wszystko to nie sprzyja rozumieniu problemów ludzi Kościoła i rozmowie o takiej kwestii jak powołanie.

Kościół za daleko odszedł od ludzkiej „normalności"?

Tak, jesteśmy zamknięci. I tego nie da się przełamać. Jestem w zakonie już 13 lat. Kiedy do niego wstępowałem, byłem zainspirowany przez „normalnych" jezuitów. Chłopaków, którzy robili muzykę, rap, reggae, którzy nosili krótkie spodnie i oddawali się barwnym pasjom. Teraz, po 13 latach, widzę, że zniknęli. Zostali „spacyfikowani"? Stracili energię i dali sobie spokój? Jedno jest pewne: ich dzisiaj nie widać. Zauważam niestety, że w Kościele ciągle dominuje przekonanie, iż świat zewnętrzny jest zły. Że dobry jest tylko nasz sposób myślenia, nasza organizacja czasu, nasz sposób na zarządzanie. W kontekście powołań jednym z głównych problemów ludzi wstępujących do zakonów jest odgórne oczekiwanie, że odrzucą „całą światowość". Wszystko, czego się dotąd nauczyli, co rozumieją. Nie ma w Kościele podejścia w stylu: przychodzi ktoś nowy, nauczmy się od niego czegoś nowego. To duża strata. Wszystko, co ludzie wstępujący do zakonu wypracowali przez ćwierć wieku swojego życia, za murami musi po prostu zniknąć. Wszystko oprócz tego, co pasuje do naszej układanki.

> Uczono nas, że rozeznawanie odbywa się w młodości, kiedy człowiek definiuje swoje życie raz na zawsze. Nie zgadzam się: przecież **co kilka lat przychodzi czas pytań, zmiany hierarchii wartości.**

I nie da się z tego schematu wyłamać?

Sam robię to głównie w rozmowach z ludźmi czy w tekstach, które publikuję. Wtedy to działa. Ale ciągle jest cała masa ludzi, którzy twierdzą, że jeśli myśli się inaczej, to jest to po prostu grzech i herezja. Poza tym, wszyscy wiemy, że zakonnicy, którzy próbują dialogować ze światem, są uciszani. Inni się wycofują.

A czego po kursie online dowiedział się prowadzący o własnym powołaniu?

Pracując nad przygotowaniem tego kursu zrozumiałem, że nie można myśleć o swoim życiu z lękiem. Nawet jeśli chodzą za nami trudne i bolesne pytania, to nie zaprowadzą nas w bagno, ale do życia. Tylko trzeba umieć z nimi posiedzieć i ich posłuchać. Warto być odważnym. Cokolwiek się dzieje. Nawet jeśli komuś rozpada się małżeństwo, a ktoś inny myśli o odejściu z zakonu – to nie ma się co spinać. Życia się nie przegrywa, ono toczy się dalej, wzbogacone o nowe, także trudne doświadczenia. A Bóg się nami nie rozczarowuje, nie taki jest dobry Ojciec.

Może bez lęku ten nasz Kościół nie cierpiałby tak mocno na syndrom oblężonej twierdzy.

Marzę o tym! Zazdroszczę ludziom żyjącym na zewnątrz, że podejmują życiowe decyzje z radością, a nie spiną. Żyją nadzieją i pragnieniami. A my w Kościele rozbijamy się ciągle o wątpliwości, nakazy i zakazy. Nasze życie staje się torturą. A przecież nie takiego życia chce dla nas Bóg.

© Rozmawiał MARIUSZ SEPIOŁO

REKLAMA

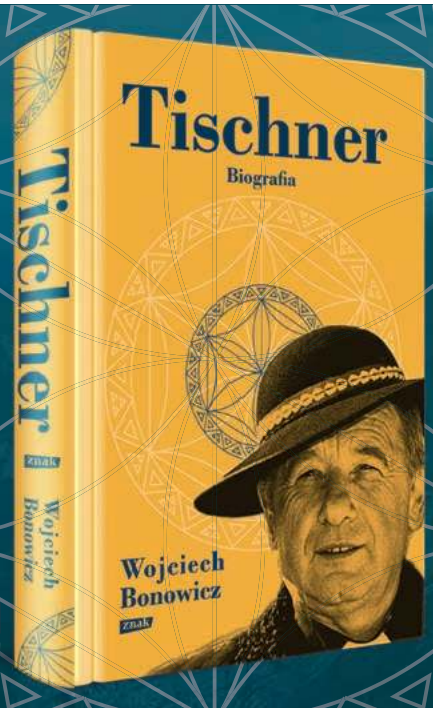

Spotkanie z człowiekiem, który przywraca ludziom nadzieję

Ktoś mi kiedyś powiedział, że jak Tischner wchodził do pokoju, to jakby się drzwi otwierały w człowieku. Drzwi się otwierały – i żyć się chciało. Każdy z nas nosi w sobie pragnienie, żeby przyszedł taki ktoś, kto mu powie: „Słuchaj, cała ta twoja szamotanina ma sens". Każdy chce to usłyszeć.

Tischner. Biografia to nowa książka. Choć można też powiedzieć – zmieniona i znacznie poszerzona wersja książki *Tischner* opublikowanej w 2001 roku. Dodałem wiele wątków, bo przez ostatnich dwadzieścia lat zebrałem mnóstwo nowych informacji, dotarłem do kolejnych dokumentów, wysłuchałem nowych opowieści.

Wojciech Bonowicz

PARTNER TYGODNIK POWSZECHNY znak

JUŻ W SPRZEDAŻY

kod rabatowy w księgarni 37tischner znak.com.pl

Terapia Kościoła

MACIEJ MÜLLER

O pograniczu psychologii i wiary, dojrzałej wierze i kryzysie Kościoła mówi w wywiadzie rzece ks. Jacek Prusak.

W gabinecie nie pozwala do siebie mówić „ojcze". Pacjent nie może po nim oczekiwać spowiedzi ani wspólnej modlitwy. „Powinien mieć świadomość, że nie będę go nawracał ani moralizował. Nie na tym bowiem polega terapia" – mówi ks. Jacek Prusak, jezuita, psychoterapeuta, teolog i publicysta „TP" w wywiadzie ze Sławomirem Rusinem.

To zastrzeżenia istotne, bo część osób zgłasza się do Prusaka właśnie dlatego, że jest księdzem. Wyobrażają sobie, „że wysłucham je jako terapeuta, a jako kapłan rozgrzeszę, pozwolę im na coś lub czegoś im zabronię, zwłaszcza jeśli ich religijność jest restryktywna albo zmagają się z nauczaniem Kościoła". Tymczasem zadaniem terapeuty nie jest określanie tego, co jest dobre, a co złe, bo to nie rozwiąże psychicznego problemu.

Sporą szkodę widzi terapeuta w tym, że wielu księży wypowiada się na temat zdrowia psychicznego, nie mając ku temu żadnych kompetencji. „Wzmacnia to przekonanie wiernych, że choroba psychiczna musi mieć przyczynę duchową albo być wynikiem niewłaściwego, w podtekście: grzesznego, życia". Inny problem polega na magicznym podejściu do tzw. uzdrowienia wewnętrznego. To przekonanie, że „wystarczy, iż będę się modlił i powierzę siebie Jezusowi, a będę uzdrowiony". Zaburzenia psychiczne wymagają tymczasem przejścia przez proces terapeutyczny (nierzadko połączony z leczeniem farmakologicznym). Nie ma tu dróg na skróty, a szukanie takiej „uświęconej" może spowodować szkody i dla zdrowia pacjenta, i dla jego wiary.

Na drzwiach każdego gabinetu psychoterapeutycznego – uważa Prusak – powinno wisieć hasło: „Nie wierz wszystkiemu, co myślisz". Psychoterapia jest bowiem próbą przyjrzenia się sobie z różnych perspektyw – dotyczy to także religijności. Nie chodzi o to, by ją „wyrugować ze swojego życia, ale o to, żeby »nauczyć się« wierzyć". Niemniej terapia

Jacek Prusak SJ, Sławomir Rusin
KOŚCIÓŁ NA KOZETCE. ROZMOWY O NIELATWEJ RELACJI PSYCHOLOGII I WIARY
WAM 2020

może też prowadzić do osłabienia czy odrzucenia wiary. „Na przykład gdy ktoś odkryje, że to, co przeżywał dotąd jako relację z Bogiem, było obroną przed wejściem w relację z innymi ludźmi albo nadawaniem znaczenia cierpieniu czy traumom, których doświadczał, a nie mógł ich zrozumieć i przeżyć w innym kontekście. Mówił sobie, że wystarczy mu miłość Boga i miłość do Boga, ale w rzeczywistości był bardzo samotny".

Bycie religijnym – uważa jezuita – jest łatwe. O wiele trudniej wierzyć w sposób dojrzały. Taka wiara polega m.in. na świadomości, że będzie się wciąż stawało przed nowymi pytaniami, a z odpowiedziami będzie trudno. Bo mamy do czynienia z Tajemnicą, której nie pojmiemy nawet po drugiej stronie życia. I bynajmniej fakt wcielenia Chrystusa nie ustawia spraw inaczej. Ono „pozwala nam lepiej zrozumieć samych siebie, a nie »rozgryźć« Boga" – tłumaczy Prusak.

Jezuita przyznaje, że nie rozumie hasła: „Trzeba się zaprzyjaźnić z Bogiem". Takie podejście grozi infantylizacją wiary: „im bardziej Bóg jest (...) antropomorfizowany, tym bardziej mamy do czynienia z niedojrzałą wiarą". Nie jest też Bóg ojcem w znaczeniu zbliżonym do ziemskiego, ani też nie jest Jego funkcją chronienie człowieka przed złem. „Tu nie ma prawdziwej relacji. Bóg jest wtedy mniej lub bardziej sprawnym ochroniarzem niebiorącym udziału w życiu osoby do momentu, w którym nie pojawi się sytuacja zagrożenia" – mówi Prusak.

Trzonem książki nie jest jednak pogranicze psychologii i wiary, lecz rozmowy o obecnym kryzysie Kościoła, którego źródłem są przestępstwa pedofilskie duchownych i ich tuszowanie. Prusak precyzyjnie opisuje problem pedofilii, psychologiczne uwikłanie ofiary w relację ze sprawcą; przypomina też, że nauka nie wiąże pedofilii z orientacją homoseksualną. Jako źródło problemu wskazuje mentalność klerykalną. „Mówienie, że ojciec (biskup) nie pójdzie do sądu wnieść sprawy przeciwko synowi (kapłanowi), kiedy wie, że ten dokonał przestępstwa, bo straci zaufanie innych księży, jest ciężką patologią klerykalizmu. Relacja ta często przypominała mafijny układ »ojca chrzestnego« ze swymi »synami«, raczej gang niż kolegium duchownych". Przypominając, że molestowania nieletnich dopuściło się 4-5 proc. duchownych, jezuita wskazuje, że pozostali są mniej lub bardziej współwinni, godząc się na klerykalną strukturę władzy w Kościele. „Jeśli jakiś ksiądz oburzony jest zarzutem, że wszyscy księża to pedofile, to w porządku, bo to nieprawda; ale czy jest oburzony również na klerykalizm, na funkcjonowanie Kościoła, które doprowadziło do patologii w ukrywaniu sprawców?" – pyta jezuita.

Koniecznym elementem reformy musi być więc deklerykalizacja Kościoła – nie taka, która naruszyłaby jego strukturę sakramentalną, ale taka, która do procesów decyzyjnych dopuści świeckich. Jak jezuita-terapeuta ocenia szanse wyjścia Kościoła z kryzysu? „»Pacjent« się postarzał, ma liczne dolegliwości, a nawet specyficzne dla siebie zaburzenie, jakim jest klerykalizm, stąd terapia będzie długoterminowa, a »pacjent« będzie stawiał opór – ocenia Prusak. – Bo tutaj nie wystarczy usunąć objawy, a więc oczyścić Kościół z problematycznych ludzi, tylko konieczna jest zmiana jego struktury »osobowości«, a zatem głęboka reforma". ©℗

WYŚCIG Z WIRUSEM W TLE

Cztery lata temu zaufali Trumpowi, bo nie chcieli głosować na Hillary Clinton. Teraz, w kraju pogrążonym epidemią, z dwojga złego wolą Demokratę Joego Bidena.

MARTA ZDZIEBORSKA Z SAN DIEGO (USA)

Lennea z Ohio dołącza do prywatnej grupy na Facebooku „Byli wyborcy Trumpa" i wysyła swój pierwszy post. Pisze, że odeszła z Kościoła ewangelicznego, który wspiera prezydencką reelekcję. Władze wspólnoty wmawiały wiernym, że Donald Trump jest „wzorowym chrześcijaninem", a ci, którzy nie chcą na niego głosować, nie zasługują na to miano. Lennea ma dość tej hipokryzji i robi sobie duchowo-polityczny detoks. Członków facebookowej grupy prosi o propozycje książek, które pomogą jej odciąć się od prezydenckiego kultu.

Pod jej postem pojawiają się dziesiątki komentarzy. Internauci gratulują jej odwagi i podsyłają lekturowe inspiracje. Wśród propozycji pojawia się wydana niedawno książka Johna Boltona „The Room Where It Happened" („Pokój, w którym się to zdarzyło"). Były doradca Trumpa ds. bezpieczeństwa narodowego opisuje m.in., jak prezydent USA układał się z prezydentem Chin dla osobistych korzyści politycznych. Lennea twierdzi jednak, że nic jej już na temat Trumpa nie zaskoczy. Czytała kiedyś książkę o patologiach w Białym Domu i znalazła tam „tylko kolejne przykłady narcystycznego zachowania prezydenta".

O rozbuchanym *ego* Donalda Trumpa usłyszę wiele razy w rozmowach z jego byłymi wyborcami. Podobnie jak deklarację, że wstydzą się, iż w 2016 r. oddali na niego głos.

Konserwatystka jest wściekła

– Bo ja myślałam, że Trump zadba o interesy klasy średniej! – opowiada mi Jami Jackson-Cole, 48-letnia nauczycielka z Duncan w Oklahomie. Rozmawiamy przez telefon pod koniec czerwca, kilka dni po wiecu Trumpa w oddalonej o 300 km Tulsie. Choć w Oklahomie gwałtownie rośnie liczba przypadków zakażenia koronawirusem, to właśnie tam prezydent zorganizował pierwsze od wybuchu pandemii spotkanie z wyborcami.

W megalomańskim stylu przechwalał się na Twitterze, że po wejściówki na jego wiec zgłosiło się prawie milion chętnych. Ostatecznie na trybunach pojawiło się „tylko" 6 tys. ludzi. Większość nie miała maseczek ochronnych i stała ściśnięta w tłumie, choć pozostałe dwie trzecie hali świeciło pustkami.

– Oglądałam w telewizji urywki z wiecu i byłam wściekła – mówi Jami. – Wiesz, co Trump powiedział wyborcom? Że w Stanach rośnie liczba zachorowań, bo wykonuje się zbyt dużo testów i trzeba je ograniczyć. Przecież to skrajnie nieodpowiedzialne! Odkąd wybuchła pandemia, prawie nie wychodzimy z domu. Musimy bardzo uważać, bo mój mąż choruje na białaczkę, a ja mam reumatoidalne zapalenie stawów i biorę leki, które obniżają odporność. Robimy zakupy tylko przez internet, bo w naszym mieście ludzie nie zakładają masek nawet do sklepu. Zresztą, jak mają się zachowywać, skoro nawet prezydent nie nosi maski? Ten człowiek nie ma żadnej empatii i szacunku dla życia innych ludzi – dodaje Jami.

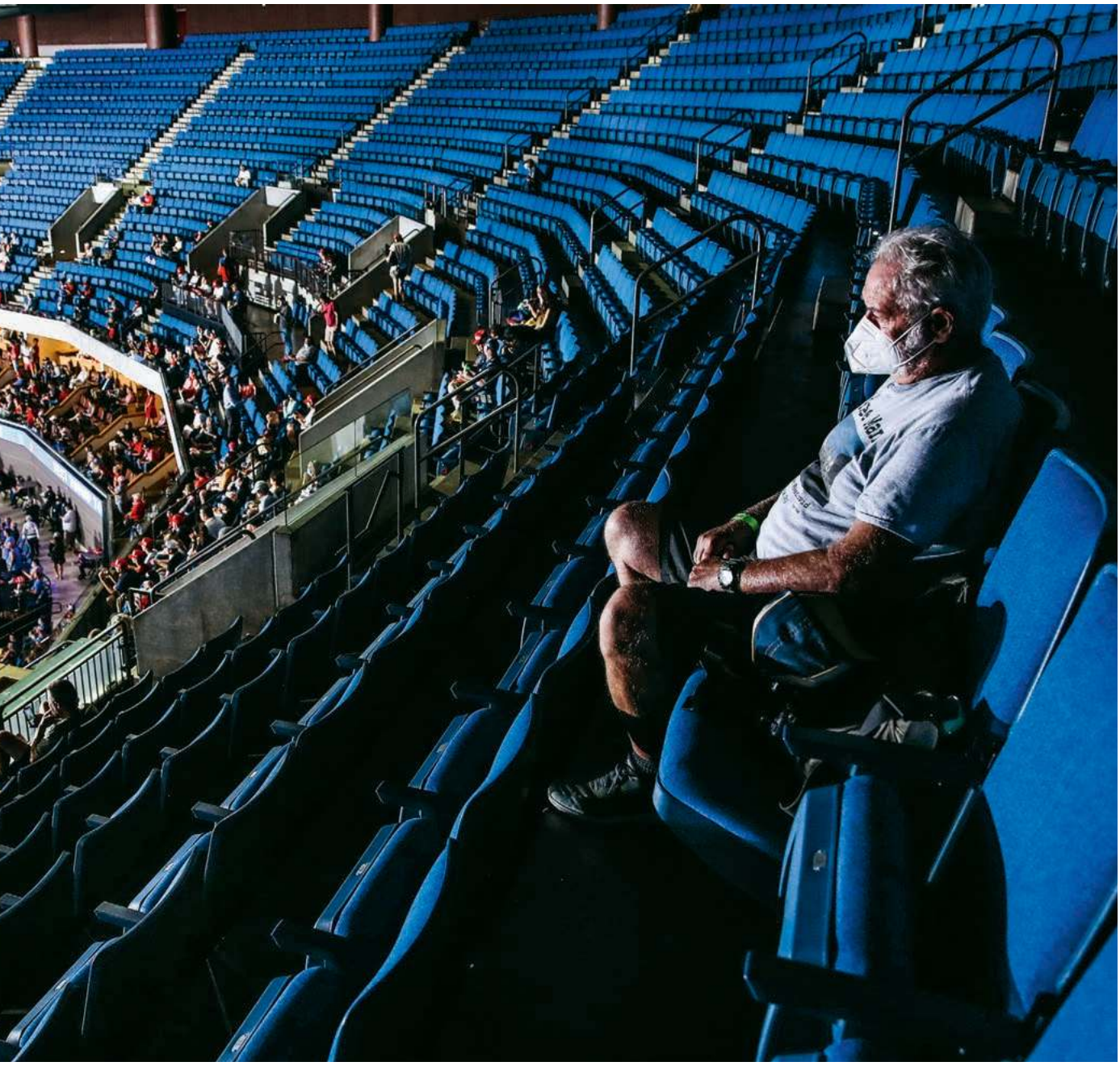

WIN MCNAMEE / GETTY IMAGES

Na wiecu wyborczym Donalda Trumpa w Tulsie w stanie Oklahoma, 20 czerwca 2020 r.

A pomyśleć, że mówi to mieszkanka konserwatywnej Oklahomy, która w 2016 r. dała się porwać fenomenowi Trumpa.

Choć Jami zarejestrowana jest jako Demokratka, zwykle głosuje na republikańskich kandydatów. Wyjątek zrobiła w 2012 r., gdy Barack Obama ubiegał się o reelekcję. Jami tłumaczy, że bliżej jej do konserwatystów, bo wychowywała się na wiejskiej farmie i ceni sobie takie wartości, jak ochrona życia i prawo posiadania broni.

– Trump jest mistrzem w podsycaniu strachu – mówi. – Oddałam na niego głos, bo obiecywał, że budowa muru uchroni Amerykę przed zalewem Meksykanów. Przekonywał, że Demokraci zabiorą nam dostęp do broni, ograniczą prawo do wolności wypowiedzi i jeszcze bardziej poluzują przepisy dotyczące aborcji. A przecież to wszystko bujda. Jak się teraz nad tym głębiej zastanowię, to nikt nigdy do tego nie dążył!

– Trudno mi to przyznać, ale po prawie czterech latach rządów Trumpa stałam się bardziej liberalna. Nadal jestem za ochroną życia, natomiast nie mogę już ścierpieć wysłuchiwania jego rasistowskich i ksenofobicznych haseł. Nie mogę już też czytać jego ciągłych ataków na Twitterze. Nie tak powinien zachowywać się prezydent! – krzyczy Jami i deklaruje, że w listopadzie zagłosuje na kandydata Demokratów Joego Bidena.

Biden budzi mniejsze emocje

Jami Jackson-Cole chciałaby też, żeby na swoją wiceprezydentkę wybrał czarnoskórą senatorkę Kamalę Harris. Biden już kilka miesięcy temu ogłosił, że w przypadku zwycięstwa obsadzi w tej roli kobietę.

Jeszcze cztery lata temu Jami nie wyobrażała sobie w Białym Domu kobiety. ↦

A dokładnie tej konkretnej kobiety, czyli ówczesnej kandydatki Demokratów Hillary Clinton. Gdy pytam, dlaczego nie chciała na nią zagłosować, odpowiada, że jej nie ufa i że jest ona „oszustką". Używa tej samej retoryki, która w 2016 r. przyciągnęła do Trumpa rzeszę niezdecydowanych wyborców.

Budowanie wizerunku Hillary Clinton jako „zagrożenia dla Ameryki" nie było trudne, bo Demokratka jest na celowniku Republikanów już od 1992 r., gdy jej mąż Bill startował na urząd prezydenta. Do tego trzeba dodać aferę e-mailową (podczas pełnienia funkcji sekretarza stanu USA Hillary Clinton używała do celów służbowych prywatnego serwera pocztowego) i formułowane przez jej przeciwników zarzuty, że jest „symbolem establishmentu Partii Demokratycznej".

W przypadku Joego Bidena obrzucanie błotem nie jest takie proste, bo 77-letni dziś wiceprezydent w administracji Baracka Obamy budzi mniej skrajne emocje. Według uśrednionego wyniku wszystkich kluczowych sondaży, wyliczonego przez portal RealClearPolitics, 45 proc. respondentów ma na temat Bidena zdanie pozytywne, a 46 proc. negatywne. Według podobnego badania przeprowadzonego w 2016 r. Hillary Clinton cieszyła się sympatią 40 proc. respondentów, a złe zdanie na jej temat miało aż 55 proc. pytanych.

50 tysięcy dziennie

Donald Trump też nie ma najlepszych notowań. Według sondaży Gallupa od maja do początku czerwca poparcie dla jego prezydentury spadło z 49 do 39 proc. i wciąż utrzymuje się na takim poziomie. Jego wyścig o reelekcję miał być zbudowany na prosperującej gospodarce. Takie założenie popsuła mu jednak epidemia COVID-19, która w ciągu zaledwie 11 tygodni wypchnęła na bezrobocie 43 mln ludzi.

Teraz amerykański rynek pracy nie zdążył się jeszcze odkuć po „odmrożeniu" gospodarki, a już rozpędza się kolejna fala zachorowań. Na początku lipca w ciągu jednej tylko doby zarejestrowano ponad 50 tys. nowych zakażeń. Oprócz liberalnej Kalifornii, nowymi centrami epidemii stały się konserwatywne stany Arizona i Teksas. Duży wzrost zakażeń, bo średnio 7 tys. na dobę, odnotowuje kluczowa dla prezydenckiego wyścigu Floryda (jest to tzw. stan wahający się).

ARCHIWUM PRYWATNE x2

JAMI JACKSON-COLE *sądziła, że Trump zadba o klasę średnią. Konserwatystka z Oklahomy przyznaje, że po czterech latach jego rządów stała się bardziej liberalna.*

KATEY MORSE, *umiarkowana Republikanka z Michigan, nie potrzebowała epidemii, aby stracić zaufanie do Trumpa. Wystarczyło, że w ubiegłym roku poszła na jego wiec.*

Główny epidemiolog kraju Anthony Fauci ostrzega, że jeśli Amerykanie nie potraktują koronawirusa serio, przyrost zakażeń może poszybować nawet do 100 tys. nowych przypadków na dobę. Zduszenia epidemii w USA nie ułatwiają tacy gubernatorzy jak Republikanin Ron DeSantis z Florydy, który w obliczu nowej fali zachorowań nie zamierza wstrzymać „odmrażania" gospodarki. Natomiast inny republikański gubernator, Greg Abbott z Teksasu, który wcześniej był zwolennikiem szybkiego „odmrażania", kilka dni temu zdecydował się zaostrzyć restrykcje – z szacunków wynika, że kontakt z SARS-CoV-2 miał już co dwudziesty mieszkaniec jego stanu.

Na czołowe zderzenie

Zwalczania epidemii nie ułatwia również niechęć władz do ścigania tych obywateli, którzy nie przestrzegają restrykcji. Choć np. w Kalifornii, gdzie mieszkam, wprowadzono ostatnio nakaz noszenia masek, policja nie wręcza mandatów tym, którzy do tych przepisów się nie stosują.

Amerykanie już od tygodni szli na zderzenie czołowe z koronawirusem: najpierw protestowali bez masek przeciwko stanowym nakazom pozostania w domu, potem tłoczyli się na plażach i w nowo otwartych barach, a na koniec chodzili na antyrasistowskie demonstracje po śmierci czarnoskórego George'a Floyda [patrz „TP" nr 25 – red.]. Jeśli dodać do tego prezydenta, który bagatelizuje epidemię, a z nienoszenia maski zrobił polityczny manifest, trudno o gorszy scenariusz.

Coraz więcej Amerykanów negatywnie ocenia postawę Trumpa w czasie epidemii: portal RealClearPolitics podaje, że tego zdania jest prawie 58 proc. respondentów. Ubiegający się o reelekcję prezydent traci też w badaniach opinii w najważniejszych dla wyborczego rezultatu stanach, gdzie zwyciężył w 2016 r. Według uśrednionego wyniku kluczowych sondaży, przeprowadzonych w ciągu ostatniego miesiąca, Joe Biden miał przewagę co najmniej sześciu punktów procentowych na Florydzie, w Michigan, Wisconsin i Pensylwanii. Nieznacznie prowadził też w Arizonie i Karolinie Północnej (3 proc. przewagi).

Poparcie dla Donalda Trumpa słabnie wśród białych seniorów, wyborców bez wykształcenia wyższego, a nawet wśród białych ewangelików, którzy w 2016 r. stanowili jedną trzecią jego elektoratu. Jeszcze w lipcu 2016 r. popierało go 78 proc. wyborców z tej grupy – dziś za jego reelekcją opowiada się 69 proc.

Pragmatyczka czuje zażenowanie

Katey Morse, umiarkowana Republikanka z Michigan, nie potrzebowała epidemii, żeby stracić zaufanie do prezydenta. Wystarczyło, że w marcu zeszłego roku poszła na jego wiec. Traf chciał, że

Trump przyjechał do jej rodzinnego miasta Grand Rapids.

– Już wcześniej nie podobało mi się zachowanie Trumpa. Ale nie wierzyłam, że jest tak straszny, jak pokazują go liberalne media. Gdy szłam na ten wiec, jakaś część mnie wierzyła, że się na nim nie zawiodę – wspomina Katey. – Nie minęło jednak kilka minut, a poczułam się strasznie zażenowana. Byłam przerażona tym, jak umiejętnie steruje emocjami ludzi. Bo jak wytłumaczyć fakt, że kilkanaście tysięcy ludzi bierze na serio jego populistyczne hasła i ciągle skanduje „Build That Wall" (Wybuduj ten mur)? Patrząc na tę falę nienawiści, nie czułam się dumna, że jestem Amerykanką. Nie pamiętam prezydenta, który tak umiejętnie wzniecałby w Stanach podziały!

– Gdy wybuchły protesty po śmierci Floyda, miałam nadzieję, że chociaż teraz zachowa się jak mąż stanu. Tak postąpiłby Obama, a nawet George W. Bush! A co zrobił obecny prezydent? Zamiast przemówić do narodu, kazał rozpylić gaz łzawiący w kierunku demonstrantów i zrobił sobie zdjęcie z Biblią! Wszystko, co robi ten człowiek, to element kampanii wyborczej. Jeszcze nigdy w amerykańskiej polityce nie było tak toksycznej atmosfery! – mówi Katey, która cztery lata temu głosowała na Trumpa ze względu na ekonomiczny pragmatyzm. Uwierzyła, że biznesmen z Nowego Jorku będzie w stanie rozkręcić amerykańską gospodarkę. Dziś mówi, że zagłosuje na Bidena.

Innego zdania jest jej mąż Andrew. Podobnie jak w 2016 r., planuje poprzeć Trumpa. – Ale to nie tak, że Andrew kocha prezydenta! – zastrzega Katey. – Mąż nie znosi Nancy Pelosi [liderki Demokratów w Izbie Reprezentantów – red.] i uważa, że Partia Demokratyczna dryfuje za bardzo na lewo – tłumaczy, odnosząc się do progresywnego skrzydła Partii Demokratycznej, które forsuje kontrowersyjne dla wielu Amerykanów postulaty, jak Medicare for All (projekt powszechnej opieki zdrowotnej) czy Green New Deal (plan całkowitego przestawienia gospodarki na odnawialne źródła energii).

Niechęć licznych Amerykanów do lewicy coraz częściej wykorzystuje w swojej retoryce Donald Trump. Swojego rywala w wyścigu o Biały Dom, który wyciąga rękę do progresywnego elektoratu, nazwał „żałosną marionetką skrajnej lewicy". Podczas wiecu w Tulsie przekonywał też, że Biden nie potrafiłby stawić czoła zamieszkom na ulicach. Trump sugerował: „Jeśli wygra Demokrata, sytuację kontrolować będą zadymiarze. Nikt wtedy nie będzie czuł się bezpiecznie. Biden nie jest liderem w swojej partii". Prezydent coraz częściej sugeruje, że starszy od niego tylko o trzy lata rywal to starzec z demencją, niezdolny do rządzenia krajem.

FRANK, LAT 40,
RZECZOZNAWCA MAJĄTKOWY:

Odkąd Donald Trump został prezydentem, nie pamiętam spotkań rodzinnych bez kłótni o polityce.

To był niewybaczalny błąd

Frank, rzeczoznawca majątkowy z przedmieść Albany w stanie Nowy Jork, prosi mnie, aby w tekście nie podawać jego nazwiska ani tym bardziej publikować jego zdjęcia. Tłumaczy, że nie chce, by ktokolwiek dowiedział się, że kiedyś głosował na Trumpa.

A przecież kiedyś to właśnie dla niego Frank zmienił nawet swoją afiliację polityczną i zarejestrował się jako Republikanin. – To był niewybaczalny błąd – przyznaje dziś 40-latek. – Jak mogłem dać się ponieść jego retoryce? Głupio mi przyznać, ale zagłosowałem na niego z dwóch powodów. Po pierwsze, uważałem, że jest zabawny i może wnieść świeżość do polityki. Po drugie, nie znoszę Hillary Clinton, bo przypomina mi moją matkę. Też jest polityczką i znam ten świat od podszewki.

Frank wierzył, że Trump jest inny niż wszyscy. – Ale gdy zaczął rządzić krajem, zrozumiałem, że to zwyczajny klaun, a nie człowiek godny urzędu prezydenta! – mężczyzna podnosi głos. – Normalny prezydent słuchałby swoich ekspertów ds. zdrowia, nosił maskę ochronną i zrezygnował z organizowania wieców wyborczych! Zresztą nie lepsi są republikańscy gubernatorzy, którzy stali za nim murem i spieszyli się z „odmrażaniem" gospodarki. Jak doszliśmy do tego, że w tym kraju ignoruje się podstawowe fakty naukowe?

– Nie obchodzi mnie to, czy Joe Biden jest za stary na urząd prezydenta – deklaruje Frank. – Nie jest to idealny kandydat. Ale każdy poradzi sobie lepiej z epidemią niż Trump. Marzy mi się empatyczny prezydent, który nie będzie atakował prasy i będzie szanował amerykańską konstytucję.

Inna niż wszystkie

Frank podkreśla, że Amerykanie nigdy nie byli tak podzieleni jak za rządów Trumpa.

– Odkąd został prezydentem, nie pamiętam spotkań rodzinnych bez kłótni o polityce. W ostatnie święta Bożego Narodzenia mój wujek, zatwardziały Republikanin, narzekał, że jego dzieci głosują na Demokratów i oglądają telewizję MSNBC [popularna lewicowa stacja – red.]. Gdy nikt nie chciał podjąć tematu, zaczął ceremonialnie śpiewać „Four More Years" [„Kolejne cztery lata", hasło wyborców Trumpa – red.]. On żyje w alternatywnej rzeczywistości! Zresztą tak samo jak mój znajomy, który służył wiele lat w armii. Wytknąłem mu kiedyś po pijaku niekonsekwencję. Z jednej strony jest bardzo uczciwym człowiekiem, a z drugiej głosuje na notorycznego kłamcę. Odpowiedział mi, że on to widzi inaczej. Nie wracaliśmy już potem do tego tematu, bo nie chcę stracić przyjaciela.

Frank jest zafascynowany tym, jak Trump potrafi przyciągnąć do siebie ludzi: – On jest starym grubym facetem, który wciąż podkreśla swoją siłę. W rzeczywistości jednak jest bardzo słabym człowiekiem. Zupełnie nie radzi sobie z kryzysem w USA. A przecież, gdyby chciał, mógłby złapać byka za rogi. Mógłby pokazać się jako prezydent, który jednoczy Amerykanów w trudnych chwilach. Dzięki temu być może odniósłby w listopadzie druzgocące zwycięstwo. Zresztą, niestety, nadal może...

Prezydencki wyścig sprzed czterech lat pokazał już, że amerykańska polityka potrafi zaskakiwać. Niestety, dzisiaj bardziej przewidywalne od niej są epidemiczne statystyki: eksperci ostrzegają, że do października, czyli na miesiąc przed wyborami (zaplanowanymi na 3 listopada), liczba śmiertelnych ofiar koronawirusa w Stanach poszybuje do 200 tysięcy.

Ta walka o Biały Dom jest inna niż wszystkie. © MARTA ZDZIEBORSKA

Białoruskie przebudzenie

WOJCIECH KONOŃCZUK

Bezprecedensowa aktywność społeczna Białorusinów pokazuje, że na miesiąc przed wyborami prezydenckimi wielu – może większość – ma dość Alaksandra Łukaszenki. Ale on nie chce odejść.

Prawie dziesięć lat temu od znajomej Białorusinki usłyszałem nieco makabryczną anegdotę. Oto w czasie II wojny światowej Niemcy powiesili trzech partyzantów: Ukraińca, Polaka i Białorusina. Dwaj pierwsi próbowali się opierać, ale po chwili oddali ducha. Natomiast Białorusin wisiał i wisiał, i nie miał zamiaru wybrać się na tamten świat. W końcu zdziwieni Niemcy zdjęli go z szubienicy i dopytują się, dlaczego nie umarł. Ten zaś odpowiada: „Początkowo było ciężko, ale potem się przyzwyczaiłem".

Ta popularna na Białorusi czarna humoreska była gorzkim komentarzem mojej znajomej do pasywności społeczeństwa, które pozwala na fałszowanie wyborów i godzi się ze swoim losem zgodnie z założeniem „aby tylko nie było gorzej".

Podobny stereotyp na temat Białorusinów jest dość rozpowszechniony w naszej części Europy. Jednak wydarzenia z ostatnich miesięcy pokazują, że wymaga on zasadniczej rewizji.

Epidemia jako sprawdzian

Poza utartymi stereotypami w zasadzie mało wiemy o społeczeństwie białoruskim. Niezależna socjologia na Białorusi nie istnieje – ostatni pozarządowy ośrodek badań opinii publicznej został zamknięty kilka lat temu. Nie dysponując ani badaniami akademickimi, ani sondażowymi, nie jest łatwo zgadnąć, co myślą Białorusini. Może dlatego tak dużym zaskoczeniem jest dziś fakt, że w okresie pandemii społeczeństwo obywatelskie pokazuje swoją siłę i zaskakującą sprawność.

Gdy prezydent Alaksandr Łukaszenka powtarzał, że najlepszym środkiem zabezpieczającym od koronawirusa są sauna i wódka, a minister zdrowia mu przytakiwał, Białorusini masowo szyli maseczki, wspierali pracowników służby zdrowia i organizowali pomoc dla szpitali. Wszystko wskazuje na to, że społeczeństwo obywatelskie zdaje nieoczekiwany egzamin, wyręczając nieefektywne państwo.

Epidemia stała się impulsem, który ośmielił aktywność społeczną, co znalazło odbicie także w rozpoczętej w maju kampanii wyborczej przed wyborami prezydenckimi, rozpisanymi na niedzielę 9 sierpnia. Nagle w centrach miast stanęły długie kolejki chętnych, aby złożyć podpis na listach poparcia dla kilku rywali Łukaszenki. W Mińsku ciągnęły się one na ponad kilometr, pojawiły się też w mniejszych miastach. Podobnej mobilizacji nie było przed żadnymi wyborami w ostatnim ćwierćwieczu. Stało się jasne, że w społeczeństwie pojawił się potencjał protestu.

Co rozzłościło Białorusinów?

Bezpośrednią przyczyną było bagatelizowanie przez reżim zagrożenia związanego z epidemią (trwające do dziś) i niewprowadzenie środków zapobiegawczych. Tylko według danych rządowych na COVID-19 zachorowało już ponad 43 tys. osób, czyli – proporcjonalnie do liczby ludności – więcej niż we Włoszech i w Niemczech. Natomiast światowe szacunki mówią, że jest już ponad 62 tys. zakażeń.

Na to nałożyła się trudna sytuacja gospodarcza. Symptomy kryzysu były widoczne już wcześniej, a epidemia go przyspieszyła. Jedną z przyczyn był trwający na początku roku spór z Rosją o cenę dostaw ropy; na kilka tygodni Moskwa przykręciła kurek naftowy. Mimo narastającego niezadowolenia społecznego władze nie mogą więc rozwiązać worka z wydatkami socjalnymi, jak robiły to przed poprzednimi wyborami. Tym razem sytuacja budżetowa na to nie pozwala.

Jednak głównym powodem irytacji Białorusinów jest zmęczenie władzą Łukaszenki, który właśnie obchodzi 26-lecie swoich autorytarnych rządów. O ile przez większość tego okresu mógł liczyć na autentyczne poparcie dużej części wyborców, obecnie niewiele z tego zostało. 65-letni prezydent nie budzi już ani szacunku, ani strachu. W oczach wielu Białorusinów staje się coraz bardziej karykaturalny, a stworzony przez niego system – anachroniczny. Dotyczy to zwłaszcza młodego pokolenia, które dorosło już po spacyfikowanych protestach wyborczych w 2010 r. i żyje w innym świecie niż rodzice.

Co więcej, w międzyczasie znacząco zmienił się krajobraz medialny, a władze straciły monopol na przekaz informacyjny. Internet nie jest już dobrem luksusowym, rozwinęły się sieci społecznościowe. Część społeczeństwa w niewielkim stopniu czerpie wiedzę z telewizji, za to aktywnie korzysta z Facebooka, VKontakte (rosyjskojęzycznego odpowiednika Facebooka) czy Telegramu, które stały się też ważnymi kanałami informacyjnymi.

Spontaniczny ruch protestu

Bezprecedensowa aktywizacja społeczeństwa okazała się dla władz dużym zaskoczeniem. Reżim przyzwyczaił się, że większość Białorusinów nie interesowała się polityką i akceptowała sytuację, iż w państwie jest tylko jeden polityk. A tu nagle Wiktar Babaryka, do niedawna bankier, zbiera (w niespełna 10-milionowym kraju!) 430 tys. podpisów poparcia pod swoją kandydaturą.

Na reakcje reżimu nie trzeba było długo czekać. Nagle okazało się, że rywale Łukaszenki w wyścigu prezydenckim to kryminaliści. Dwaj z nich – wspomniany Babaryka oraz Siarhiej Cichanouski, popularny bloger – od kilku tygodni siedzą w areszcie z wydumanymi zarzutami; grozi im do kilkunastu lat więzienia. Wszystko wskazuje, że tym razem władze postanowiły nie czekać z represjami do wieczoru wyborczego, lecz na swój sposób doceniły siłę kumulującego się protestu – i postanowiły zdusić go w zarodku, zanim rozwinie skrzydła.

Białorusinów to jednak nie zraziło. Wiece solidarności z zatrzymanymi rozlały się po całym kraju – od stolicy po niewielkie miejscowości, jak 10-tysięczne miasteczko Skidel koło Grodna

VASILY FEDOSENKO / REUTERS / FORUM

Protest (tzw. flash mob) na rowerach w okolicy sklepu z białoruską odzieżą patriotyczną i antyreżimową po tym, jak milicja aresztowała osoby stojące przed nim w kolejce. Mińsk, 23 czerwca 2020 r.

czy 14-tysięczne Hancewicze. Do chóru krytyków Łukaszenki dołączyło kilku dziennikarzy mediów państwowych, celebrytów i sportowców. W każdym z tych przypadków to rzecz niebywała.

W efekcie represje zaczęły zataczać coraz większe koła. W ostatnich tygodniach do aresztów trafiło niemal 700 ludzi: aktywistów, dziennikarzy, ludzi ze sztabów wyborczych rywali Łukaszenki. Milicja zatrzymała nawet kilkanaście osób stojących w kolejce do sklepu Symbal.by w Mińsku, sprzedającego odzież patriotyczną i antyreżimowe koszulki. Dzięki internetowi po kilku godzinach wiedziało o tym pół Białorusi. Służby zarekwirowały m.in. 419 koszulek z napisem „ПСІХО3%", co jest grą słów, którą należy czytać „Psych 3%". To bezpośrednie odwołanie do urzędującego prezydenta, który rzekomo może liczyć na poparcie 3 proc. wyborców. Na reakcję Białorusinów nie trzeba było długo czekać. Gdy tylko sklep ponownie się otworzył, w kolejce ustawiło się ponad 500 osób.

Ten rodzący się antyreżimowy ruch nie ma ani centrum koordynacyjnego, ani liderów. „Stara" opozycja antyłukaszenkowska jest niepopularna i zmarginalizowana. Ludzie wychodzą na ulice spontanicznie, choć nikt ich nie wzywa. Nigdy wcześniej nic podobnego na Białorusi nie obserwowano. Co istotne, protesty nie mają charakteru ideologicznego. Nie chodzi o spór dotyczący programów politycznych czy gospodarczych, ani tym bardziej o to, co lepsze: integracja z Rosją czy Zachodem. Na tym etapie chodzi tylko o Łukaszenkę.

Władze przedstawiają całą tę sytuację oczywiście inaczej. Prezydent regularnie oznajmia, że „odbywa się zagraniczna ingerencja w sprawy wewnętrzne", a „osoby za to odpowiedzialne znajdują się w Rosji, ale i w Polsce". Rządzącym nie mieści się w głowach, że ludzie sami z siebie mogą okazywać niezadowolenie.

Reżim zwiera szeregi

Fali zatrzymań towarzyszą otwarte groźby ze strony Łukaszenki – niechybny znak, że reżim zaczął się bać. W trakcie transmitowanego w telewizji spotkania z Walerym Wakulczykiem, szefem KGB (tajna policja nosi tu wciąż taką nazwę jak w czasach sowieckich), prezydent stwierdził: „Wiemy, co chcą nam zorganizować – majdan w dzień wyborów prezydenckich (...) Chcę wszystkich ostrzec – majdanów na Białorusi nie będzie! Nie dopuścimy, aby szajki i bandy kryminalistów brodziły po kraju, bo jeszcze ludzie pomyślą, że gestapo wróciło!".

Doszło też do zmian w rządzie: nowym premierem został Raman Hałouczanka, dotąd szef Komitetu Przemysłu Zbrojeniowego. Inne przetasowania kadrowe potwierdzają silny wzrost wpływów KGB i instytucji siłowych w aparacie państwowym. W obliczu zagrożenia reżim zwiera szeregi i sięga po najbardziej zaufane kadry.

Przy okazji zmian rządowych Łukaszenka kontynuował kampanię zastraszania. „Zapomnieliście już, jak były prezydent Karimow w Andiżanie zdławił pucz, rozstrzeliwując tysiąc osób?! (...) My tego nie przeżyliśmy, dlatego nie chcemy tego rozumieć – przynajmniej niektórzy. Dlatego przypominam!". To nawiązanie do wydarzeń w Uzbekistanie z 2005 r., gdy wojsko otworzyło ogień do pokojowej demonstracji, zabijając ponad tysiąc osób. Słowa Łukaszenki trudno odebrać inaczej niż jako sygnał: „jeśli trzeba, będziemy strzelać". Jakby tego było mało, na początku lipca szef Rady Bezpieczeństwa oświadczył, że „wojsko ma prawo brać udział w obronie porządku konstytucyjnego na terenie Białorusi".

Choć do wyborów pozostał miesiąc, nie ma wątpliwości, kogo Centralna Komisja Wyborcza ogłosi zwycięzcą. Jednak ważniejsze jest pytanie: co będzie potem? Nie wiadomo, jakiej reakcji społeczeństwa można się spodziewać. Zresztą sami Białorusini wyglądają na zaskoczonych tym, jak wielu z nich wyraża w różnych formach niezadowolenie z reżimu. Tak jakby w ostatnich tygodniach dowiedzieli się o sobie czegoś, czego nawet nie podejrzewali.

Niezależnie od tego, co wydarzy się po 9 sierpnia, jedno już widać: obowiązujący wcześniej kontrakt społeczny Łukaszenka–Białorusini został bezpowrotnie zerwany. ©

Autor jest wicedyrektorem Ośrodka Studiów Wschodnich imienia Marka Karpia w Warszawie, stale współpracuje z „TP".

Jakbym to ja był wirusem

MARIA WIŚNIEWSKA

W Chinach epidemia i towarzysząca jej atmosfera uderzyły szczególnie w przybyszów z Afryki, migrantów wewnętrznych i muzułmanów.

PORA RUSZYĆ DALEJ! – POWTARZA SOBIE Yunus, 40-letni przedsiębiorca pochodzący z Ghany w Afryce Zachodniej.

Od 10 lat mieszka on w Kantonie, 13-milionowej metropolii portowej w południowych Chinach. Po miesiącach bezczynności wreszcie wraca do pracy. Wydaje się, jakby życie wróciło do normalności sprzed epidemii. Jakby blakły ponure barwy, w jakich jeszcze parę tygodni temu widzieli swoją przyszłość w Chinach imigranci z Afryki.

Poza nawiasem

Podczas gdy rząd Chin w kwietniu ogłaszał zwycięstwo nad epidemią, reszta świata wchodziła w jej szczytowy okres. Wtedy właśnie władze Kantonu podały informację o rozpoznaniu w mieście 114 nowych przypadków infekcji koronawirusem. Jak mocno podkreślano, były to przypadki nie rodzime, lecz „importowane". Wśród nich 16 pochodziło z Afryki. W tym czasie wykryto również lokalne zakażenia u pięciorga Nigeryjczyków. Trop prowadził do dzielnicy Yuexiu, nazywanej też „Małą Afryką" ze względu na społeczność, która tu mieszka i pracuje.

Paniczny strach władz Kantonu przed nawrotem epidemii doprowadził do chaotycznych rozporządzeń wymierzonych w społeczność afrykańską. Setki Afrykańczyków poddano przymusowej kwarantannie poza miejscem zamieszkania, bez względu na to, czy w ostatnich miesiącach opuszczali Chiny. Za dwutygodniowy pobyt w wyznaczonym hotelu musieli płacić z własnej kieszeni.

– Dyskryminacja od dawna była częścią naszej codzienności, ale tym razem poczułem się wyjątkowo podle. Zostałem potraktowany tak, jakbym to ja był wirusem – mówi mi Zimulinda, młody Rwandyjczyk mieszkający w Kantonie od dwóch lat.

Niesprawiedliwość bolała go tym bardziej, że niechęć wobec Afrykańczyków wyrażali też zwykli Chińczycy. W niektórych sklepach i restauracjach pojawiły się tabliczki „zakaz wstępu czarnym". Gdzieniegdzie właściciele mieszkań z dnia na dzień wymówili najem. Bez możliwości wstępu do swoich domów wielu Afrykańczyków kilka nocy musiało spędzić na ulicy – z poczuciem wypchnięcia poza nawias społeczeństwa.

T-shirty do Ghany

Kanton jest dziś domem największej diaspory afrykańskiej w Azji Wschodniej.

Jako pierwsi przyjechali tu pod koniec lat 90. XX w. drobni przedsiębiorcy nigeryjscy. Nie przybyli bezpośrednio z Afryki Zachodniej, lecz z ośrodków handlowych w Tajlandii i Indonezji, w których od dawna skupywali tanie towary, głównie tekstylia, aby sprzedawać je potem z zyskiem w Afryce.

Ich sytuacja uległa pogorszeniu w 1997 r., gdy azjatycki kryzys finansowy przetoczył się także przez region. Musieli wtedy szukać szczęścia gdzie indziej, a Kanton był wyborem oczywistym. Chiny, w dużej mierze dzięki inwestycjom zagranicznym, nie odczuły bezpośrednich skutków krachu. Przeciwnie, producenci i eksporterzy nabierali wiatru w żagle. Odpowiadająca za 60 proc. światowej produkcji T-shirtów prowincja Guangdong, której stolicą jest Kanton, jeszcze we wczesnych latach 90. XX w. zyskała przydomek „fabryki świata".

– Mimo tego, co stało się teraz, przyjazd do Chin nie był złą decyzją. Tu poznałem moją żonę i założyłem małą firmę eksportową. Nie zawsze jest łatwo, ale jeśli jest się pracowitym, można nieźle zarobić – opowiada mi Obinze, który prawie 20 lat temu wyjechał z Nigerii i zamieszkał w Kantonie.

Większość pracujących Afrykańczyków zajmuje się pośrednictwem handlowym. Pełnią funkcję pierwszego ogniwa w łańcuchu dystrybucji towarów *made in China*, które po kilku tygodniach trafiają do portów nad Zatoką Gwinejską: Abidżanu, Akry i Lagos.

Wokół hal hurtowych w dzielnicy Yuexiu przechodzień musi lawirować między poukładanymi na chodnikach kartonami zalepionymi taśmą „China Post". Pudła z zakupionymi w okolicz-

ALEX PLAVEVSKI / EPA / PAP

W dzielnicy zwanej „Małą Afryką" mieszka społeczność afrykańska, ujgurska, muzułmańska. Kanton, Chiny, 29 kwietnia 2020 r.

nych fabrykach kolorowymi ubraniami, butami, torebkami i drobną elektroniką czekają na wysyłkę. Z kantońskiego portu wychodzą szlaki łączące Chiny z resztą globu.

Trzy nielegalności

Ustalenie liczby afrykańskich imigrantów w Kantonie nie jest łatwe. Oficjalne statystyki mówiące o 10 tysiącach rozmijają się ze stanem faktycznym. W istocie może żyć tutaj nawet dziesięć razy więcej przybyszów pochodzących głównie z Afryki subsaharyjskiej.

Wielu imigrantów raczej pomieszkuje, niż mieszka na stałe. Wynika to w dużej mierze z surowej polityki imigracyjnej Chin, którą wielu afrykańskich mieszkańców Kantonu stara się obejść. Ci, którzy chcieliby zostać na dłużej, muszą przedrzeć się przez labirynt procedur administracyjnych i spełnić szereg ścisłych kryteriów dotyczących zarobków, edukacji i stanu zdrowia. Dla drobnych przedsiębiorców w Yuexiu, z których większość ma skromne wykształcenie, a działalność prowadzi na granicy prawa, legalizacja pobytu czy uzyskanie zezwolenia na pracę w Chinach są trudne.

Często jedynym wyjściem jest trzymiesięczna wiza turystyczna. Ale domknięcie eksportu kolejnej partii towarów zwykle wymaga więcej czasu. Wielu Afrykańczyków ryzykuje więc i przekracza o kolejne kilka miesięcy czas wskazany w wizie. To zwykle świadoma strategia: bilet na samolot do domu i nowa wiza kosztowałyby więcej niż ewentualny mandat.

Jednak tę strategię coraz trudniej realizować. Policja chińska wcześniej przymykała oko, a teraz zaostrza politykę wobec nielegalnej migracji. Działania skupiają się wokół walki z imigrantami o statusie *sanfei*. To dosłownie „trzy nielegalności": nielegalny wjazd, nielegalny pobyt i nielegalna praca. Do worka *sanfei* policja często wrzuca wszystkich Afrykańczyków, nawet tych, którzy przebywają i pracują tu legalnie.

Zacofani, leniwi, czarni

Do tzw. systemowego wykluczenia Afrykańczyków w Kantonie dokładają się chińskie media społecznościowe, które malują ich obraz jaskrawymi farbami. „Agresywni", „zacofani", „leniwi": takich określeń powszechnie używają autorzy postów na temat Afrykańczyków na Weibo, najpopularniejszej platformie blogowej w Chinach. Wpisy pozostają w sieci, nietknięte przez moderatorów.

– Chińczycy myślą, że jestem przestępcą tylko dlatego, że jestem czarny. Myślałem, że będę mógł tu zostać dłużej, ale w kwietniu postanowiłem, że w ciągu najbliższych miesięcy wrócę do Rwandy – mówi mi Zimulinda, który o swoich planach powiadomił już rodzinę.

Frustracja Zimulindy jest wyrazem poczucia odrzucenia, które wielu Afrykańczyków popycha do powrotu. Niepewnie poczuli się nawet ci, którzy w Chinach mieszkają dłużej, sprowadzili krewnych albo – jak Obinze – tu się zakochali i założyli rodziny. Nadzieję przywracają gesty ludzkiej solidarności. W kwietniu w Kantonie powstała grupa zrzeszająca chińskich wolontariuszy, którzy wspierali wyrzuconych na bruk Afrykańczyków. Organizowali żywność, pomoc w tłumaczeniu i telefoniczne wsparcie psychologiczne.

Afrykańczycy nie zawsze są więc sami. Nie są również jedyną grupą, która musi radzić sobie z wykluczeniem w obcym wielkim mieście.

Setki milionów rąk do pracy

Kanton to nie tylko miasto migracji międzynarodowych, ale też wewnętrznych.

Od diaspory afrykańskiej znacznie większa jest grupa zwana *liudong renkou*. Pojęcie to, oznaczające „ludność napływową", używane jest wobec pracowników przyjeżdżających z głębi kraju do nadbrzeżnych miast w poszukiwaniu lepszych warunków życia. W całych Chinach do tej kategorii należy prawie 300 mln ludzi. Ocenia się, że w Kantonie *liudong renkou* stanowią nawet 60 proc. mieszkańców, czyli ok. 9 mln. Ta ogromna grupa w większości pozbawiona jest elementarnych praw społecznych, co wiąże się z restrykcyjnym systemem rejestracji meldunkowej *hukou*.

System ten wprowadzono w latach 50. XX w., aby zatrzymać masową migrację z obszarów wiejskich. W latach 80. stracił jednak rację bytu. Po reformach gospodarczych Deng Xiaopinga miasta takie jak Kanton na gwałt potrzebowały rąk do pracy. Wprawdzie *hukou* nie zniesiono, ale na brak meldunku zaczęto przymykać oko, co rzeszom młodych ludzi otworzyło możliwość migracji do miast. Fabryki mogły działać na pełnych obrotach.

Rzecz jednak w tym, że z meldunkiem związany jest pakiet podstawowych uprawnień społecznych i ekonomicznych – jak dostęp do opieki zdrowotnej i edukacji. Należący do *liudong renkou* są więc tego pozbawieni. A ponieważ *hukou* jest dziedziczone, dzieci *liudong renkou* mogą chodzić tylko do nieoficjalnych szkół prowadzonych zwykle też przez migrantów. Przeważnie jednak rodzice wyjeżdżają sami, a dzieci – pozostawione z dziadkami na wsi – widzą ich raz do roku, gdy ojciec czy matka odwiedzają ich na Święto Wiosny. Miasta chińskie robią się wtedy puste.

Niepewny status egzystencji *liudong renkou* – mający wiele wspólnego ze statusem nielegalnych imigrantów – unaoczniła ostro epidemia COVID-19. Gdy pod koniec stycznia zamykano fabryki, zakłady usługowe czy restauracje, wielu migrantów straciło źródło dochodu. Do tej pory nie wszyscy wrócili do pracy. Ponieważ żyją w szarej strefie, bezrobocie w tej grupie nie znajduje odbicia w statystykach, a dostęp do pomocy państwowej jest prawie niemożliwy.

Choć sytuacja *liudong renkou* i imigrantów afrykańskich nie jest identyczna, to administracyjne bariery zbliżają ich do siebie i paradoksalnie sprawiają, że ↦

MOHMAD KATAB

Meczet Xianxian w Kantonie to miejsce spotkań muzułmanów z całego świata. 2019 r.

Afrykańczycy silniej wrastają w chińską tkankę społeczną: w Yuexiu rodzi się poczucie więzi między zmarginalizowanymi imigrantami wewnętrznymi i zewnętrznymi. Tym bardziej że jest jeszcze jeden czynnik zbliżający obie grupy.

Islam, religia wykluczenia

Znaczna część diaspory afrykańskiej to wyznawcy islamu. Tę samą religię wyznają dwie spośród 55 oficjalnie uznawanych mniejszości narodowych Chińskiej Republiki Ludowej: Huiowie i Ujgurzy, którzy stanowią sporą część mieszkających w Kantonie *liudong renkou*.

To przede wszystkim religia wyznacza odrębność grupy Hui od Han – narodowości, która stanowi ok. 92 proc. populacji Chin. Ujgurów, pochodzących w większości z Sinkiangu – najbardziej wysuniętej na zachód prowincji Chin – wyróżnia nie tylko islam, ale też tureckie pochodzenie, tradycja kulinarna, ubiór i język. W domach najczęściej posługują się ujgurskim (językiem zbliżonym do tureckiego), a mandaryńskiego uczą się dopiero w szkole.

Ta odrębność psuje szyki rządowi chińskiemu, który stara się budować mit jedności narodu. Dla władz w Pekinie najbardziej irytujące są jednak niepodległościowe aspiracje części Ujgurów, których wszelkie przejawy są brutalnie dławione.

Od lat Ujgurzy są obiektem systemowych prześladowań, prowadzonych w imię walki z ekstremizmem religijnym i terroryzmem. Skalę represji władz wobec tej mniejszości etnicznej odsłonił wyciek z baz danych chińskiego rządu w 2019 r. Ujawnione materiały dokumentują masową inwigilację i metody działania obozów w Sinkiangu, w których przetrzymuje się bez formalnego oskarżenia ponad milion Ujgurów. Zawarte w dokumentach instrukcje dla personelu obozów podważają eufemistyczną narrację władz, według której obozy te są ośrodkami edukacyjnymi, a pobyt w nich jest dobrowolny.

Niechęć przeniknęła też szeroko do myślenia chińskiego społeczeństwa o Ujgurach. W miastach zdominowanych przez Chińczyków Han, jak Kanton, ujgurskich imigrantów postrzega się powszechnie jako skłonnych do przemocy, nieuczciwych i niezdyscyplinowanych.

Silnie zakorzenione stereotypy widoczne są również na rynku pracy. Firmy prowadzące rekrutację czasem wprost stawiają wymóg przynależności do grupy Han i posiadania odpowiedniego *hukou*. Innym razem Ujgurów odrzuca się ze względu na niestandardowy akcent czy obco brzmiące nazwisko. Wszystko to utrudnia młodym Ujgurom start zawodowy i przedarcie się przez społeczno-ekonomiczną barierę dzielącą ich od współobywateli.

Meczet Huaisheng i African-Pot

W obliczu odrzucenia pojawia się potrzeba znalezienia miejsca, w którym jest się u siebie. Taką enklawą, gdzie zarówno muzułmańska część społeczności afrykańskiej, jak też Ujgurzy i Huiowie mogą znaleźć oparcie, jest Yuexiu.

Dzielnica ta ma bogatą tradycję islamską, sięgającą VII stulecia, za panowania dynastii Tang. Wtedy to w portowym mieście wyznaczono – na terenie dzisiejszego Yuexiu – kwartał mieszkalny dla cudzoziemskich kupców. Większość stanowili Arabowie, którzy handlowali między Chinami a rodzącym się światem islamskim. Na ich potrzeby zbudowano, być może już w VII w., dwa meczety: Xianxian i Huaisheng. Odtąd muzułmanie są stałym elementem krajobrazu Kantonu. Dziś w Yuexiu mieszka ich 50 tys., z czego połowa pochodzi z Afryki.

W Yuexiu nić porozumienia muszą nawiązać muzułmanie wielu obyczajów i języków, co nie zawsze jest łatwe. Przed bramą meczetu Huaisheng Huiowie często palą kadzidła dla przodków. Gdy Nigeryjczycy widzą tę praktykę po raz pierwszy, wydaje im się dziwna i niezgodna z Koranem. Jednak po pewnym czasie przyzwyczajają się i sami biorą udział w rytuale. Z drugiej strony lokalni imamowie dostosowują się do przybyszów i wchłaniają ich zwyczaje.

Wokół meczetów skupiona jest infrastruktura życiowa potrzebna muzułmanom do codziennego praktykowania ich wiary: sklepy z żywnością halal, restauracje i targi. Zarówno potrzeby religijne, jak i bardziej prozaiczne – zakupy, spotkania towarzyskie, uroczystości rodzinne – zaspokajane są w obrębie dzielnicy.

O silnym zakorzenieniu Afrykańczyków w Yuexiu świadczą szyldy sklepowe, na których obok chińskiego pojawia się arabski, angielski i francuski. Reklamują sklepy, restauracje, hotele i salony fryzjerskie nastawione na afrykańskich klientów, a coraz częściej także na ciekawych nowego Chińczyków. Obok lokali z makaronem z Lanzhou, szaszłykami z baraniny z Sinkiangu, restauracja African-Pot sprzedaje smażone tilapie podawane z *fufu*, typową dla kuchni Afryki Zachodniej kaszką z mąki kukurydzianej.

W Yuexiu islam ma wymiar globalny w dwojakim sensie. Meczet daje poczucie przynależności ludziom z różnych kultur, których łączy jedna religia, a cała infrastruktura dzielnicy jest płaszczyzną wymiany międzykulturowej. Epidemia, która zamknęła meczety i restauracje, uderzyła więc w integrację Afrykańczyków w Kantonie na dwóch poziomach.

Dziś sytuacja dopiero zaczyna wracać do normy. W czerwcu meczety otworzyły swoje drzwi dla wiernych. African-Pot na razie jest zamknięta.

© MARIA WIŚNIEWSKA

Pacjent ośrodka zdrowia psychicznego. Herat, wiosna 2020 r.

Kraj nieszczęśliwych ludzi

TEKST I ZDJĘCIA PAWEŁ PIENIĄŻEK Z HERATU (ZACHODNI AFGANISTAN)

Niemal dziewięciu na dziesięciu Afgańczyków uważa, że ich życie to cierpienie. Przemoc i bieda, której od lat doświadczają, źle wpływa na ich zdrowie psychiczne.

Ahmad Szah Rahimi miał sześć lat, gdy pewien mężczyzna zabił jego ojca przed rodzinnym domem. Do dzisiaj śni mu się scena zabójstwa – słyszy wtedy wyraźnie odgłosy tego zdarzenia. Jakby tego było mało, jakiś czas potem chłopiec został pełnym sierotą – na raka szpiku kości zmarła jego matka.

Rahimi jest najstarszy z piątki rodzeństwa. Od śmierci rodziców wraz z trzema braćmi i siostrą mieszka z dziadkiem. Chociaż dookoła jest tylu ludzi, czuje się samotny. Dziadek chce, aby chłopak przynosił pieniądze do domu, każe mu pracować, ale on nie może znaleźć stałego zajęcia. W Afganistanie bezrobocie wynosi ponad 40 proc., a w ostatnich miesiącach z powodu epidemii COVID-19 sytuacja uległa jeszcze znacznemu pogorszeniu.

Aby cokolwiek zarobić, Rahimi – który twierdzi, że zna na pamięć cały Koran – czasami recytuje go publicznie i za to otrzymuje niewielkie datki. Jest religijny, dwa razy był na pielgrzymce do Mekki. Uczy się w dwunastej, ostatniej klasie, interesują go komputery. Urodził się niewidomy. Podobno miałby szansę cokolwiek widzieć, gdyby przeszedł operację oczu, ale nie ma na nią pieniędzy. Ma za to wciąż nadzieję, że pomoże mu jakiś dobry zamożny człowiek, bo sam raczej prędko ich nie uzbiera.

Rahimi ma 20 lat, za sobą trzy próby samobójcze, zespół stresu pourazowego (PTSD) i depresję. Od trzech lat chodzi na terapię i dzięki niej czuje się znacznie lepiej: – Mam się dobrze, chociaż wciąż zdarzają się problemy ze snem – przyznaje Rahimi.

Problemy psychiczne – takie jak depresja, PTSD, stany lękowe i różnego rodzaju inne zaburzenia – są bardzo rozpowszechnione w Afganistanie. Cztery dekady trwającej non stop wojny, wszechobecna przemoc, bieda i brak perspektyw na lepszą przyszłość są ich głównymi zewnętrznymi przyczynami. Według różnych szacunków, w zamieszkałym przez 33-35 mln ludzi kraju od 50 do 70 proc. społeczeństwa potrzebuje wsparcia psychologa lub psychiatry.

Obawa przed szpitalem

Ubrany w koszulę do kolan, kamizelkę i klapki, Rahimi siedzi na kanapie w jednym z pomieszczeń szpitalnych. Zazwyczaj spotykają się tam w przerwach pracownicy oddziału neurologiczno-psychiatrycznego. Znajduje się on w Szpitalu Regionalnym w Heracie, milionowym mieście w zachodnim Afganistanie. To jedyny taki oddział w całej 3-milionowej prowincji Herat. Jest na nim tylko 25 łóżek.

Otrzymanie wsparcia psychologa nie jest łatwe. Rahimi ma szczęście. Zdrowie psychiczne jest sferą skrajnie niedoinwestowaną. Wielu Afgańczyków potrzebujących pomocy nie może jej otrzymać, ↦

Pacjenci ośrodka w Heracie oglądają telewizję; przebywa ich tu łącznie 240. Wiosna 2020 r.

lub też nie stać ich na wykupienie leków. Inni nie chcą iść do lekarza z obawy przed stygmatyzacją.

– Boją się, że zostaną uznani za wariatów, bo przychodzą do szpitala. Mają więc zaburzenia i żyją z nimi przez całe życie – mówi psychiatra Nasir Ahmad Alawi, który od trzech lat pracuje w Szpitalu Regionalnym w Heracie. – Nie tylko w Afganistanie, ale wszędzie na świecie ludzie nie lubią oddziałów psychiatrycznych – dodaje jakby usprawiedliwiająco.

Zgodnie z wytycznymi Światowej Organizacji Zdrowia, Afganistan powinien zwiększyć nakłady na opiekę psychologiczną i psychiatryczną przynajmniej jedenastokrotnie. Środki z pomocy zagranicznej, od której kraj jest uzależniony, inwestowane są jednak przede wszystkim w zdrowie fizyczne, a nie psychiczne. Teraz te tendencje zapewne jeszcze bardziej się nasilą, bo większość pieniędzy przeznaczana jest na przeciwdziałanie pandemii.

Trzech na trzy miliony

Zazwyczaj wszystkie łóżka w szpitalu w Heracie są zajęte, bo trafiają tam także osoby ze schorzeniami neurologicznymi. Wprawdzie z powodu koronawirusa większość z nich jest obecnie pusta. Pandemia powoduje jednak, że więcej pacjentów zgłasza się po pomoc psychologiczną.

– Z powodu koronawirusa przychodzi do nas więcej osób ze stanami lękowymi, fobiami czy zaburzeniami obsesyjno-kompulsywnymi. Znacznie nasilają się u nich takie zjawiska jak obsesyjne mycie rąk – mówi doktor Alawi.

Chociaż oddział obsługuje pacjentów z całej prowincji, to pracuje na nim tylko trójka psychologów zajmujących się poradnictwem. – Mamy ograniczone możliwości, ale robimy, co możemy – stwierdza Alawi.

W prowincji Herat tylko 22 ze 120 wspieranych przez państwo placówek medycznych oferuje opiekę psychologiczną. Z kolei prywatne klinki z powodu cen są nieosiągalne dla większości mieszkańców. Wielu chorujących pozostaje niezdiagnozowanych.

W ośrodku na lata

W Heracie jest także ośrodek zdrowia psychicznego prowadzony przez Afgański Czerwony Półksiężyc, w którym jednak nie prowadzi się leczenia – udzielane jest natomiast schronienie osobom wymagającym opieki. Działa od 2002 r. To jedyna tego typu placówka w Afganistanie, dlatego są do niej przywożeni pacjenci z całego kraju. Trafiają też do niej ci, których szpitale nie chcą już dłużej trzymać. Z powodu braku miejsca placówka przestała przyjmować nowych pacjentów na początku 2020 r.

– Nie mamy już więcej miejsca – stwierdza Ahmadullah Afzali, kierownik Międzynarodowego Czerwonego Półksiężyca w zachodnim Afganistanie. – Wielu ludzi zwraca się do nas o pomoc, bo nie mogli liczyć na ochronę zdrowia.

W marcu przebywało tu 240 pacjentów, z czego 38 to kobiety, które znajdują się w osobnej sekcji. Wielu z nich pozostaje w ośrodku od lat. Przypada na nich jeden lekarz, który codziennie sprawdza ich stan zdrowia. Jeśli ulega pogorszeniu, chory wysyłany jest do szpitala.

Pacjentom są wydzielane leki, ale – jak mówi Afzali – w ośrodku mają ich ograniczoną ilość. Nie dostają lekarstw od państwa. Ponadto, poza podstawową opieką zdrowotną, pacjenci otrzymują tu także jedzenie i ubrania.

Ośrodek zajmuje dużą przestrzeń. Pacjenci mieszkają w skromnych pokojach, gdzie oprócz materacy i koców nie ma w zasadzie nic innego. Są też pomieszczenia socjalne, w których na dywanach oglądają telewizję. W ciepłe dni siedzą przy murze na ławkach lub ziemi pod gołym niebem. Siedzą w ciszy obok drugiego, praktycznie bez ruchu. Tak im upływają kolejne dni.

Wśród nich jest 35-letni Husajn Ali z prowincji Ghazni w środkowym Afganistanie. Z szerokim uśmiechem powtarza te same zdania i podkreśla, że ma się bardzo dobrze. Kiedyś pracował jako piekarz w Arabii Saudyjskiej. Wrócił do kraju po śmierci matki; potem zmarła jego sio-

stra. Ojciec wysłał go do ośrodka zdrowia psychicznego. Husajn Ali jest w nim od dwóch i pół roku, regularnie otrzymuje lekarstwa. Ma nadzieję, że wkrótce będzie mógł wrócić do domu. Najbardziej chciałby wyjechać do swojego brata, który od 20 lat mieszka w Londynie.

Husajn Ali ma szczęście, że posiada rodzinę, na którą może liczyć – ma do kogo wrócić. Rocznie od 10 do 15 pacjentów wraca do swoich rodzin. W wielu innych przypadkach ośrodek jest jedynym miejscem, które im pozostało.

– To interesujące i smutne jednocześnie, że ok. 130 osób, które znajdują się u nas, nie otrzymało telefonu od nikogo w ciągu ostatnich dziesięciu lat – przyznaje Afzali.

Kraj antyrekordów

Skalę problemów psychicznych w Afganistanie przedstawił amerykański Instytut Gallupa. Z jego badań, przeprowadzonych w 2018 r., wynika, że Afgańczycy są najbardziej nieszczęśliwym społeczeństwem na świecie: 85 proc. respondentów stwierdziło, że ich życie to cierpienie i tak będzie w najbliższej przyszłości. To nowy rekord nie tylko dla Afganistanu, ale też świata. Afganistan ustanawia go już po raz czwarty w ciągu minionej dekady. Do tego drugi rok z rzędu nikt (zero procent) z respondentów nie uznał, że mu się powodzi.

Podczas badań w 2018 r. Afgańczycy mogli też ocenić swoje życie w skali od zera (najgorsze) do dziesięciu (najlepsze). Średnia wyniosła 2,7 – i jest to kolejny rekord. Tak niskiego poziomu nie odnotowano nigdzie od czasu, gdy Gallup przeprowadza badania.

Pytani o to, jak widzą swoje życie w ciągu najbliższych pięciu lat, afgańscy respondenci ocenili je jeszcze niżej: średnia wyniosła 2,3. To także rekord. Nie ostatni zresztą. Kolejny został pobity w pytaniu o emocje towarzyszące danej osobie minionego dnia. Tylko 36 proc. stwierdziło, że dużo się uśmiechało lub śmiało. 52 proc. odpowiedziało, że głównie się martwiło.

Ten brak optymizmu jest jeszcze bardziej przytłaczający, gdy weźmie się pod uwagę niską średnią wieku Afgańczyków. Dwie trzecie respondentów badań Gallupa miało nie więcej niż 35 lat. Brak nadziei na lepszą przyszłość sprawia, że wielu Afgańczyków szuka ucieczki w narkotykach [patrz „TP" nr 21 – red.]

Niewidomy **AHMAD SZAH RAHIMI** *ma depresję i PTSD, jedne z najczęstszych zaburzeń psychicznych w Afganistanie.*

Odkąd **FARHAD KARIMI** *stracił brata w zamachu, cierpi na PTSD. Po kilku latach terapii wraca do pracy i na studia.*

lub decyduje się na emigrację z kraju [patrz „TP" nr 23-24 – red.].

Kobiety szczególnie zagrożone

Na kobiety, z powodu ograniczeń wynikających z kultury i obyczajów, nałożona jest dodatkowa presja.

Rocznie w Afganistanie odbiera sobie życie średnio ok. 3 tys. osób. Ponad połowa właśnie w Heracie: w tej prowincji w 2017 r. aż 1800 osób próbowało popełnić samobójstwo, z czego 1400 to były kobiety. Liczby te mogą być jednak wyższe, gdyż z obawy przed ostracyzmem społecznym wiele prób samobójczych nie jest zgłaszanych.

W przeciwieństwie do światowych tendencji to właśnie kobiety, a nie mężczyźni, najczęściej usiłują popełnić samobójstwo w Afganistanie. To one dokonują aż 80 proc. wszystkich odnotowanych prób. Najczęściej wybierają samospalenie.

Z danych Funduszu Ludnościowego ONZ wynika, że 87 proc. Afganek przynajmniej raz w życiu doświadczyło przemocy fizycznej, seksualnej lub psychicznej, a 67 proc. wielokrotnie. Natomiast według UNICEF co trzecia kobieta poniżej 18. roku życia jest wydawana za mąż.

Te dane znajdują odzwierciedlenie w doświadczeniu psychologa Wahida Nurzada, który prowadzi także terapię Ahmada Rahimiego. Terapeuta wyjaśnia, że kobiety, które zwracają się do szpitala po pomoc psychologiczną lub psychiatryczną, zwykle były molestowane seksualnie, spotykały się z przemocą domową lub przymusowymi małżeństwami. Większość jednak boi się nawet rozmawiać o swoich problemach, w obawie przed społecznym ostracyzmem.

– Były pacjentki, które zostały zgwałcone. Jeśli powiedzą o tym członkom swojej rodziny, to zostaną z góry osądzone, szczególnie przez ojca. Nie będą mogły funkcjonować we wspólnocie – mówi Nurzad.

Dlatego młode kobiety muszą uznać wolę ojca, nawet jeśli ten uzna, że mężem ma zostać gwałciciel.

Nadzieja

26-letni Farhad Karimi cierpi na PTSD. Także on jest pacjentem doktora Nurzada.

Problemy psychiczne pojawiły się u Farhada po tym, jak trzy lata temu dwóch mężczyzn, prawdopodobnie powiązanych z lokalnym odłamem Państwa Islamskiego, zaatakowało meczet w Heracie. Zginęły 33 osoby, a 66 odniosło rany. Wśród zabitych był 18-letni jego brat. Farhad Karimi widział jego śmierć na własne oczy. – Byłem tam wtedy, wybuch odrzucił mnie na kilka metrów – opowiada. – Często mi się to śni.

Karimi studiował medycynę. Wraz z bratem prowadził też sklep z dywanami i naczyniami importowanymi z Iranu. Dobrze im się wiodło. – Tamten zamach zmienił moje życie o 180 stopni. Straciłem wszystko, co miałem – przyznaje.

Przestał pracować i nie był w stanie więcej chodzić na uczelnię. Jak mówi, z dziesięć razy rozważał samobójstwo. Sam postanowił udać się na terapię. Trafił do doktora Nurzada. Po dwóch i pół roku wrócił na studia, zaczął kursy języka angielskiego, regularnie chodzi na basen i lekcje kung-fu. Stanął też na czele nowo powstałego stowarzyszenia, działającego na rzecz osób z chorobami psychicznymi. Dzisiaj ma ono ponad 350 członków.

Powrót do zdrowia Farhad Karimi zawdzięcza terapii. Dziś jest wśród tej afgańskiej mniejszości, która w przyszłość patrzy z nadzieją.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

Współpraca: AREF KARIMI i ALISZER SZACHIR

HISTORIA

HUSYCKA REWOLUCJA

Mit husytyzmu – narodowego ruchu, który stawiał desperacki opór obcym mocarstwom w imię prawdy – jest wciąż kluczowy dla tożsamości Czechów. Historycy weryfikują dziś jego obraz.

TOMASZ MAĆKOWIAK

DAWID W. CERNY / REUTERS / FORUM

Sześćset lat temu, na przełomie czerwca i lipca 1420 r., utonęła w chaosie i rozpadła się pierwsza wyprawa krzyżowa przeciw czeskim husytom, ogłoszona przez papieża Marcina V. W Czechach tradycyjna narodowa wersja tej historii głosi, że potężne wojska krzyżowców zostały rozgromione 14 lipca w bitwie na wzgórzu Vítkov pod Pragą (pol. Witkowa Góra), a o wiktorii przesądziły patriotyzm i męstwo husytów oraz geniusz strategiczny ich wodza, Jana Žižki z Trocnova.

Ktokolwiek był w Pradze, musiał go dostrzec: górujący nad miastem od wschodniej strony pomnik jeźdźca na koniu. Tam, na Vítkovie, stoi brązowy Žižka: krzepki mężczyzna z charakterystyczną przepaską na oku. Takiego bohatera poznają czeskie dzieci na lekcjach.

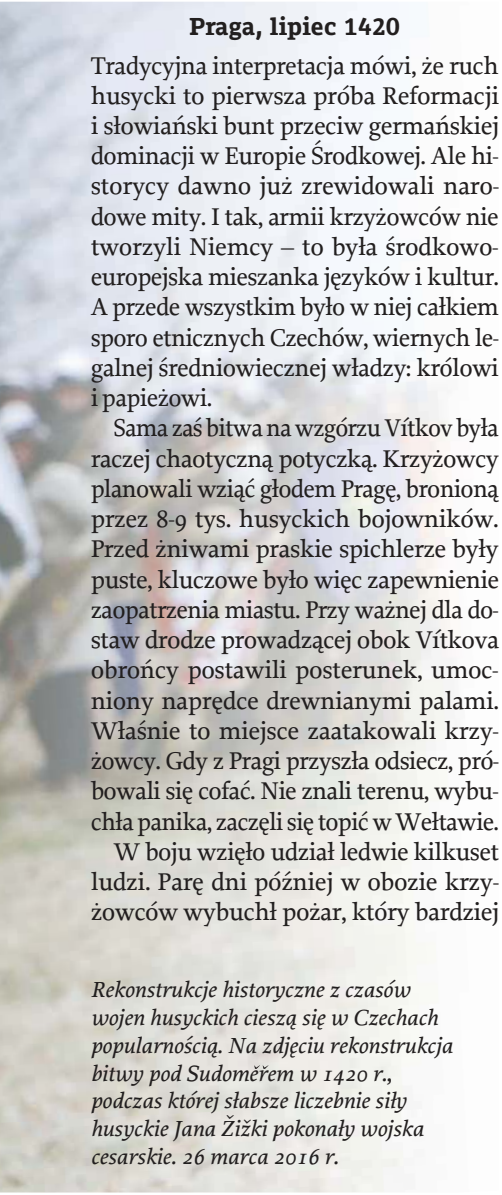

Rekonstrukcje historyczne z czasów wojen husyckich cieszą się w Czechach popularnością. Na zdjęciu rekonstrukcja bitwy pod Sudoměřem w 1420 r., podczas której słabsze liczebnie siły husyckie Jana Žižki pokonały wojska cesarskie. 26 marca 2016 r.

Praga, lipiec 1420

Tradycyjna interpretacja mówi, że ruch husycki to pierwsza próba Reformacji i słowiański bunt przeciw germańskiej dominacji w Europie Środkowej. Ale historycy dawno już zrewidowali narodowe mity. I tak, armii krzyżowców nie tworzyli Niemcy – to była środkowoeuropejska mieszanka języków i kultur. A przede wszystkim było w niej całkiem sporo etnicznych Czechów, wiernych legalnej średniowiecznej władzy: królowi i papieżowi.

Sama zaś bitwa na wzgórzu Vítkov była raczej chaotyczną potyczką. Krzyżowcy planowali wziąć głodem Pragę, bronioną przez 8-9 tys. husyckich bojowników. Przed żniwami praskie spichlerze były puste, kluczowe było więc zapewnienie zaopatrzenia miastu. Przy ważnej dla dostaw drodze prowadzącej obok Vítkova obrońcy postawili posterunek, umocniony naprędce drewnianymi palami. Właśnie to miejsce zaatakowali krzyżowcy. Gdy z Pragi przyszła odsiecz, próbowali się cofać. Nie znali terenu, wybuchła panika, zaczęli się topić w Wełtawie.

W boju wzięło udział ledwie kilkuset ludzi. Parę dni później w obozie krzyżowców wybuchł pożar, który bardziej niż ta porażka nadłamał ducha bojowego. Znawca epoki, prof. Petr Čornej z Uniwersytetu Karola, nie ma wątpliwości: o klęsce krzyżowców zdecydowały kłopoty z aprowizacją. Ich armia plądrowała okolice Pragi, a gdy zjadła wszystko, czego nie ukryli chłopi, w oczy zajrzał jej głód. Dowodzący król rzymski Zygmunt pojął, że za chwilę wojsko mu się zdemoralizuje, i zarządził odwrót.

Przed odjazdem, 28 lipca, w pośpiechu zajechał do katedry św. Wita (krzyżowcom udało się wcześniej zająć zamek na Hradczanach), gdzie jako dziedzic z dynastii luksemburskiej, która rządziła krajem, koronował się na króla Czech. Uroczystość była skromniutka, wzięli w niej udział nieliczni katoliccy wielmoże. Rzecz jasna przedstawiciele Pragi się nie stawili – w tym czasie ich poseł, Hynek Kolštejnský z Valdštejna, zmierzał do Krakowa z ofertą korony czeskiej dla Władysława Jagiełły. Pomysł wspierał Žižka (weteran spod Grunwaldu), ale nie brakło też wpływowych przeciwników.

Debaty o następstwie tronu toczyły się w duchu epoki. Np. husycki wódz Mikuláš z Pístného był przeciwny oddaniu korony Jagielle, bo wierzył, że lada chwila zacznie się Tysiącletnie Panowanie Chrystusa. Podobne postawy były wśród husytów powszechne.

Oczami potomnych

Na husytyzm patrzymy dziś przez pryzmat nowoczesnego czeskiego nacjonalizmu z XIX i XX stulecia. Odsłonięcie pomnika Jana Husa na Rynku praskiego Starego Miasta w 1915 r. było jednym z ważniejszych momentów na drodze emancypacji narodowej Czechów.

Już po powstaniu Czechosłowacji na tym tle doszło nawet do rozłamu w Kościele katolickim, do którego należała wtedy zdecydowana większość obywateli z trzech głównych grup etnicznych – Czechów, Słowaków i Niemców. Około miliona Czechów wystąpiło z Kościoła katolickiego. Narodowcy powołali Czechosłowacki Kościół Husycki, który nazwą i liturgią nawiązywał do średniowiecznego husytyzmu, ale był tworem nowym. Dziś należy do niego około jednego procenta Czechów, a jego znaczenie jest symboliczne.

Anachroniczne interpretacje zostały doprowadzone do skrajności przez komunistów. W ich ujęciu husytyzm był proletariacką rewolucją, a kontynuacją tamtej „słowiańskości" miał być teraz sojusz ze Związkiem Sowieckim. Wspomniany pomnik Žižki, projektowany od lat 20. XX w., ale niezrealizowany, odsłonięto ostatecznie po objęciu władzy przez komunistów, w 1950 r. Dwa lata później w budynku za pomnikiem otwarto mauzoleum Klementa Gottwalda, założyciela komunistycznej Czechosłowacji: w sowieckim stylu, z zabalsamowanymi zwłokami wystawionymi na widok publiczny. Mumię skremowano w 1962 r., ale pogrzeby komunistycznych dygnitarzy nadal odbywały się na terenie narodowej nekropolii na Vítkovie (po 1989 r. urny z prochami przeniesiono na zwykły cmentarz).

W czasach stalinizmu w centrum Starego Miasta minister edukacji Zdeněk Nejedlý kazał postawić (on sam mówił: „odbudować") Kaplicę Betlejemską, tj. kopię budynku, w którym na początku XV w. głosił kazania Hus. Do dziś pełni ona funkcje reprezentacyjne.

W Pradze cesarza Karola

Tyle późniejszych interpretacji. A co takiego stało się 600 lat temu, że Czechy wstrząsnęły Europą?

Jan Hus, żarliwy kaznodzieja i reformator religijny, był w ówczesnej Pradze kolejnym z całej galerii świętych szaleńców. Historycy przypominają, że okres poprzedzający narodziny husytyzmu to czas szczególny. Przez Europę szły epidemie dżumy, a Kościół – instytucja organizująca całe życie religijne i społeczne – tkwił w kryzysie, rządzony przez dwóch, a momentami trzech konkurujących papieży.

Kotlina Czeska przynajmniej od XII w. była krajem dwunarodowym. A ówczesny czeski król i rzymski cesarz Karol IV (1316-78) był prawdziwym intelektualistą na tronie. Uczynił z Pragi centrum Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Spraszał tu największe umysły, w tym znakomitego kaznodzieję Konrada Waldhausera – ascetę, potępiającego zepsucie duchowieństwa i pogoń za dobrami ziemskimi.

Wśród zachwyconych słuchaczy był cesarski urzędnik Jan Milíč z Kromieryża. Pod wrażeniem Waldhausera porzucił dworską karierę i został księdzem. Zdobył popularność jako kaznodzieja także dlatego, że – inaczej niż jego mistrz – kazania głosił nie po niemiecku, lecz czesku. Ascezę doprowadził do skrajności: chodził w łachmanach, głodził się; słyszał też głosy aniołów. Potępiał niezrozumiałe ↦

↦ dla ludu uniwersyteckie dysputy, domagał się rozdania biednym majątków bogaczy (nie tylko kościelnych), krytykował dbałość o higienę jako przejaw próżności. Ze Starego Testamentu wywiódł tezę, że między 1365 a 1367 r. światem zacznie rządzić Antychryst. W kolejnym kazaniu wskazał go palcem: za Antychrysta uznał Karola IV.

Mądry cesarz zbył to żartami, ale Míča utemperowano, powierzając mu prowadzenie przytułku dla nawróconych prostytutek. Jego sława jednak trwała. W 1394 r. pewien bogaty kupiec postawił w sąsiedztwie prywatną kaplicę i ustanowił fundację, której celem było sprowadzanie najlepszych kaznodziejów głoszących Słowo Boże po czesku. Kilka lat później, w 1402 r., głównym kaznodzieją Kaplicy Niewiniątek (tak ją nazwano) został uniwersytecki profesor, około trzydziestoletni Jan z Husinca.

Radykalizacja Mistrza Jana

Karol IV zjednywał sobie sojuszników feudalną metodą kojarzenia małżeństw. Jedną z córek, Annę, wydał za angielskiego króla Ryszarda II. Ktoś z ludzi, którzy towarzyszyli Annie, wrócił do Pragi z pismami oksfordzkiego teologa Johna Wycliffe'a. Był to kolejny krytyk stosunków panujących w Kościele. Domagał się powrotu do cnót ewangelicznych. Wywodził, że papież, który żyje w stanie grzechu śmiertelnego, traci duchową władzę, a chrześcijanin ma obowiązek wypowiedzieć mu posłuszeństwo.

Pisma trafiły do teologów z Uniwersytetu Karola. Wkrótce podobne wątki pojawiły się w kazaniach Husa, głoszonych w Kaplicy Niewiniątek, którą praski lud zaczął nazywać Kaplicą Betlejemską. Hus potępiał księży noszących świeckie stroje, grzmiał na tych, którzy utrzymywali kochanki i grali w kości. Ze zgorszeniem opowiadał, że w zamówionej przez króla Biblii jedna z ilustracji przedstawia scenę współżycia patriarchy Jakuba z Rachelą. O bezkompromisowym kaznodziei wkrótce mówiło całe miasto, a wśród słuchającej go biedoty widziano nawet królową Zofię. Hus stał się modny, ale sukces miał ciemne strony: mnożyć zaczęły się skargi do biskupa na radykalnego kaznodzieję.

Około roku 1409 w akademickich dysputach pojawił się nowy wątek: zwolennicy tez Wycliffe'a poskarżyli się królowi, że zarzuty herezji stawiają im głównie uczeni narodowości niemieckiej. Prawdopodobnie chcieli wykorzystać wsparcie królowej, która ceniła Husa, w walce uczelnianych koterii. Udało się: król Wacław IV (syn i następca Karola IV) wydał dekret, zmieniając strukturę uniwersytetu. Dotąd rządziły nim cztery „nacje": czeska, polska, saska i bawarska, a każda miała po jednym głosie. Dekret zmieniał proporcje: trzy głosy dostali Czesi, a reszta jeden. „Radujmy się, dzieci! Niech będzie pochwalony Bóg Wszechmogący, że się nam udało pozbyć Niemców! Jesteśmy zwycięzcami!" – wołał z ambony Hus, pierwszy rektor z nacji czeskiej.

Efekt był jednak taki, że większość studentów i profesorów wyjechała, wzmacniając uniwersytety w Wiedniu i Krakowie.

Historycy podkreślają, że wczesny ruch husycki nie był próbą tworzenia nowego wyznania. Społeczność dzieliła się w poprzek: często wikary był zwolennikiem wiklefistów (jak ich zwano), a proboszcz skarżył się na Husa do biskupa. Wszyscy uważali się jednak za katolików, i to tych prawowiernych.

W 1412 r. Hus zaczął nazywać papieża Antychrystem. Poszło o kolejną falę sprzedaży odpustów. Zgorszonych tym świętokupstwem było wielu, ale Hus stał się tak radykalny, że opuściła go nawet część przyjaciół. W sierpniu potępiono go (po raz kolejny), nakładając też ekskomunikę na Pragę – oznaczało to, że prażanie nie mogli chrzcić dzieci, przystępować do komunii i spowiadać się, umierali bez rozgrzeszenia.

Otoczenie Husa namówiło go, by wyjechał na wieś i zaprzestał chwilowo publicznej działalności. Ten czas miał być przeznaczony na wyjaśnienie wątpliwości i zdjęcie z Husa klątwy, którą uważano za wynik nieporozumienia. Okazją do pojednania miał być zbliżający się sobór w Konstancji.

Skazany w Konstancji

Hus pojechał na sobór jesienią 1414 r. – ze sporą obstawą i listem żelaznym (gwarancją nietykalności) od króla rzymskiego Zygmunta. Mimo to dwa tygodnie po przybyciu do Konstancji trafił do aresztu. Po dziewięciu miesiącach procesu został spalony na stosie jako heretyk.

Czeska historia przedstawia go tradycyjnie jako męczennika za prawdę, zabitego z zemsty za krytykę papieża i króla. Żal nad jego okrutną śmiercią wyraził Jan Paweł II podczas konferencji na Uniwersytecie Laterańskim w 1999 r., w obecności prezydenta Czech Václava Havla. Po badaniach międzynarodowej komisji naukowej nie ma już wątpliwości, że była to kolejna historyczna zbrodnia, która obciąża Kościół.

Ustalenia komisji przyniosły też nowe spojrzenie na sam proces. Kluczowe są tu ustalenia, które opublikował nieżyjący już czeski historyk prawa średniowiecznego prof. Jiří Kejř. W książce „Hus znany i nieznany" pisze on, że areszt był rodzajem internowania: nie było mowy o przemocy, Hus mógł pracować. Sobór zajmował się fundamentalną sprawą sklejenia rozpadającego się Kościoła, sprawa Husa była tu tylko kwestią poboczną.

Jiří Kejř pisze, że wzywany przed oblicza ojców soborowych, Hus wdawał się z nimi w dywagacje, jakby brał udział w akademickiej dyspucie. Daremnie próbowano mu uświadomić, że to prawdziwy sąd (kierujący się ówczesnym prawem – gdy dla prawa średniowiecznego kwestie religijne były kręgosłupem struktury społecznej).

W zachowanych dokumentach opisane są wizyty kolejnych kardynałów w celi Husa. W długich rozmowach podpowiadali mu nieco wykrętne sformułowania, których zalecali użyć, by uniknął skazania za herezję. Ale on się radykalizował. Na ostatnim przesłuchaniu powtórzył za Wycliffe'em, że papież, który żyje w grzechu śmiertelnym, nie jest papieżem. I dodał: „Król, który żyje w grzechu śmiertelnym, nie jest królem". Patrzył przy tym na obecnego na sali Zygmunta, znanego kobieciarza. „Janie Husie, nikt z nas nie jest bez grzechu!" – zagrzmiał rozwścieczony monarcha.

Mimo to nawet nazajutrz na Husa czekały dwa projekty wyroku: skazujący i uniewinniający. Podobno był plan, by skazać go na spędzenie reszty życia w klasztorze na bałtyckiej wyspie. Jednak on odmówił złagodzenia wypowiedzi. Jiří Kejř (sam protestant) uważał, że kardynałowie nie mieli wyjścia. Jeszcze tego samego dnia spłonął na stosie, a prochy wrzucono do Renu.

Rewolucja w Pradze

Niezwykle ciekawych jest tych kilka lat między spaleniem Mistrza Jana a wybuchem wojen husyckich. Spór, którym żyło praskie mieszczaństwo, nie wypalił się, lecz rozlał na cały kraj. W kościołach

CC BY-SA 3.0

Widok na Pragę ze wzgórza Vítkov, na pierwszym planie pomnik Jana Žižki.

coraz częściej występowali radykalni kaznodzieje, atakowali władzę króla i papieża, krytykowali Kościół. Jądrem sporu stał się język liturgii (czeski zamiast łaciny) i Eucharystia. Jeden ze zwolenników Husa, mistrz Jakoubek ze Stříbra, zaczął w 1415 r. udzielać jej w kilku praskich kościołach pod obiema postaciami, chleba i wina. Napisał o tym w liście do Konstancji, do uwięzionego Husa, ale z odpowiedzi można wnosić, że Mistrz Jan nie uważał tego za sprawę pierwszej wagi.

Po Europie krążyła plotka, jakoby przyjmowanie Eucharystii pod obiema postaciami chroniło przed dżumą. Kielich mszalny stał się symbolem ruchu. Husyckich radykałów nazwano kaliszanikami – od czeskiego *kalich* (kielich).

Po zabiciu Husa w całym kraju kościoły podzieliły się na te „pod obiema" (jak je zwano) i pozostałe. Setki kaznodziejów głosiły rychły początek Tysiącletniego Panowania Chrystusa. Ich wystąpienia czasem kończyły się bijatykami. Słaby król Wacław IV próbował lawirować między naciskającym go królem rzymskim Zygmuntem (swym przyrodnim bratem) a buntującym się ludem. Wydał zakazy, na mocy których w 1418 r. w Pradze zostały tylko trzy kościoły „pod obiema".

Na Wielkanoc 1419 r. zaczęły się „pielgrzymki na góry": organizowane spontaniczne spotkania religijne. Na wsiach bywało, że w niedzielę rano ludzie szli na mszę, a wieczorem gromadzili się na jakiejś górce, palili ogniska, wspominali Mistrza Jana, a mowę krytykującą papieża głosił im ten sam proboszcz, który rano odprawiał mszę. W przeczuciu, że nastały czasy ostateczne, wzgórzom nadawano biblijne nazwy: Horeb, Góra Oliwna, Baranek i najsłynniejsza – Tábor.

Wacław IV czuł, że jego władza ulega rozkładowi, i chyba chciał zademonstrować siłę. 6 lipca 1419 r., w czwartą rocznicę spalenia Husa, zdymisjonował złożoną z husytów radę miejską praskiego Nowego Miasta i zastąpił ich zwolennikami papieża. Wywołało to ogromne protesty. Dwa tygodnie później na górze Tábor, 90 km na południe od Pragi, doszło do zgromadzenia, w którym wedle dzisiejszych szacunków wzięła udział rekordowa liczba 40 tys. ludzi. W samej Pradze coraz większe wpływy zyskiwał zbiegły mnich Jan Želivský, który głosił płomienne kazania w jednym z kościołów „pod obiema".

W niedzielę 30 lipca świątynia była pełna wiernych, którzy pod okryciami mieli kije, noże, miecze. Želivský poświęcił kazanie zdradzieckim władcom, po czym zawołał: „W górę serca, drogie dzieci!". Tłum ruszył przez miasto. Po drodze wpadł do kościoła, w którym odprawiano katolicką mszę: księdza pobito, wiernych rozpędzono. Niosąc monstrancję, Želivský poprowadził pochód pod ratusz Nowego Miasta. Podobno z ratuszowego okna ku monstrancji poleciał kamień. Rozlew krwi mógł jeszcze powstrzymać przysłany przez króla oddział trzystu konnych, ale zobaczywszy, co się dzieje, dowódca kazał zawrócić. Potem okazało się, że był on niechętnym królowi zwolennikiem husytów.

Ratusz szybko zdobyto, a wiernych królowi radnych powyrzucano przez okna. To była pierwsza praska defenestracja. Okna były nisko, ledwie pierwsze piętro, ale wyrzucani spadali na piki i miecze.

Europejski wyjątek

Tak zaczęły się wojny husyckie. Wacław IV praktycznie się poddał: dwa dni później przyjął sklecone naprędce przeprosiny i zatwierdził nową radę Nowego Miasta, złożoną z husytów. Schorowany i rozpity, dostał udaru i 15 sierpnia umarł.

Następny w kolejce do czeskiego tronu Zygmunt Luksemburski szykował już z papieżem wyprawę krzyżową, która miała przywrócić porządek. Stało się inaczej. Wyprawy krzyżowe załamywały się jedna po drugiej. Husyci okrzepli w bojach i nie ustępowali pola przez następnych 16 lat. Kolejne bitwy i kampanie były już naprawdę potężne, okrutne i pustoszące – nie tylko Czechy, także okoliczne krainy. Od najazdów husyckich bardzo ucierpiał wtedy Dolny Śląsk (wtedy już część cesarstwa). Husytami w Europie Środkowej straszono dzieci, ale druga strona nie była lepsza.

Sami husyci szybko się podzielili. Skrzydłu radykalnemu przewodzili taboryci, wojowniczy i zdominowani przez wyznawców tezy, iż wkrótce nadejdzie Królestwo Boże. W Táborze (miasto przez nich założone istnieje do dziś) początkowo tworzyli coś między utopijną komuną a obozem wojskowym. Jak żywe to dziedzictwo, niech świadczy fakt, że prezydent Czechosłowacji Tomáš Masaryk oznajmił w latach 20. XX w.: „Naszym programem jest Tábor".

Zdecydowaną większość społeczeństwa Czech stanowili jednak umiarkowani utrakwiści (od łacińskiego *sub utraque specie*, pod obiema postaciami). Koniec końców sprzymierzyli się oni z katolikami i w 1434 r. wspólnie pokonali taborytów w bitwie pod Lipanami.

Likwidacja radykałów przywróciła pokój. Czechy stały się w ówczesnej Europie prawdziwym wyjątkiem: sobór w Bazylei zatwierdził postulaty utrakwistów i w kraju obok siebie funkcjonowały dwa legalne obrządki chrześcijańskie. Ten stan przetrwał niemal 200 lat, aż do bitwy na Białej Górze w 1620 r., kiedy pod berłem Habsburgów w Czechach zaczęła się Kontrreformacja. © TOMASZ MAĆKOWIAK

Szaman rozpoczyna rytuał Pachamama poświęcony Matce Ziemi. Ekwador, Molinuco, 22 stycznia 2018 r.

AMAZONIA MOŻE NAS URATOWAĆ

MARK PLOTKIN, ETNOBOTANIK:

Musimy chronić i lasy, i szamanów. Wraz z nimi zanika wiedza o medycznych roślinach. Kiedy umiera jeden szaman, to tak, jakby umierała biblioteka.

FRANKLIN JACOME / PRESS SOUTH / NURPHOTO/ GETTY IMAGES

MARIA HAWRANEK: Podobno w Amazonii co trzy dni jest odkrywany nowy gatunek.

MARK PLOTKIN: Ale to nie tak, że naukowiec idzie do lasu tropikalnego, znajduje nowego żuka i od razu jest o tym artykuł w „New York Timesie". Raczej rusza na roczną ekspedycję, wraca i przez kilka lat opracowuje zebrany materiał.

Co odkryto, gry pracowałeś nad ostatnią książką – „The Amazon. What Everyone Needs to Know"?

Kraby w koronach drzew; drzewo o 30 metrów wyższe niż jakikolwiek opisany do tej pory okaz; że w Amazonii żyją trzy gatunki węgorzy elektrycznych, a nie jeden, jak myślano do tej pory. I że polują one w grupach, nie w pojedynkę. Rozpoczęto również badania nad wykorzystaniem ich właściwości do stworzenia małych hydrożelowych baterii, które można by wszczepiać do ludzkiego ciała.

Kiedy mówimy „odkryto", rozumiemy – „odkryto dla zachodniego świata", bo rdzenne społeczności te gatunki znają od zawsze.

Richard Schultes, uważany za ojca współczesnej etnobotaniki, mój mentor i przyjaciel, często mówił: my niczego nie odkrywamy. Dowiadujemy się jedynie o tym, co rdzenni mieszkańcy chcą nam pokazać. Kolumb też nie był pierwszym człowiekiem w Ameryce. Czy Indianie siedzieli na brzegu i czekali, aż ich odkryjemy? Zresztą gdy Aleksander Fleming odkrył penicylinę, położne powiedziały: a my to kładziemy spleśniały chleb na rany.

Mawiasz, że Amazonia to najwspanialsza ekspresja życia na Ziemi.

Lasy tropikalne to dom dla 50 proc. gatunków naziemnych. Dla Amazonii brakuje skali. Żyją tu małpy wielkości myszy i trzy gatunki żab tak ogromnych, że są w stanie zjadać nietoperze. Są tu unikalne ekosystemy: wspomniane korony drzew, zatopione lasy, wyspy na rzekach, rafy koralowe i dryfujące łąki, które mogą osiągać wielkość 2,5 km kwadratowych. Spaceruje po nich kapibara, największy gryzoń na świecie, ważący do 90 kg.

Z lasu deszczowego pochodzi też 25 proc. współczesnych leków.

Jedna na cztery rośliny kwitnące na Ziemi żyje w Amazonii. Szacuje się, że samych gatunków drzew jest tu ponad 16 tysięcy. To ogromne bogactwo. W Surinamie, gdzie od lat prowadzę badania, jest takie powiedzenie: Amazonia zna odpowiedzi na pytania, których jeszcze nie zdążyliśmy zadać. Czasem to są nowe pytania i nowe odpowiedzi, czasem stare odpowiedzi na nowe pytania.

Co masz na myśli?

Dziennikarze teraz dzwonią do mnie i pytają, czy szamani mają lek na koronawirusa. Nie wiem, nigdy ich o to nie pytałem. Wyjechałem z Amazonii w lutym, wtedy nie było jeszcze pandemii. Niewykluczone, że on gdzieś w Amazonii jest i czeka na odkrycie. A może już mamy substancję, której wystarczy przyjrzeć się na nowo? Jak chininie, z którą wiąże się interesująca, nieznana historia.

To opowiedz.

Rdzenne społeczności znają ją od bardzo dawna, Zachód zainteresował się nią około XV w. W latach 50. XX w. okazało się, że pacjenci, którzy mieli problemy sercowe, zaczęli się pod jej wpływem normalizować. Kiedy naukowcy się temu przyjrzeli, zauważyli, że w leku z kory drzewa chinowego jest nie tylko chinina, ale i drugi alkaloid, nazywany chinidyną, który leczy arytmie sercowe. Stare odkrycia mogą zatem zawierać nowe odpowiedzi. A nowe pytania pojawiają się cały czas. Na przykład o zwalczanie bakterii lekoopornych. Czy są na nie leki w lesie deszczowym? Nie wiadomo, ale na pewno zbyt mało ludzi ich tam szuka.

Zachodnia medycyna nie zawsze daje radę. Kulejesz jeszcze?

Nie, od dekady. Szaman mnie uzdrowił. Zwichnąłem kostkę. W miarę jak się starzejesz, taka kontuzja gorzej się goi. Lekarze nie mogli sobie z tym poradzić – ani lekami, ani zastrzykami z kortyzolu, ból wciąż powracał. Wtedy w Surinamie szaman ze społeczności Kwamala zobaczył mnie kulejącego, wziął moją maczetę i odciął kawałek drzewa. Wyleczył mnie rosnącą na nim paprocią. Na Zachodzie uważa się paprocie za chemicznie obojętne. O ile mi wiadomo, nie ma żadnych leków na ich bazie. Z punktu widzenia naukowego, jeśli ktoś mówi „to jest lek", a ty wiesz, że pochodzi z rodziny chemicznie nieaktywnej, sądzisz, że kłamie, wyłudza pieniądze. Ale może to również znaczyć, że zachodnia nauka nigdy się paprociom odpowiednio nie przyjrzała. Nie wiem. Wiem tylko, że nogę mi naprawił.

Ale jak?

Odciął paproć, wrzucił do ognia, sczernił, przyłożył do nogi, co straszliwie zapiekło. Pomysł, że na obolały mięsień coś się wciera, nie jest zaskakujący. Ale potem wrzucił ją do garnka, zrobił herbatę i kazał mi ją wypić. Czy pomogło mi wcieranie? Czy wypicie naparu? Nie wiem. Czy to placebo – paproć nic nie zrobiła, tylko zadziałała moja wiara w tego gościa? A może szamańska magia? Nie wiem. Najważniejsze, że działa. ↦

Długo nie wiedzieliśmy przecież, jak działa aspiryna, i nie przeszkadzało nam to jej łykać.

Jak to?

W Europie zauważono, że jelenie jedzą czasem korę wierzby. Zaczęto więc eksperymentować z tworzeniem wyciągów i tak narodziła się aspiryna. Dopiero jakieś 10-15 lat temu zrozumieliśmy, jak działa, ale czy kiedy bolała cię głowa, to miało to znaczenie? Bierzesz te białe, tanie tabletki, wiesz, że cię nie skrzywdzą, a wyleczą objaw. I już.

Tylko ten szaman mógł Ci teoretycznie maczetą odrąbać nogę.

Właśnie nie mógł! Wspaniałe z szamanami jest to, że cię nie krzywdzą. Nie wycinają ci połowy żołądka, żeby po zakończonej operacji stwierdzić: a, to jednak nie to, działamy dalej. Nie amputują ci nieodpowiedniej nogi.

Co ciekawe, wtedy był z nami drugi szaman, z zupełnie innej społeczności. Powiedział: używam tej samej rośliny w tym samym celu. To już jest nauka. Masz przypadek testowy i hipotezę, gdy działa za drugim razem, w innym kraju, u innego szamana, to myślisz: coś jest na rzeczy. Chociaż w sensie ścisłym nie jest to dowód rozstrzygający i zachodnia medycyna potrzebowałaby stu kolejnych takich przypadków oraz badań w laboratorium.

W Amazonii mnóstwo jest roślin albo naparów, które mają moc zabijania i uleczania: np. kurara – trucizna stosowana do polowań. Macza się w niej czubki strzał, a kiedy dostanie się do krwi, rozluźnia mięśnie i powoduje uduszenie.

Kurara ma wyjątkową właściwość: spożyta doustnie nie wywołuje żadnego efektu, zatrute nią zwierzę nie będzie więc szkodliwe dla tego, kto je zje. Jeszcze w XIX w. dzięki kurarze odkryto, jakie są interakcje między mięśniami a nerwami, to był przełom w medycynie. Później na jej bazie stworzono leki, które rozluźniały mięśnie przed zabiegami chirurgicznymi. Dziś przy znieczuleniach stosuje się syntetyczne zamienniki stworzone na podstawie naturalnych substancji.

Bardzo często rośliny używane przez szamanów zawierają substancje zmieniające świadomość. Używają ich, by zdiagnozować, leczyć, a często uzdrowić ludzki umysł i ducha.

W 1967 r. w San Francisco odbyło się pierwsze interdyscyplinarne sympozjum poświęcone wykorzystywaniu roślin psychoaktywnych przez społeczności rdzenne. Ale wkrótce w USA wypowiedziano wojnę narkotykom i badania zostały zawieszone.

Ci badacze wiedzieli, że istnieją inne sposoby na poznanie; że rdzenne ludy rozumieją rośliny w sposób dla nich niedostępny. Ich przekonania były wtedy poza mainstreamem, ale przetrwały próbę czasu. Pół wieku później, w 2017 r., badacze znów się spotkali, tym razem w Wielkiej Brytanii. Rośliny psychodeliczne są coraz częściej obiektem poważnych badań i zachwytu, bo powoli rozumiemy, że związki w nich zawarte mogą zająć pozycje obok innych honorowych darów Matki Natury: inhibitorów ACE, antybiotyków, aspiryny, beta-blokerów i statyn. Na tej konferencji debatowano szczególnie nad „nowymi" związkami chemicznymi zawartymi w różnych odmianach ayahuaski, w ibodze, kratomie, peptydach pochodzących od żab halucynogennych. Ich związki chemiczne są częścią badań klinicznych i leczenia schorzeń takich jak depresja, uzależnienie od narkotyków, lęk przed śmiercią, bezpłodność, zespół stresu pourazowego (PTSD) i innych. Rezultaty są obiecujące.

Niektóre z tych substancji są już oficjalnie dostępne?

Nie w aptece, ale w programach leczenia – tak. W USA mamy ogromny problem z PTSD wśród żołnierzy, którzy walczyli w czasie wojny w Afganistanie i Iraku. Zachodnia medycyna nie potrafi im pomóc, ale dostają substancje halucynogenne, głównie z Amazonii i Meksyku. Czy ich wyleczą? Nie wiadomo, ale na pewno poprawiają ich funkcjonowanie. Na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa istnieje już osobna jednostka poświęcona badaniom na temat świadomości i psychodelików. Coraz częściej przyznajemy, że halucynogeny potrafią rozwiązać część problemów psychicznych, których w naszym zindustrializowanym świecie mamy mnóstwo, głównie z powodu nadmiernego stresu. Dla mnie to żadne zaskoczenie. Dziwi mnie tylko, że musieliśmy poczekać, aż goście w białych kitlach orzekną „to działa", skoro szamani mówią nam to od 500 lat.

W swoim przemówieniu na TED opowiadasz o chwytnicy zwinnej, wielkiej zielonej żabie, której skóra jest pokryta halucynogenną substancją stosowaną w rytuale kambo. Nad nią też trwają badania.

Gdy jeden z włoskich lekarzy dowiedział się, że po jej zastosowaniu dochodzi do gwałtownego spadku ciśnienia krwi, zaczął ją badać pod kątem kardiologicznym. Inni odkryli, że kambo zawiera dermorfinę, zupełnie nowy i silny środek przeciwbólowy, jeszcze niedostępny na rynku, ale wieść o nim już kilka lat temu poszła w świat. Dopingowano nim nawet konie. Bo konie, które nie czują bólu, przekraczają swoje możliwości i biegną szybciej. A testy antydopingowe są na amfetaminę, nie na ekstrakt z amazońskiej żaby.

Potrzebny nam kolejny środek przeciwbólowy?

Potrzebny nam lepszy. Opium jest świetnym środkiem przeciwbólowym – jego derywaty: morfina, heroina, działają doskonale, ale uzależniają i wiążą się z nimi problemy społeczne. Potrzebujemy silnych leków, które nie uzależniają – być może odpowiedzią będzie właśnie ta zielona żaba. Nawet jeśli substancje z Amazonii nie stają się bezpośrednio lekami, to uczą nas czegoś nowego o tym, jak działa nasz układ nerwowy, a my dzięki temu możemy stworzyć nowy lek.

Właśnie dlatego powinniśmy chronić Amazonię?

Po pierwsze powinniśmy chronić Amazonię ze względów etycznych: bo tak należy. Ale po drugie, rzeczywiście powinniśmy to robić w naszym własnym interesie.

Mówisz często: „Bitwy przeciwko zmianie klimatu w Amazonii nie wygramy, ale na pewno możemy ją tam przegrać". Co masz na myśli?

Drugi najważniejszy powód zmiany klimatu to wyniszczenie lasu – odpowiada za 10 proc. ludzkich emisji dwutlenku węgla. Wylesianie na największą skalę odbywa się właśnie w Amazonii – w samej Brazylii wycina się 20 tys. hektarów lasu dziennie. Amazonia stabilizuje klimat – pochłania około jednej piątej światowej emisji CO_2. Nie ma więc specjalnego znaczenia, co zrobimy w Polsce albo w USA, jeśli wypalą nam całą Amazonię.

Kiedyś mówiło się o niej do znudzenia „zielone płuca Ziemi". Wtedy ekolog był postrzegany jako dziwak przejęty losami lasu oddalonego o tysiące kilometrów.

Zawsze miałem problem z tymi „płucami Ziemi". W emisji tlenu na naszej planecie największą rolę odgrywają oceany.

Dawniej nie mieliśmy świadomości, jak bardzo jesteśmy połączeni. Dziś wiemy, że straszliwe susze w Brazylii sprzed kilku lat są spowodowane przez wypalenie Amazonii. Ta susza miała wpływ na stan São Paulo, który jest rolniczym centrum Brazylii. Są silne wskazania, że te susze zmieniły wzorzec opadów deszczu na Środkowym Zachodzie USA. Wkurza mnie, kiedy patrzy się na działaczy na rzecz środowiska jak na grupę świrów, która wierzy w bajki. Niestety, ich przewidywania okazują się słuszne.

Uważasz, że najlepiej chronić lasy we współpracy z ludnością rdzenną, która je zamieszkuje.

Przemawiają za tym dowody naukowe. Kiedy 25 lat temu założyliśmy organizację Amazon Conservation Team, ok. 20 proc. Amazonii należało do Parków Narodowych, kolejne 20 proc. do ludów rdzennych. Fotografie satelitarne bezsprzecznie pokazywały, że rdzenne ziemie były lepiej chronione, i tak jest do dziś.

Ale to nie takie proste: oddajmy ziemie rdzennym i będzie dobrze.

Oczywiście, to wręcz błędne, naiwne założenie. W Amazonii mieszka 400 społeczności rdzennych, część z nich z wyboru żyje w izolacji. Ale zdecydowana większość odczuwa presję świata zewnętrznego ze wszystkich stron: drwali, górników, misjonarzy. Potrzebują pomocy – czasem szkolenia, czasem wsparcia, uświadomienia im, jakie są ich prawa. Żyją w naszym świecie – mają komórki, muszą opłacić karty SIM. Staramy się im pomóc zachować ziemię, ale upewniamy się, że wiedzą, że warto ją chronić – za prawami idą obowiązki. Ostatecznie to ich decyzja, co zrobią ze swoją ziemią, ale muszą ją podejmować opierając się na wiedzy. A jeśli ktoś przychodzi do nich, macha dolarami i komórkami, mówiąc: podpisz, a będziesz miał lepsze życie, to nie jest to fair. Bo najczęściej inwestycja, do której ich zatrudni, zniszczy ich środowisko, las, prawdopodobnie też społeczność.

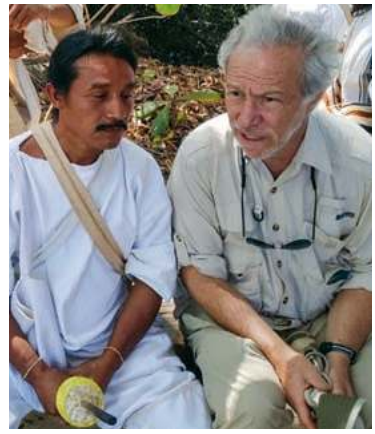

ARCHIWUM MARKA PLOTKINA

MARK PLOTKIN jest etnobotanikiem, od 30 lat bada rośliny lecznicze z szamanami Ameryki Środkowej i Południowej. Działa na rzecz ochrony lasów deszczowych. Na zdj. wśród Indian Kogi (po prawej). Kolumbia, luty 2020 r.

Pokazałeś szamanom swoje wystąpienie z TED? Historycznie to było tak, że ludzie Zachodu wykorzystywali ich leczniczą wiedzę i nie dawali im nic w zamian. Jest nawet na to określenie: biopiractwo.

Tak, i wiesz, co powiedzieli? Do tego rytuału to my mamy dwie żaby. Od 30 lat z nimi pracuję, a o tym nie wiedziałem! Ta druga to gatunek Bufo, nie jest spokrewniona z chwytnicą zwinną. Co znaczy, że najprawdopodobniej działają w niej inne związki.

W Amazonii rośnie 80 tysięcy gatunków roślin. Skąd szamani wiedzą, co z czym łączyć?

Na to pytanie szukam odpowiedzi od lat i wiem, że nie ma jednej. Podzielę się tym, co mi powiedzieli szamani. Metoda numer jeden: jeśli roślina jest gorzka, wiedzą, że ma w sobie silne substancje. Alkaloidy, bardzo silne chemiczne substancje, bardzo często są niezwykle gorzkie. Kolejna metoda to obserwacja zwierząt. One też używają roślin do celów leczniczych: kiedy są chore i jedzą coś innego niż zwykle, może to być lecznicze.

Jeszcze inna metoda to sny. Szamani mają żywe sny, w których objawia im się np. roślina, którą mogą wyleczyć swojego wnuka. I ostatnia: przyjmowanie substancji halucynogennych – dzięki nim słyszą, jak rośliny do nich przemawiają, i wskazują im, które z nich są lecznicze. Oczywiście kiedy słucham tego jako naukowiec, nie ma to dla mnie żadnego sensu. Ale jako ktoś, kto przeszedł wiele ceremonii z ayahuascą, mogę to zrozumieć.

Mawiasz, że kultury rdzenne znikają szybciej niż lasy. Naprawdę tak jest?

To oczywiście metafora. Nie da się zestawić liczby szamanów z liczbą znikających drzew, to nie jakiś konkurs. Zresztą kiedy pierwszy raz powiedziałem to zdanie 30 lat temu, nie było zniszczeń na taką skalę. Chodzi mi o to, że musimy chronić i lasy, i szamanów. Wraz z nimi zanika wiedza o medycznych roślinach. W wielu miejscach ich praktyki przez lata były zakazane albo nie mają komu przekazywać wiedzy. Kiedy umiera jeden szaman, to tak, jakby umierała biblioteka.

Jacyś szamani. Kogo to obchodzi?

Powinno każdego! Gdy zacząłem zajmować się ochroną przyrody w późnych latach 70., ludzie mówili: lasy deszczowe, kogo to obchodzi, musimy walczyć ze wzrostem populacji, a jak się z tym uporamy, to wtedy zajmiemy się lasami. Teraz mówi się: najpierw trzeba się uporać ze zmianą klimatu, potem będziemy martwić się o lasy. A jak wtedy lasu deszczowego już nie będzie, to powiemy „ups"? Wszystko jest ze sobą połączone. Trzeba jednocześnie zajmować się tymi wszystkimi problemami. Teraz. Bo nigdy nie rozwiążemy wszystkiego do końca.

Szamani mogą wyleczyć wszystko?

Nigdy tak nie powiedziałem, a często mnie za to krytykowano. Podobnie jak nigdy nie mówiłem, że szamańskie leki są lepsze od syntetycznych. Jak ktoś stawia pytanie: przyszłość medycyny to mikrochip czy szamani, moja odpowiedź brzmi: jedno i drugie.

Szamani mają jakieś wizje na temat tego, co dzieje się na świecie? Może czują niepokój zwierząt?

W lutym, tuż przed wybuchem pandemii, byłem wśród plemienia Kogi. Powiedzieli mi: wy naprawdę głęboko ranicie Matkę Naturę. Trzeba będzie za to zapłacić straszliwą cenę. Nie wyobrażałem sobie nawet, że za miesiąc wszyscy będziemy siedzieć w domach, chodzić w maseczkach. Czy Kogi powiedzieli, że wybuchnie koronawirus? Nie. Czy to przewidzieli? Nie wiem. A czy przewidzieli topnienie lodowców? 30 lat temu ostrzegali, że lodowce topnieją, a my nie słuchaliśmy.

© Rozmawiała MARIA HAWRANEK

ALEF, CZYLI WSZYSTKO

Borges pojął, że musi sam postarać się o publiczność – nie czytelników na razie, bo nikt go nie rozumiał. Stał się salonową atrakcją, dostarczycielem dreszczyków. Lecz go zauważono.

ELIZA KĄCKA

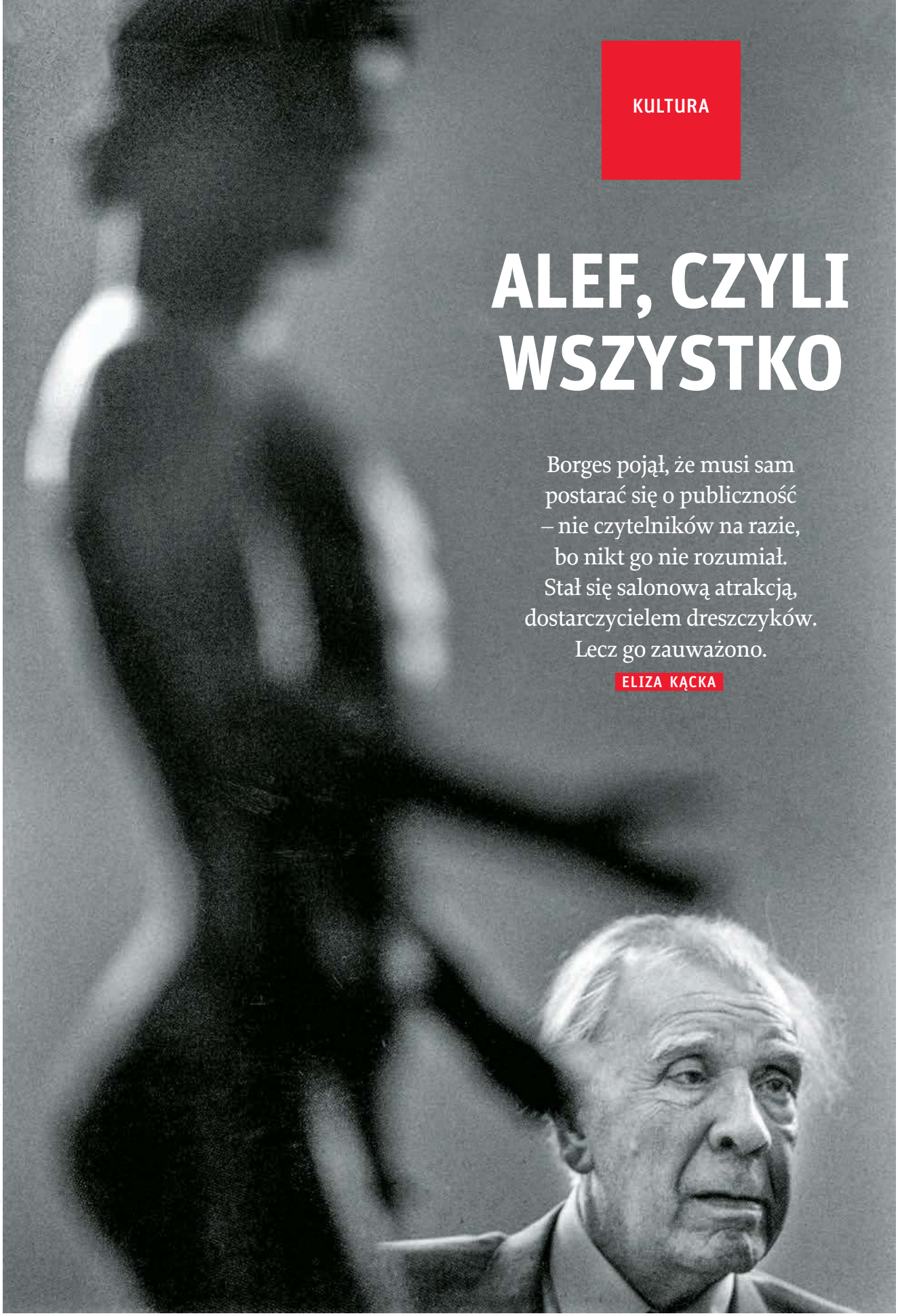

FERDINANDO SCIANNA / MAGNUM PHOTOS / FORUM

Ściśle w dniach podboju Peru, 4 kwietnia 1531 r., Casa de Contratación de Indias w Sewilli zakazała wwozu do Nowego Świata „ksiąg romansów i zmyślonych historii". Z woli króla podbijany właśnie kontynent miał być nietknięty przez „romanse, czcze opowiastki tudzież bezbożności w rodzaju »Amadisa« i podobnych (...), jako że błędną praktyką jest nauczać Indian czytania, skoro mieliby odrzucić książki rozsądne i prawowierne na rzecz takich szalbierczych historii, popadając przez to w złe nawyki i grzechy".

Do końca XVIII wieku Inkwizycja szperała w bagażach przybyszów z Europy i kubrykach załóg galeonów, by skonfiskowane dzieła fikcji literackiej palić publicznie w *autodafé*. Konkwista i prześladowanie literatury splotły się w jeden dający do myślenia fakt. Przywodzi to na myśl rządy cesarza Szy Huang-ti, który rozkazał wznieść Wielki Mur Chiński i spalić wszystkie księgi za wyjątkiem traktujących o medycynie i uprawie roli. Cesarstwo miało odgrodzić się od reszty świata i zacząć od nowa.

„Mówią, że z powodu nieposłuszeństwa wobec cesarskich rozkazów zostało straconych tylu uczonych, iż zimą w miejscu, gdzie ich pochowano, wyrosły melony" – podaje Jorge Luis Borges, który parokrotnie do tych bliźniaczych decyzji władcy Chin powracał. Jednakże wizję wolnego od literatury i z tej racji „Nowego" Świata przemilczał.

Aliści prawem kosmicznej równowagi, po upływie 400 lat, fikcja wzięła spóźniony odwet. Ameryka Łacińska eksplodowała w XX wieku niewidzianymi dotąd tworami wyobraźni – a Jorge Luis Borges (1899–1986) był ich pionierem. Przeniósł na grunt rodzimy, bądź, jak się dziś mówi, zaimplementował Argentynie zbite w gęstą pigułę wszystkie tradycje Starego Świata naraz: od elżbietańskiej po symbolizm, od arabskiej po nordycką, i tak dalej. Sprawia to nieraz wręcz groteskowe wrażenie. Jeśli nasz Boy-Żeleński pragnął uzdrowić mentalność polską wpływem francuskiej *clarté* i zajęło mu to lat 30, Borges zaraził kulturę hispanoamerykańską wszelkimi irracjonalizmami, sofizmatami i paradoksami z 25 wieków – zajęło mu to raptem lat pięć, a wymagało dwóch cienkich zbiorów prozy. Drugi z tych tomów po „Fikcjach" (1941/1944), zbiór „Alef" (1949) jest równie toksyczny jak pierwszy. Właśnie ukazało się jego polskie wznowienie.

Jorge Luis Borges w Muzeum Archeologicznym w Palermo, 1984 r.

„*Najstarszy z rodzajów literackich – koszmar*"

Pierwsze zdanie pierwszego opowiadania „Alefa", czyli „Nieśmiertelnego", wprowadza na scenę dwie postacie: „W Londynie, w początkach lipca 1929 r., antykwariusz Joseph Cartaphilus ze Smyrny zaoferował księżnej de Lucinge sześć woluminów *in quarto* »Iliady« Pope'a (1715–1720). Księżna je nabyła...". W ostatnim tomie znalazła rękopis, który opowiadanie przytacza. Coś z baśni: księżna i tajemniczy manuskrypt! Nic dziwnego: Cartaphilus to jedno z nazwisk przydawanych legendarnej osobie Żyda Wiecznego Tułacza, a dokument opowiada jego własnoręcznie spisaną historię.

Jest to relacja rzymskiego legionisty z czasów Dioklecjana. Wyruszył on na poszukiwanie Miasta Nieśmiertelnych, znalazł je, napił się wody z cudownej rzeki, po czym przemierzał świat, pojawiając się tu i ówdzie, zanim po 17 wiekach znalazł inny strumień, zdejmujący zeń brzemię nieśmiertelności. I w rzeczy samej księżnę doszła wieść o jego zgonie. Jak widać, nastąpił *happy end*, jeśli pominąć wątpliwość, jak pogodzić osobę Żyda, który znieważył Jezusa, z osobą rzymskiego oficera. W chwili rozpoczęcia relacji Cartaphilus był już Żydem-Tułaczem od jakichś 250 lat. Ktoś nie jest tu kimś, za kogo się podaje.

Mało tego. Pod upiornym Miastem Nieśmiertelnych Marcus Flaminius Rufus spotkał jego budowniczych, obojętnych, zdegradowanych fizycznie i duchowo Nieśmiertelnych. Jeden z nich w melodramatycznych okolicznościach okazał się Homerem. Żywot nieśmiertelnego nie płynie po różach, ale czemu tak zdegenerował się Homer, którego od Rufusa dzieliło może tysiąc lat, a ominęło to żyjącego dwa razy dłużej Rufusa? Dalej zaś, czytając własne świadectwo, Rzymianin doszedł do wniosku, że to on właśnie był Homerem, o czym świadczą filologiczne dowody. Kim więc był ten drugi, jak doszło i czy doszło do zamiany dusz? Posłowie przynosi tylko argumenty, że cały manuskrypt to apokryf, co zresztą podejrzewaliśmy od początku.

Ale na tym nie koniec. Jak łatwo stwierdzić, ohydni Nieśmiertelni pojawili się w relacji Rzymianina wprost z „Podróży do wielu odległych narodów świata", gdzie noszą miano Struldbruggów. Wedle Jonathana Swifta „przedstawiali oni najbardziej żałosny widok, jaki kiedykolwiek oglądałem, a kobiety były obrzydliwsze niż mężczyźni. Prócz zwykłych zniekształceń, jakie przynosi bardzo późna starość, okrywa je dodatkowa nieopisana szpetota w proporcji do liczby przeżytych lat...". A że nikt więcej Struldbruggów nie spotkał, autor relacji zyskuje trzecią tożsamość: musiał być przez czas pewien „kapitanem licznych okrętów", Lemuelem Gulliverem. Czyli postacią literacką. Co też podejrzewaliśmy od początku.

Wszystko to jest niejasne, powikłane, nielogiczne, lecz także nie z tej ziemi, zawrotne, jątrzące wyobraźnię. Najbardziej ze wszystkiego opowiadanie „Nieśmiertelny" przypomina opisany w nim pałac w Mieście Nieśmiertelnych: „Obfitował w korytarze bez wyjścia, wysokie, niedosiężne okna, okazałe drzwi prowadzące do jakiejś celi czy studni, niewiarygodne, odwrócone schody z odwróconymi w dół stopniami i balustradami. Inne, zawieszone w powietrzu, przylegające do boku monumentalnego muru, umierały, nie prowadząc dokądkolwiek, po dwóch czy trzech zakrętach, w ciemnościach górnych kopuł". Czysty Piranesi! Słowem, Borges stworzył literacki odpowiednik architektury koszmaru.

„*Najszczersza z argentyńskich namiętności – snobizm*"

Ale nie zapomnijmy o drugiej osobie z pierwszego zdania opowieści. Rolę statystów w swej prozie Borges ↦

↦ z upodobaniem powierzał postaciom z tradycji rodzinnej, a zwłaszcza z własnego towarzystwa. Księżna de Faucigny-Lucinge zjawiła się już wcześniej w opowiadaniu „Tlön, Uqbar, Orbis Tertius" z „Fikcji", gdy wśród przysłanej z Francji herbowej zastawy znalazła pierwszy obiekt z innego świata, pokrytą nieznanymi literami busolę. Myślałam wtedy (podobnie jak Georges Perec w LVI rozdziale „Życia, instrukcji obsługi"), że mowa o księżnej Liliane Marie Mathilde de Faucigny-Lucinge, baronowej d'Erlanger, jednej z najpiękniejszych kobiet lat 20., gwieździe *haute couture*, modelce „Vogue'a" (zobaczcie!), przyjaciółce Mana Raya, Leonor Fini i Salvadora Dalí, znanej jako „Baba". Ale nie: buenoskie towarzystwo, do którego aspirował Borges, zdobiła urocza, rudowłosa (i stąd zwana La Colorada) Maria Lidia Lloveras, księżna dzięki małżeństwu z automobilistą ze stajni Bugatti i utracjuszem Bernardem de Faucigny-Lucinge z bocznej linii, który w parę lat przepuścił jej kolosalny posag. Jak Żyd Wieczny Tułacz nie całkiem jest Żydem, tak księżna – nie do końca prawdziwą księżną. Lecz to ona znalazła busolę i ona, wśród tysięcy innych niepotrzebnych rzeczy, kupiła „Iliadę" w przekładzie Pope'a. Właśnie takie jak ona stworzyły Borgesa.

W tym punkcie biografia „Borges. A Life" Edwina Williamsona (2004) podsuwa nazwiska pań z *haute bourgeoisie*, będących dla pisarza od połowy lat 30., odkąd porzucił awangardową poetycką młodość i wypadł z literackiej giełdy, oparciem towarzyskim, a nieraz finansowym. Stąd także zasłużona pod tym względem energiczna Niemka Ulrika von Kuhlmann pojawia się osobiście w opowiadaniu „Powtórna śmierć". Wdzięczność wobec innych, jak choćby prowadzącej ekskluzywny salon Sary Diehl de Moreno Hueyo, zwanej Pippiną, kreolskich arystokratek Esther Zemborain de Torres Duggan i Susany Bombal, poetek Wally Zenner i Emy Risso Platero, małżonki bankiera Beatriz Bibiloni Webster de Bullrich, oczytanych Marty Mosquera Eastman i Luisy Mercedes Levinson, sióstr Cecilii i Delii Ingenieros, Alicii Jurado, Betiny Edel, a wreszcie żony najbliższego z przyjaciół, Bioya Casaresa, Silviny Ocampo, kwitują dedykacje. Na żadną dedykację nie zasłużyła natomiast siostra tej ostatniej, miliarderka i dyktatorka mód kulturalnych, Victoria Ocampo, która z czterdziestu olśniewających opowiadań Borgesa raczyła ogłosić w swym superekskluzywnym magazynie „Sur" (Południe) tylko dwa.

Gdy z nakładu wspaniałych esejów „Historia wieczności" (1936) rozeszło się w ciągu roku 37 egzemplarzy, Borges pojął, że musi sam postarać się o publiczność – nie czytelników na razie, bo nikt go nie rozumiał, lecz sympatyków, a raczej sympatyczki.

Już w latach 1933-34 zyskał pewną renomę jako zjadliwy recenzent nowości w „Revista Multicolor", dodatku literackim do dziennika „Critica", ale własny styl rozwinął dopiero w latach 1936-39 na łamach ilustrowanego dwutygodnika dla wytwornych dam „El Hogar" (Ognisko). Epatował tam czytelniczki szokującym doborem omawianych książek: raz były to dzieje indyjskiej sekty dusicieli, innym razem autobiografia Ludendorffa, to znów traktat o czwartym wymiarze czy pismo runiczne. Stał się salonową atrakcją, dostarczycielem dreszczyków. Lecz go zauważono.

Jako klasyczny ścichapęk, Borges co jakiś czas skrycie podrwiwał z ignoranckich zachwytów swoich protektorek. W „Deutsches Requiem" na przykład streszcza poemat fikcyjnego Dawida Jerusalema „Rozmowa Rosenkranza z Aniołem", „w którym londyński szesnastowieczny lichwiarz usiłuje na próżno usprawiedliwić swe winy i nie przypuszcza, że sekretnym usprawiedliwieniem całego jego życia jest to, iż posłużył jednemu ze swoich klientów za wzór postaci Shylocka". Spostrzeże się która? Ma się rozumieć, Borges, jak wszyscy ludzie wykształceni, był świadom, że za czasów Elżbiety I i Jakuba I nie było w Anglii ani jednego Żyda (może poza garstką maranów).

„Rozwiązanie zagadki jest zawsze mniej wartościowe od niej samej"

Dość zajrzeć do „Dziennika" Witolda Gombrowicza, by ujrzeć, jak ściga Borgesa gęba pisarza dla snobów. Ale nie jest pisarzem dla snobów, bo skrywa lęk. Tyleż metafizyczny, ile całkiem realny. W „Alefie" ilustruje go opowiadanie „Ibn Hakam al-Buchari zabity w swym labiryncie". Istotnie, znajdziemy tam labirynt, dość niedawno wzniesiony w Kornwalii, a w roli Minotaura barbarzyńskiego władcę jakiegoś państewka w Sudanie. Obalony przez poddanych, zdołał on zbiec i zbudować w kraju niewiernych rozległą kryjówkę na wypadek, gdyby miał go dopaść niedobity kuzyn. Pewnego dnia został jednak znaleziony bez życia obok zwłok niewolnika i lwa, którzy go strzegli.

Wszystko to jest, rzecz jasna, stosownie malownicze. Twórcze rozumowanie odwraca jednak stan rzeczy. Trup króla był w istocie trupem króla, lecz nie osoby mieszkańca labiryntu. Za króla bowiem podał się w Anglii zdradziecki kuzyn, a jego labirynt miał zwabić mściciela w pułapkę: „Uciekinier nie ukrywa się w labiryncie. Nie wznosi labiryntu na przybrzeżnym wzgórzu, karmazynowego labiryntu, który dostrzegają z daleka marynarze. Nie potrzebuje go, bo labiryntem jest wszechświat. Dla kogoś, kto naprawdę chce się ukryć, Londyn jest lepszym labiryntem niż punkt obserwacyjny, do którego prowadzą wszystkie korytarze jakiegoś budynku". Jest to wywód, by tak rzec, mimowolnie programowy, jak świadomie programową wizją splątanych tożsamości miał być „Nieśmiertelny".

Prawdę o al-Bucharim ujawnia jednak spostrzeżenie, że czytamy pastisz bliskiego Borgesowi autora – Gilberta K. Chestertona. Większość śledztw jego księdza Browna rozpoczyna, zwykle o zmierzchu, wymiana zagadkowych zdań u stóp dziwnej budowli: osobliwie niskiego dworu, samotnej wieży, magazynu rekwizytów teatralnych, opuszczonego wesołego miasteczka, drapacza chmur, altany. Swych rozmówców Borges lokuje o zmierzchu pod niską i bezkresną, niegdyś czerwoną ścianą nadmorskiego labiryntu. Relację o dokonanej w nim zbrodni wieńczy dialog: „Nie pomnażaj tajemnic. Muszą być one proste. Pamiętaj o skradzionym liście Poe'a, pamiętaj o zamkniętym pokoju Zangwilla. – Albo złożone – odrzekł Dunraven. – Pamiętaj o wszechświecie".

Posiadacz literackiego ucha z miejsca rozpozna tu dialog z Chestertonowskiej „Złamanej szabli": „Gdzie człowiek mądry ukryje kamyk? – Na plaży. – Gdzie człowiek mądry ukryje liść? – W lesie". Po czym ciąg dalszy ujawnia

prawdziwy przebieg stoczonej kiedyś w Ameryce Południowej bitwy: „Gdzie mądry człowiek ukryje liść? W lesie. Co jednak zrobi, jeżeli w pobliżu nie ma lasu?”. Wniosek: „Posadzi las, żeby ukryć w nim liść”. Co w przekładzie na realia fabuły oznacza wydanie zbytecznej bitwy, by zwłoki ofiary zagubiły się wśród poległych.

Borges miał ten sam problem, co jego al-Buchari. I rozwiązał go po chestertonowsku. Sytuacja polityczna napędziła do Argentyny wielu niebezpiecznych konkurentów. Precedensy już były. Na przykład w 1936 r. zjawił się w Buenos Aires Ramón Gómez markiz de la Serna y Puig, gwiazda hiszpańskiej awangardy i człowiek towarzysko nieodparty, który ani myślał powrócić pod rządy *caudilla* Franco. W roku 1939 Victoria Ocampo przywiozła z Paryża szatańsko inteligentnego Rogera Caillois, który z miejsca jął się rozpychać w buenoskim literackim światku. Albo ten jakiś hrabia Gombrowicz, którego szczęśliwie udało się zdusić w zarodku. „Tajemnice muszą być proste”.

W oczekiwaniu rywali Borges wzniósł na widocznym miejscu swój labirynt – nie miejsce ukrycia, lecz pułapkę. Kto by się weń zapuścił, miał już nie wyjść, bo wewnątrz labiryntu Borges czuł się niepokonany. Tym labiryntem jest „Alef”.

„Każdy człowiek jest dwoma ludźmi i prawdziwy jest ten drugi”

Fabularne symetrie, proste i odwrócone, którym wiele uwagi udziela w posłowiu do najnowszego wydania „Alefa” Piotr Paziński, sprowadzić się dają często do pojedynku. Przy czym ciekawsze są te opowieści, gdzie antagonista jest niewidzialny. W „Domu Asteriona” narrację prowadzi Minotaur, a jego zabójca ma tylko tak zwane ostatnie słowo. „Czy uwierzyłabyś, Ariadno? – powiedział Tezeusz. – Minotaur prawie się nie bronił”. Opowiadacz mierzy się tu z mitologią. Identyczny zamysł przyświeca – już bez barwnego kostiumu – opowieści „Oczekiwanie”. W przypadkowej kryjówce wielkomiejskiego labiryntu niejaki Aleksander Villari oczekuje biernie po długiej ucieczce na morderców, a gdy nadchodzą, wcale się nie broni. W swym długim oczekiwaniu Villari co dzień przegląda gazetę w nadziei, że mordercy pomyłkowo zastrzelą jakiegoś innego, niewłaściwego Villariego.

Bez historycznego kostiumu obywa się też tytułowy „Alef”. Pracowite wprowadzenie objawia punkt osobliwy wszechświata, miejsce, z którego widać wszystkie istniejące rzeczy naraz, ale osobno. Punkt ten mieści się na dziewiętnastym stopniu schodów do piwnicy w domu pewnego grafomana, który w oparciu o ten cudowny ogląd spisuje od lat bezkresny poemat mający dać pełny opis wszystkiego. Posiadacz Alefa, „różowy, tęgawy” (w dawnym przekładzie Zofii Chądzyńskiej), „zajmujący podrzędne stanowisko w jakiejś nieważnej bibliotece na którymś z południowych przedmieść”, którego „działalność umysłowa trwa bez przerwy, równocześnie pełna pasji, przewrotna i pozbawiona jakiejkolwiek wagi”, obfitująca w „niekończące się, bezużyteczne analogie i czcze skrupuły”, wielce przypomina samego Borgesa. Jakże ktoś taki zdołałby opisać wszechświat? Borges rywalizuje tu z własną parodią, która w dodatku zyskuje nagrodę – taka przykrość spotkała go naprawdę.

Lecz Jorge Luis Borges na serio pojedynkuje się z samym Alefem, którego niewyczerpane bogactwo wtrącić musiałoby w rozpacz każdego pisarza. Chyba że jednak nie. „Milionom rozkosznych albo potwornych wydarzeń”, które „zajmowały ten sam punkt i nie nakładały się na siebie ani nie były przezroczyste” pisarstwo zdolne jest, owszem, stawić czoło. Nie myślę o Herodocie czy Aleksandrze Humboldcie, lecz o poetach. Oczywisty kandydat to idol młodego Borgesa, zawsze wspominany z estymą Walt Whitman, który miał taki właśnie poetycki program: opisać po kolei wszystko w całych bezkresnych Stanach Zjednoczonych. I nieźle sobie radził. Na starość, zwiedzając miejsca opisane przed laty z wyobraźni, na przykład Wielki Kanion, stwierdzał z satysfakcją, że wszystko się zgadza.

Z nim zatem mierzy się Borges, a także z jego literackim potomkiem, Archibaldem Olsonem Barnaboothem, miliarderem wzbogaconym na eksporcie guana, który od Lizbony po Moskwę opiewa Europę widzianą z okien pullmanów, luksusowych hoteli i jachtów. Tak to sobie ułożył jego twórca (1913), Valéry Larbaud: my wam (Europie) guano, wy nam (Ameryce Południowej) wrażenia. Lecz skąd w tej Borgesowskiej fantazji o cudownej wizji naocznego *continuum* taka zgryźliwość, ironia? Czyżby za figurami domyślnych Whitmana i Larbauda ukrywał się głębiej ktoś jeszcze?

Podejrzewam, że to rówieśnik i realny antagonista Borgesa, odwiedzający wciąż Buenos Aires i gromadzący na swych spotkaniach po sto tysięcy słuchaczy autor, który detalicznie opisał nie cały świat może, lecz Amerykę Południową z jej fauną, florą, ludami, historią i geografią – hymniczny i wulkaniczny Chilijczyk Pablo Neruda. W chwili wydania „Alefa” jego epos „Pieśń Powszechna” (1950) szykowano właśnie do druku.

„Awers i rewers tej monety dla Boga są jednakowe”

„Alef” szyfruje, sądzę, sporo osobistych rozterek autora. Być może ich dociekanie jest niedyskrecją. Ale niech to rozgrzeszy Zahir z opowieści pod tymże tytułem, gdzie (niczym mnie i tylu innych Borges) infekuje myśli i pamięć. Wbrew wielu komentarzom mistycznym, Evelyn Fishborn i Psiche Hughes w „A Dictionary of Borges” (1990) piszą zwięźle, że to arabskie słowo określa w Koranie (57, 3) jeden z atrybutów Allaha: „On jest Pierwszym i Ostatnim, Widzialnym (*zahir*) i Ukrytym (*batim*)”. A stąd „Dychotomia *zahir* i *batim* odzwierciedla dwie drogi interpretacji Koranu, gdzie *zahir* opiera się na czysto literalnej lekturze tekstu, *batim* poszukuje zaś głębszych, ezoterycznych znaczeń”. Myślę, że czytać Borgesa warto zarówno w trybie *zahir*, jak *batim*, i że nie miałby on nic przeciw temu.

© ELIZA KĄCKA

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”.
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

MATERIAŁY PRASOWE

Augustyn, czerwiec 2019 r.

Reprezentuję prawdę

MONIKA OCHĘDOWSKA

Nawet jeśli założymy najczarniejszy scenariusz, wedle którego muzyka została już w pełni skolonizowana przez kapitał, to zmiana wciąż jest możliwa. Posłuchajcie Augustyna.

Niejedno deszczowe popołudnie można spędzić, oglądając z wypiekami na twarzy zamieszczone na YouTubie amatorskie składanki prezentujące „największe przeboje, o których nie wiedzieliście, że są coverami". Ta niewinna z pozoru rozrywka ma jednak swoją cenę. Gdy kolejne ulubione piosenki z lat 80. i 90. okazują się podbudowanymi mocniejszym brzmieniem aranżacjami utworów napisanych dwie dekady wcześniej, po euforycznej serii niespodziewanych odkryć przychodzi lekkie zakłopotanie.

Ścieżka dźwiękowa szkolnych dyskotek bezpowrotnie traci znamiona wyjątkowości. A więc Kim Wilde, Mariah Carey i Whitney Houston dały drugie życie kawałkom z lat 60. i 70., a jedna z najlepszych piosenek filmowych wszech czasów, przy której Rachel Marron (w tej roli Whitney Houston właśnie) wpada w ramiona rozważnego i romantycznego bodyguarda Franka Farmera (Kevin Costner), to w rzeczywistości odkurzony szlagier Dolly Parton „I Will Always Love You" z 1974 r.

To już było

Nie tylko gwiazdy muzyki pop wśród swoich największych przebojów mają kolekcję coverów – do starych, a czasem bardzo starych, płyt sięgali również Guns N'Roses, Nirvana czy Björk. Grający reggae brytyjski zespół UB40 zapożyczał się u Neila Diamonda i Boba Dylana, a rockowy The Verve zabłysnął na listach przebojów kawałkiem inspirowanym piosenką Rolling Stonesów w wersji przearanżowanej przez The Andrew Oldham Orchestra. Punkrockowcy z The Clash zagrali piosenkę rockandrollowej grupy The Crickets, a Freddie Mercury – utwór zespołu The Platters z lat 50.

Gdy jednak nostalgicznie zwrócimy się ku latom 60. – czeka nas kolejny zawód, bo i wówczas piosenki z powodzeniem krążyły między wykonawcami. I tak „Hound Dog" Elvisa Presleya śpiewała na początku lat 50. bluesowa wokalistka i kompozytorka Big Mama Thornton (to zresztą niejedyny przebój Presleya zapożyczony od koleżanek po fachu – król rock'n'rolla wykonywał także utwory mało dziś w Polsce pamiętanej Little Miss Dynamite, czyli Brendy Lee). Piosenek Thornton słuchała także, by potem włączyć je do swojego repertuaru, Janis Joplin, której „Piece of My Heart" to z kolei utwór napisany ledwie rok wcześniej dla Ermy Franklin (siostry Arethy),

a „Cry Baby" – piosenka skomponowana w 1963 r. dla grupy Garnet Mimms and the Enchanters.

Zostawmy na razie covery – znacznie częściej artyści odpisują przecież od siebie fragmenty partytury. Raper Tede słusznie mawiał, że „nie ma rapu bez follow-upu". Ta zgrabnie sformułowana reguła nie dotyczy jedynie żywiącego się głównie samplami i cutami (czyli fragmentami z cudzego bądź własnego nagrania wskreczowanymi do utworu) gatunku.

Sprawę dialogiczności muzyki popularnej rozstrzygnęli swego czasu bohaterowie „South Parku". Marzący o założeniu kapeli chłopcy, przerażeni skutkami, jakie miało przynieść oddzielenie muzyki od jej nośników, a następnie niekontrolowane udostępnianie tejże w formie plików mp3, już przed nagraniem pierwszego kawałka postanowili zaprotestować przeciw jego nielegalnemu skopiowaniu. I rzeczywiście, przez moment tyle wystarczyło, by osiągnąć medialny rozgłos. Większy sukces, także finansowy, odniósł jednak ich kumpel Cartman, zrzynający na potęgę sprawdzone pomysły na przeboje oraz ich promocję.

Jakie wnioski płyną z lekcji odrobionej przez chłopców z Kolorado? Żeby to wyjaśnić, wróćmy na moment do lat 40.

Wszystko na sprzedaż

Kiedy reżyser „Zimnej wojny" Paweł Pawlikowski opowiedział o przedziwnych losach zarejestrowanej i opracowanej przez małżeństwo Sygietyńskich piosenki „Dwa serduszka, cztery oczy", mimowolnie zilustrował tezy niemieckiego filozofa i teoretyka muzyki Theodora W. Adorno, opublikowane mniej więcej w tym samym czasie, w którym rozgrywa się akcja filmu. Towarzyszący bohaterom „Zimnej wojny" utwór z biegiem lat i wraz ze zmianą mód zyskuje w filmie nowe aranżacje, stając się zakładnikiem ekonomiczo-społecznych uwarunkowań dzieła.

Ten sam produkt można sprzedawać zniecierpliwionym słuchaczom w nieskończoność. Raz nagrany, na zawsze traci już swoją autonomiczność. Bo choć sama produkcja muzyki pozostaje „indywidualistyczna" i oparta na „rękodziele" – pisał w latach 40. Adorno – naczelną zasadą przemysłu kulturowego jest repetycja. Wierna zasadzie „wciąż tego samego" popkultura przytrzymuje nas za rękaw w przeszłości, a jednocześnie krzyczy do ucha, że nic nie możne pozostać tak, jak było – wszystko musi być w nieustannym ruchu, bo, paradoksalnie, tylko „rytm mechanicznej produkcji i reprodukcji obiecuje, że nic się nie zmieni".

Popkultura żywiła się własną przeszłością nie tylko w ciągu ostatnich 20 lat, jak chciałby krytyk muzyczny Simon Reynolds w „Retromanii" (ten światowy bestseller ukazał się u nas w przekładzie Filipa Łobodzińskiego). Adorno formułował w końcu swoje tezy w czasach, nad których zanikiem rozpaczają dziś krytycy retromanii właśnie. A więc to nie nostalgia zmusza nas do permanentnego recyklingu. Po prostu cechą dystynktywną muzyki popularnej zawsze było naśladownictwo.

Standardy muzyczne – mówi Adorno – rozwijane były początkowo w procesie współzawodnictwa. Gdy jedna piosenka osiągała sukces, setki podobnych wyrastały jak grzyby po deszczu. „Typy" przebojów osiągających największy sukces i „proporcje" między elementami były powtarzane tak długo, aż skrystalizował się pewien ich wzorzec. Takie zabiegi mogą zawracać nas ku przeszłości, ale jednocześnie sprawiają, że wszystkie komponenty dzieła rozwijają się twórczo w odpowiedzi na wzajemne interakcje.

Co ciekawe, Adorno w podziale muzyki popularnej na konkretne style i zorganizowane wokół nich subkultury (których brak dokucza dziś Reynoldsowi) dostrzegał mechanizm służący głównie podaży – chodziło o to, by „odmłodzić stary towar przez nadanie mu nowej nazwy", a następnie z powodzeniem sprzedać. Ten sam mechanizm obserwujemy, śledząc historie „przebojów, o których nie wiedzieliśmy, że są coverami".

Powracając do muzyki stanowiącej ścieżkę dźwiękową młodości odkrywamy przecież coś bardzo trywialnego, czego zdają się nie dostrzegać dzisiejsi krytycy retromanii. Dla Reynoldsa ostatnią nowinką był m.in. popularny w latach 90. *rave* (po roku 2000 miało nie wydarzyć się już nic ciekawego). Biorąc jednak pod uwagę, że z biegiem czasu ewoluują nasze schematy poznawcze, młodzieńcze ↦

Weź, czytaj online!

Zamów prenumeratę cyfrową i zobacz,
jak wygodnie jest mieć nieograniczony dostęp
do strony TygodnikPowszechny.pl

- w każdą środę – **do bieżącego wydania**
- do ponad **60 tys. tekstów** archiwalnych, dodatków i podcastów

Wybierz idealny dla siebie czas dostępu
– na 1, 3 lub 12 miesięcy na powszech.net/cyfra

i czytaj „Tygodnik" **bez ograniczeń!**

TYGODNIK POWSZECHNY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

↦ zachwyty towarzyszące odkrywaniu muzyki (w latach 90. Reynolds był dwudziestolatkiem) w miarę wiedzy na jej temat po prostu wytracają swoją moc.

Zostań w domu

Kiedy Adorno uznał, że muzyka popularna jest „kwestionariuszem wielokrotnego wyboru", antycypował pewne zjawiska, w których współcześni teoretycy muzyki widzą przejaw nieustającej recyrkulacji. Ale nawet jeśli założymy najczarniejszy z ich scenariuszy, wedle którego kultura została już w pełni skolonizowana przez kapitał, to zmiana wciąż jest możliwa właśnie poprzez nielinearne kombinacje zgromadzonych i dostępnych jak nigdy dotąd zasobów.

Niewyobrażalne rozproszenie produkcji muzycznej przy jednoczesnym zatarciu granic pomiędzy przeszłością a teraźniejszością sprawia, że nowe style i gatunki powstają bez udziału „centralnego ośrodka kontroli". I znikają, nim ktokolwiek zdąży je zdefiniować.

Korporacje tworzą coraz tańsze oprogramowania dla tzw. *bedroom producers*, muzyków nagrywających płyty praktycznie bez wychodzenia z domowego studia. Biblioteki sampli, których cena pozostaje w zasięgu kieszonkowego przeciętnego nastolatka, pozwalają – przy odrobinie (zaczerpniętej bezpłatnie z YouTube'a) wiedzy i samozaparcia – z gotowych fragmentów tworzyć własną muzykę.

Do dyspozycji mamy nie tylko syntezator, ale też pocięte na pojedyncze szarpnięcia strun czy uderzenia bębna dźwięki żywych instrumentów nagrane pieczołowicie w najlepszych filharmoniach czy dających niepowtarzalną akustykę katedrach. Stworzony w sypialni kawałek możemy zagrać m.in. na fortepianie Alicii Keys. Co więcej, mogą to zrobić w jednym momencie tysiące użytkowników biblioteki sygnowanej jej nazwiskiem.

Wszystko to ziszcza się dokładnie wedle tez Adorna – nawet gdy eksperymentujemy z opartymi na Łańcuchu Markowa algorytmami, które na podstawie bazy przebojów same próbują skomponować hit albo, jak w serwisach streamingowych, dopasować playlistę wedle naszego gustu, podsuwając nam „jeszcze więcej tego samego". Ale z drugiej strony – tworzenie i granie muzyki staje się z konieczności wymuszonej „rytmem mechanicznej produkcji i reprodukcji" coraz powszechniejsze.

> Balansowanie na granicy śmieszności, autoironia, zabawa konwencjami rozsadzająca to, co znane, są podglebiem nie tylko nostalgii, ale i buntu.
> **Nieustanne rekombinacje nadają kulturze niestabilny, ludyczny charakter.**

Adorno nie przewidział właściwie jednego – co z kolei wykorzystał i rozwinął w swojej książce Reynolds – że to, co chwilowo przestarzałe i „obciachowe", może stać się na powrót „glamour". Balansowanie na granicy śmieszności, autoironia, zabawa konwencjami rozsadzająca to, co znane i oswojone, są podglebiem nie tylko nostalgii, ale i buntu. Nieustanne rekombinacje nadają kulturze niestabilny, ludyczny charakter, w którym całość jest już czymś więcej niż sumą poszczególnych części. Nawet jeśli nie pozwala to na ucieczkę z systemu, który opisywał Adorno, uruchamia grę z jego zasadami. W tym porządku artysta staje się tricksterem, któremu na moment udaje się wykiwać system, zanim ten zrobi wszystko, by grę zawłaszczyć i spieniężyć.

Skacz po wersalce na trzeźwo

Przygody surowego brokułu w sosnowieckim wakeparku – tak w skrócie opowiedzieć można nakręcony naprędce teledysk do kawałka „Good Bye Mary", traktującego – jak sugeruje tytuł – o pożegnaniu z „Maryśką". Pożegnanie procentuje (choć w przypadku tego wykonawcy należałoby jednak napisać – owocuje) umiarkowanym apetytem i spokojnym snem.

Wbrew pozorom nie mamy tu do czynienia z lekcją etyki ani chrześcijańskim rockiem (na którym wspomniany Cartman z „South Parku" chciał zarobić miliony), a najnowszym utworem rapera Augustyna. Jak zdradza tytuł nowego albumu „Buddha Boi" (na którym znajdzie się „Good Bye Mary") oraz kilkanaście nagranych przez ostatnie dwa lata utworów, twórczość Augustyna jest neoficką adoracją trzeźwości, medytacji i zdrowego stylu życia. Ale...

Zderzając w swoim wizerunku charakterystyczne dla raperów gangsterskie gadżety czy elementy garderoby modne 20 lat temu (bandany *à la* Tupac, oversizowe T-shirty) z czymś, co kojarzy się głównie z ezoteryką (w teledyskach Augustyn okadza się białą szałwią) czy może – kulturą instagramową (fotogeniczna joga, gimnastyka, zdrowe odżywianie, wegetarianizm), tworzy coś dla tego gatunku zupełnie nowego, co określa mianem *Health Gang*. Tyle że piosenka o tym tytule to proste nawiązanie do wydanego trzy lata temu, niezwykle popularnego (miliardy odtworzeń na YouTubie), wielokrotnie parodiowanego utworu Lil Pumpa „Gucci Gang". Augustyn jest jednak doskonałym przeciwieństwem znanego z uzależnienia od wszelkich narkotyków Lil Pumpa.

O co w tym wszystkim chodzi? Muzycznych źródeł postawy Augustyna upatrywać można w wywodzącym się ze Stanów ruchu *straight edge*. Jego znani z prowokacyjnych zachowań zwolennicy wierni byli typowej dla punków postawie buntu przeciwko społeczeństwu, odrzucali jednak charakterystyczny dla tej subkultury nihilizm oraz używki.

Doktrynę obchodzącego właśnie trzydziestolecie ruchu (dziś bliskiego skrajnym, agresywnym nacjonalistom) określały zasady iście antyhipisowskie: niespożywanie alkoholu, niezażywanie narkotyków, niepalenie papierosów, unikanie przypadkowych kontaktów seksualnych oraz, co ciekawe, niejedzenie mięsa – wypisz wymaluj *Health Gang*. Medium służącym do rozprzestrzeniania idei był jednak punkowy hardcore, a nie raczkujący wówczas rap.

W tamtych czasach rapowanie – a może w ogóle muzyka – polegało na tym, jak miał powiedzieć Del the Funky Homosapien, że „próbujesz coś przekazać, próbujesz kogoś przekonać". Augustyn sięgając do korzeni gatunku ustawia się jednocześnie w kontrze do własnego środowiska. Wchodzi w umykającą systemowi rolę trefnisia balansującego na granicy autoparodii. Wciąż niszowy, na marginesie najpopularniejszych wykonawców, u których, jak przystało na stylistykę gatunku, wódka leje się strumieniami, Augustyn jest w awangardzie. A jednocześnie – tak bardzo przecież retro.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

MATERIAŁY PRASOWE

Maria Pinińska-Bereś, „Modlitwa o deszcz", 1977/2020

Stan natury

PIOTR KOSIEWSKI

Nadchodzi ofensywa antyintelektualizmu, podważania znaczenia wiedzy naukowej i zaufania do ekspertów. Po co nam sztuka w tych trudnych czasach? Nie ochroni nas przecież przed katastrofą.

W latach 1966-71 małżeństwo Anna i Lawrence Halprinowie zorganizowali serię warsztatów. Odbywały się one nieopodal San Francisco, w ich domu w Kentfield oraz na wybrzeżu w Sonoma County. On – architekt krajobrazu, ona – tancerka i choreografka zapraszali przyszłych adeptów swych dyscyplin, by wspólnie poznawać okolice i przekładać to doświadczenie na własną pracę. Dokumentacja tych „eksperymentów w środowisku" to jedno z najbardziej fascynujących świadectw nowego myślenia o obecności człowieka w otaczającym go świecie, o korzystaniu z jego zasobów i budowaniu relacji z naturą. Utopijnego zapewne, ale wiele z ówczesnych eksperymentów do dziś wpływa na myślenie o architekturze i sztuce.

Czas zmian

Na wystawie „Wiek półcienia. Sztuka w czasach planetarnej zmiany" w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie zebrano dzieła ponad 70 twórców z ostatniego półwiecza, poświęcone relacjom z naturą. To na przełomie lat 60. i 70. minionego wieku pojawiają się nowe zjawiska artystyczne, jak sztuka ziemi, zaczyna powstawać też współczesny ruch ekologiczny, wreszcie – o czym nie można zapominać – jest to czas odrodzenia ruchów pacyfistycznych, powstawania nowego feminizmu czy ruchów antyrasistowskich i występujących w obronie mniejszości. Ówczesny zwrot ku naturze w działaniach artystów wpisuje się mocno w szersze zmiany tego czasu, które w znaczący sposób określiły świat, w którym dziś żyjemy.

Muzeum przypomina m.in. serię akcji Amerykanina Roberta Barry'ego z 1969 r., który gazy szlachetne, jak hel czy neon, wypuszczał do atmosfery tworząc prace niewidzialne, zagadkowe, a zarazem prekursorskie dla późniejszej inżynierii klimatycznej. Jest też działalność pochodzącego z Pakistanu, a osiadłego w Londynie Rasheeda Araeena, autora instalacji i performance'u, łączącego twórczość artystyczną ↦

MATERIAŁY PRASOWE MSN W WARSZAWIE

Agnes Denes, Pola pszenicy – konfrontacja: wysypisko Battery Park, Dolny Manhattan – żniwa, 1976, czterokolorowa litografia na papierze Rives BFK.

↦ z zaangażowaniem politycznym, twórcą programu ekoestetyki.

Jednocześnie wystawa uzupełnia doświadczenia sztuki szeroko rozumianego Zachodu o nie zawsze dostrzegany kontekst środkowoeuropejski. „Wiek półcienia" pokazuje działania artystów z Węgier czy dawnej Jugosławii. Mocny jest też akcent polski. Mocny i ważny, bo nadal przypomnienia wymaga wiele zjawisk polskiej sztuki doby PRL-u. Do tych mniej dziś obecnych należą Ludmiła Popiel i Jerzy Fedorowicz, zaangażowani w organizowane w latach 1963-81 plenery w Osiekach. Spotkania te, kluczowe dla polskiej sztuki neoawangardowej, stały się miejscem, w którym zderzały się najważniejsze postawy artystyczne tamtych czasów, a sztuka ekologiczna i utopijne myślenie o przeszłości zajmowały wśród nich istotne miejsce.

Na wystawie znalazły się rzeźby i dokumentacje akcji jednej z prekursorek sztuki kobiecej w XX wieku, Marii Pinińskiej-Bereś, m.in. zapis jej „Modlitwy o deszcz", podczas której, niczym podczas dawnych obrzędów, na trawie wyznaczała przy pomocy kamieni modlitewny krąg, udekorowany też kawałkami trawy oraz różowymi sztandarami. A następnie ułożyła się w nim w oczekiwaniu na deszcz.

Jest wreszcie Teresa Murak, jedna z najbardziej oryginalnych i nadal niedocenionych twórczyń ostatniego półwiecza, głęboko zanurzona w naturze, a jednocześnie w swych pracach odnosząca się do sfery *sacrum*.

Niematerialne i materialne

„Wiek półcienia" wymaga od oglądającego poświęcenia czasu i sporego zaangażowania. Niewiele jest tu bowiem spektakularnych prac. Istotną część ekspozycji wypełniają filmy, zdjęcia czy rysunki dokumentujące działania, teksty programowe lub zapisy wystąpień. Wszystkie te materiały składają się jednak w fascynującą opowieść o sztuce lat 60. i 70., którą charakteryzowało odchodzenie od prac rozumianych jako fizyczne obiekty. Artyści sięgali po materiały nietrwałe, czasami organiczne lub dążyli do całkowitej dematerializacji dzieła.

Paradoksalnie, z czasem to właśnie ta twórczość zaczęła trafiać do muzeów, ale też do obiegu rynku sztuki. Dziś wiele wysiłku i środków poświęca się na jej zabezpieczanie i eksponowanie. Jednak – co dobrze pokazuje wystawa w Muzeum Sztuki Nowoczesnej – sami artyści szybko dostrzegli fizyczny wymiar twórczości. Jednym z najbardziej fascynujących dzieł są dwa obiekty przypominające powiększone do ogromnej skali próbki gleby, o skomplikowanej fakturze, mieniące się wieloma odcieniami brązów czy szarości. Są dziełem Boyle Family, rodzinnego kolektywu artystycznego założonego przez Marka Boyle'a i Joan Hills w latach 60. W swych pracach łączyli oni malarstwo, rzeźbę, instalacje i performance. Byli pionierami tzw. *Liquid Light Shows* (spektakli świetlnych). Stworzyli też archiwum wspomnianych próbek – przy pomocy tylko sobie znanych technik utrwalali fragmenty gleby, zapisując w ten sposób stan określonych terenów na dany czas (dziś wiele z tych miejsc uległo znaczącej degradacji).

Z kolei Amerykanka łotewskiego pochodzenia Vija Celmins, jedna z najbardziej intrygujących artystek II połowy XX wieku, w swych rysunkach z niezwykłą precyzją oddawała przyrodę i zjawiska atmosferyczne. Tworzyła studia powierzchni morza, piasku na pustyni, rozgwieżdżonego nieba czy pajęczych sieci. Jej pogłębione, niezwykle dopracowane, niemalże fotograficzne studia natury

MATERIAŁY PRASOWE MSN W WARSZAWIE

Anna & Lawrence Halprin, „Driftwood Village – Community", Warsztaty w Środowisku, 6 lipca 1968 r. Dzięki uprzejmości Lawrence Halprin Collection, Archiwa Architektoniczne Uniwersytetu Pensylwanii.

przywodzą na myśl dzieła angielskich romantyków, Turnera czy Constable'a, ich obsesyjne wręcz próby oddania otaczającego świata.

W stanie półcienia

Kuratorzy wystawy Sebastian Cichocki i Jagna Lewandowska podkreślają, że obecny namysł artystów nad stanem natury nie jest kolejną modą. Tak zwany zwrot ekologiczny dokonał się znacznie wcześniej, a wiele idei sprzed lat nie straciło na aktualności. Przeciwnie, pozwalają lepiej zrozumieć współczesny świat i pomóc w unikaniu błędów. Pytanie nowojorskiej artystki konceptualnej Mierle Laderman Ukeles postawione w „Manifeście sztuki opieki" z 1969 r.: „Szkopuł każdej rewolucji: kto sprzątnie śmieci w poniedziałek po zakończeniu przewrotu?" – nadal pozostaje zasadne.

Jednak poszukując długich ciągów tradycji nie zamykają oczy na zmiany. Nieprzypadkowo na wystawie przywołano amerykańskiego teoretyka kultury Nicholasa Mirzoeffa, który podkreśla: „jeżeli masz mniej niż 35 lat, nie możesz znać świata sprzed zmiany klimatu. Mimo to twoje ciało wie, że susze, powodzie i rosnący poziom morza są zupełnie niezgodne z przeszłymi doświadczeniami". Ta różnica międzypokoleniowa, niby oczywista, nie zawsze jest dostrzegana.

Sama wystawa pokazuje, jak bardzo zmieniło się podejście artystów. W młodszych pokoleniach, urodzonych w ostatnich dekadach XX wieku, znikł optymizm i nadzieja na pozytywną zmianę, tak charakterystyczne dla rewolty lat 60. Zamiast śnić o utopiach, artyści coraz częściej snują opowieści o nadciągających dystopiach. Trudno zresztą dziś myśleć o przyszłości bez lęku. Wystarczy przywołać niedawno ogłoszony raport ↦

↦ Fundacji WWF „COVID-19: pilne wezwanie do ochrony ludzi i przyrody", w którym podkreślono związki zmian środowiskowych z kolejnymi epidemiami: „Ryzyko pojawienia się w przyszłości nowej choroby jest większe niż kiedykolwiek wcześniej. Możemy doprowadzić do spustoszenia nie tylko w zdrowiu, ale także w gospodarce i globalnym bezpieczeństwie".

Sam tytuł „Wiek półcienia" podkreśla też inny, nie mniej istotny aspekt zmian zachodzących w ostatnim czasie, jakim jest ofensywa antyintelektualizmu, podważanie znaczenia wiedzy naukowej i zaufania do ekspertów. Wszystkie te zjawiska łączą się z szerszym procesem odrzucania, także w Polsce, dziedzictwa Oświecenia.

A jaka jest odpowiedź na zmiany? Bywa nią ucieczka od zgiełku cywilizacji. Vivian Suter, malarka urodzona w Argentynie, a wykształcona w Szwajcarii, po pierwszych sukcesach artystycznych w 1983 r. zamieszkała w Gwatemali, na dawnej plantacji kawy. Od ponad 30 lat tam właśnie tworzy, otoczona bujną roślinnością, niemalże na odludziu. Dopiero od kilku lat jej niezwykłe obrazy ponownie zaczęły być wystawiane. Inni twórcy zmieniają się w archeologów, przyrodników dokumentujących ślady ludzkiej egzystencji, lub pokazują hybrydową rzeczywistość, w której to, co ludzkie, miesza się coraz bardziej z tym, co pochodzi ze świata natury.

Po co zatem sztuka w tych trudnych czasach? Z pewnością nie ochroni nas przed katastrofą, ale – podkreślają twórcy wystawy – „pomoże nam uzbroić się w dziwne narzędzia służące pracy wyobraźni i współodczuwania". By to jednak stało się możliwe, konieczne jest przemyślenie systemu funkcjonowania sztuki i instytucji z nią związanych. Bowiem, jak zauważają, parafrazując hasło Młodzieżowego Strajku Klimatycznego: „na martwej planecie nie będzie muzeów!".

© PIOTR KOSIEWSKI

WIEK PÓŁCIENIA. SZTUKA W CZASACH PLANETARNEJ ZMIANY, *Warszawa, Muzeum Sztuki Nowoczesnej, wystawa czynna do 13 września br. Kuratorzy: Sebastian Cichocki, Jagna Lewandowska.*

NETFLIX

Kadry z filmów tworzących serię „Homemade" autorstwa Any Lily Amirpour, Paola Sorrentino, Ladja Ly i Rachel Morrison.

Co robimy w zamknięciu

ANITA PIOTROWSKA

Końca pandemii nie widać, są za to pierwsze filmy, które nie tylko powstawały w warunkach kwarantanny, ale próbują tematyzować to doświadczenie.

Składankę Netfliksa, zatytułowaną „Homemade", stworzyło siedemnaścioro uznanych reżyserów światowego kina, choć w większości przypadków to raczej „domowe przetwory" niż wypowiedzi diagnozujące nową postać świata. Jako świadectwa czasu mają jednak wartość. Są niczym list w butelce – nie w sensie wołania o pomoc, lecz jako widomy znak, że się przetrwało. Chałupniczość tych kilkuminutowych produkcji również staje się przekazem. Filmowane zazwyczaj smartfonem, w pojedynkę lub z czyjąś pomocą, w domowym zaciszu lub w rodzinnym rozgardiaszu, czasami montowane i udźwiękowiane zdalnie, bywają przejmującym zapisem zmagań z ograniczeniami.

Za pomocą prawie nieruchomych figurek Paolo Sorrentino, mistrz rozbuchanej formy, opowiada o bliskim spotkaniu papieża i brytyjskiej królowej, z gościnnym udziałem „Kolesia" Lebowskiego. Bohaterowie, wyglądający niczym plastikowe turystyczne pamiątki, dyskutują o swoiście pojętej izolacji – tej na szczytach, pośród wypielęgnowanych hektarów Watykanu czy Buckinghamu tudzież dylematów w rodzaju: oglądamy „Dwóch papieży" czy nowy sezon „The Crown"? Dużo poważniejsze mrugnięcie okiem do widza przynosi nowelka Ladja Ly, autora „Nędzników". Tym razem dron krążący nad paryskim Montfermeil pokazuje, że kwarantanna nie oznacza zrównania wszystkich wobec globalnego zagrożenia, ale jeszcze większe rozwarstwienie, beznadzieję i przemoc.

W „Homemade" różnice społeczne ujawniają się raczej między poszczególnymi filmikami niż w obrębie pojedynczych tytułów. Czym innym jest bowiem izolacja leśnego preppera ze stanu Vermont, zamkniętej w czterech

ścianach kilkulatki, berlińskiego singla w nafaszerowanym elektroniką mieszkaniu czy pensjonariusza luksusowego domu opieki z Santiago. Czym innym jest przymusowe zamknięcie z liczną rodziną i zamknięcie w samotności.

Owo zróżnicowanie punktów widzenia działa na korzyść filmu, jakkolwiek domagałoby się bardziej wszechstronnej reprezentacji. Okazuje się, że świat to pojęcie bardzo względne, skoro tak niewiele można się z „Homemade" dowiedzieć o przeżywaniu pandemii w Azji czy Afryce. Posiadacze i posiadaczki nazwisk indyjskich (Gurinder Chadha), irańskich (Ana Lily Amirpour), malijskich (wspomniany Ly) czy zambijskich (Rungano Nyoni) opowiadają raczej o rzeczywistości zachodniej, co najwyżej z perspektywy imigranckiej. Być może zawinił sam dobór nazwisk – miało być wielokulturowo, a wyszło jak zawsze.

Najlepszą ilustracją dla pandemii jako problemu pierwszego świata jest filmik zrobiony przez aktorkę Kristen Stewart: depresyjne *selfie* w pościeli, w modnej obecnie stylizacji „bez makijażu" i z odrostami, czyli studium bezsenności w LA wywołanej cykaniem świerszczy. Chciałoby się odczytać tę wypowiedź autoironicznie, gdyby rzeczywiście miała na ekranie taki potencjał.

Izolacja wymusiła zwrócenie kamery na siebie i swoich bliskich, stąd wiele w tym zestawie produkcji przypominających domowe wideo, w tym filmów z dziećmi i o dzieciach. Na ile wpływ miał fakt, iż połowa zamówionych przez Netfliksa krótkometrażówek jest dziełem kobiet? Suche statystyki nie są tu dobrym wskaźnikiem, jakkolwiek najbardziej osobisty i skupiony na prywatnym doświadczeniu obraz stworzyła Rachel Morrison, amerykańska autorka zdjęć, pierwsza kobieta nominowana w tej kategorii do Oscara.

Archiwalia z czasów dzieciństwa oraz impresjonistyczne migawki z sielskiej, jakże niepandemicznej codzienności jej własnych dzieci złożyły się na czterominutową raptem etiudę, w której pulsują najróżniejsze emocje. A głównym bohaterem filmu jest czas, przeżywany teraz intensywniej i bardziej świadomie – ów „nieoczekiwany dar", by przywołać tytuł innej nowelki, zdecydowanie mniej udanej.

Psycholog mógłby oglądać „Homemade" jeszcze inaczej: rozpoznając różne mechanizmy obronne stosowane przez reżyserów i reżyserki w zderzeniu z traumą, jaką jest koronawirus. Czyli przez tych, których dotychczasowa aktywność zawodowa tak mocno opierała się na bezpośrednim spotkaniu i twórczych interakcjach. Niektórzy, jak Chińczyk Johnny Ma przebywający na kwarantannie w Meksyku czy wspomniana już Chadha – sikhijka żyjąca w Londynie, uciekają w nostalgię, smaki domowych potraw, w pielęgnowanie dawnych rytuałów. Inni sięgają po czarny humor.

I tak Rungano Nyoni, znana z „Nie jestem czarownicą", swój film o współczesnych paradoksach bliskości zmontowała z prywatnych komunikatów Messengera. Sebastian Schipper nakręcił absurdalny film o rozszczepieniu jaźni w warunkach izolacji – sam ze sobą w rolach głównych. Chilijczyk Sebastián Lelio zrealizował domowy musical, którego bohaterka śpiewa o przetrwaniu pandemii przesiadując w lodówce, w kartonie i na sedesie. Jego rodak zaś, Pablo Larraín, również współproducent „Homemade", w jednej z lepszych nowelek przypomniał filuternym tonem, że w sytuacji ostatecznej trzeba skonfrontować się także z własnymi kłamstwami.

W etiudach z dziećmi wracał wątek fantazji pozwalającej wydostać się na chwilę z ciasnego mieszkania czy z własnej głowy. Jeśli czegoś ich twórcom czasem brakowało, to przede wszystkim tej wyobraźni, przekraczającej utarte pojmowanie samotności, nudy, utraty kontroli nad rzeczywistością. „Właśnie trwa najbardziej totalitarny okres w dziejach świata" – słyszymy w szkockim filmiku Davida Mackenziego.

Nie licząc prób Maggie Gyllenhaal czy Naomi Kawase, brakuje w produkcji Netfliksa także głębszego namysłu nad cywilizacją w obliczu katastrofy – zajmie się tym pewnie kolejny sezon „Black Mirror". A my już za chwilę zobaczymy pierwszą polską antologię „koronafilmów" pod tytułem „W domu", wyprodukowaną przez HBO. Miejmy nadzieję, że dowiemy się z nich nie tylko tego, co filmowcy robią w zamknięciu i co hodują w swoich głowach. ©

HOMEMADE – *reż. zbiorowa. Prod. Francja/ /Chile/Wielka Brytania/USA/Włochy 2020. Dostępny na Netfliksie.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Kobiety za kamerą

Serial dokumentalny, reż. Mark Cousins, Wielka Brytania 2018, Ale kino+, odc. 6-8, 8-10 VII, 10.30, odc. 9-14, 13-18 VII, 10.30, wszystkie odc. na nc+ GO i player+

Niezrównany kronikarz filmu przepisuje jego historię z perspektywy reżyserek. Tych znanych i tych zapomnianych. Efektem jest pasjonująca filmowa podróż w czasie przez kilka kontynentów. Z namysłem nie tylko nad tym, o czym traktowały filmy kręcone dotychczas przez kobiety, ale i w jaki sposób zostały zrobione.

2. Młody Ahmed

Dramat, reż. Jean-Pierre i Luc Dardenne, Belgia/ /Francja 2019, Canal+ Film, 11 VII, 14.40

Co sprawia, że zwyczajny czternastolatek z przeciętnej rodziny zmienia się w religijnego radykała? Bracia Dardenne z właściwym sobie empatycznym dystansem nakreślają społeczny i psychologiczny kontekst, pozostawiając widza z kolejnymi pytaniami. Złota Palma w Cannes za najlepszą reżyserię.

3. Nędznicy

Dramat, reż. Ladj Ly, Francja 2019, od 10 VII, player+

Dzisiejsi bohaterowie Victora Hugo to mieszkańcy imigranckiego getta. W takiej społeczności wychował się reżyser filmu i tam nakręcił swój debiut. Z sensacyjnym nerwem, ale i z dużą dozą celnych obserwacji opowiada o spirali nienawiści, która zagarnia także tych najmłodszych i dotąd niewinnych.

4. Athlete A: Sport w cieniu skandalu

Dokumentalny, reż. Bonni Cohen, Jon Shenk, USA 2020, Netflix

Larry Nassar, lekarz amerykańskiej reprezentacji gimnastyczek, przez lata bezkarnie molestował swoje nieletnie podopieczne. Film jest wynikiem dziennikarskiego śledztwa, które ujawniło ogromną skalę nadużyć. A w tle zimnowojenne wzorce rywalizacji sportowej i szokująca zmowa milczenia.

WOJCIECH

Bonowicz: *Kamyki*

No więc dobrze, zanurkowaliśmy, jeszcze raz zanurkujemy – i będzie po wszystkim. Trochę strach, a trochę nie: zejść na dno, złapać leżący tam kamyk i popłynąć z powrotem. Potem czekać, ile tych kamyków zbierze się na brzegu.

Lawina nie zawsze zmienia bieg pod wpływem tego, na jakie kamienie natrafi. To smutne, że pewnych procesów nie możemy zatrzymać. A przynajmniej wydaje się, że nie możemy. Od większości startujących w wyborach – myślę o wszystkich wyborach, nie tylko tych aktualnych – dostajemy komunikat, który brzmi: „możecie dalej żyć beztrosko, nic się nie stanie, będzie tylko lepiej". To skądinąd ciekawe, że ludzie skłonni są słuchać przede wszystkim złych nowin, ale w okresie wyborów zapotrzebowanie na nie nagle spada. Oczywiście, są strachy i jest straszenie tym lub owym. Strach zawsze się sprawdza, a im bardziej nieokreślone jest to, przed czym ostrzega, tym lepiej. Ale ostatecznie ludzie chętniej nadstawiają ucha tam, gdzie ktoś obiecuje im wieczne słońce i zwolnienie z odpowiedzialności. Bywają wprawdzie kandydaci i kandydatki, którzy potrafią śpiewać inne melodie, niekoniecznie kołysanki – i nawet zdarzy się, że ktoś wysłucha ich i się przejmie. Ale jednak większość chce, by ich kołysano: będzie więcej pieniędzy, będzie lepsza służba zdrowia, będą sprawniejsze sądy i policja, i w ogóle wszystko będzie lepsze za mniejsze podatki. Wy tylko musicie przynieść ten kamień.

Niestety, kampania wyborcza nie trwa dziś kilka tygodni, ale na okrągło. I efekt jest taki, że ten spokój, choćby nie wiadomo jak iluzoryczny, zaczyna się nam podobać. Główne przykazanie, którego przestrzegać musi każdy, kto w polityce chce coś znaczyć, brzmi: „nie wymagać". Ten, kto zamierza stawiać wymagania, ostanie się w polityce tylko przy najwyższym zaangażowaniu. Bo reszta nie wymaga. Reszta załatwi za nas każdy problem. Tyle złych emocji uruchamia się w trakcie kampanii, ale w gruncie rzeczy chodzi o spokój. Wróg, owszem, czyha, ale od czego jest władza? Nie lękajcie się, jest ktoś, kto was obroni.

Ja właściwie nie wiem, czy my, jako naród, mamy w ogóle jakieś braki, jakieś kryzysy, coś, nad czym powinniśmy wspólnie pracować. Kryzysy to mają obcy, czyli zagranica. My natomiast wyłącznie alleluja i do przodu. To znaczy – od pewnego czasu, bo wcześniej nie. Wcześniej była bieda i złodziejstwo. Z tej biedy i złodziejstwa finansuje się teraz różne pomysły, ale to inna sprawa. Wystarczyło nie kraść, tylko normalnie dawać sobie premie, a potem odbierać, żeby znowu sobie dać – i od razu od tego nieustannego przepływu gotówki zrobiło się jej więcej. Tak że dla wszystkich starczy. A jakby ktoś jeszcze nie dostał, to niech się zgłosi, na pewno dostanie, o ile nie jest nauczycielem. Spokój, spokój.

Ale niektórzy nurkują, łapią kamyk i wynoszą na powierzchnię w przekonaniu, że spokój nie jest najważniejszy.

To się zdarza na plażach, w górskich strumieniach, a czasem po prostu przy drodze. Ktoś skwapliwie układa jeden kamień na drugim. Powstają fantazyjne słupki, swoiste posążki ludzkiej cierpliwości. Pamiętam, jak spacerowaliśmy z Małgosią niemieckim brzegiem Bałtyku. Na skałach nieznany twórca wzniósł niewysokie konstrukcje, którym wiatr nie mógł nic zrobić, pokonać je mogły tylko ręce dziecka lub przypływu. A przypływ miał nadejść wieczorem. Jeden z takich spontanicznych totemów ustawiony był nieco dalej od brzegu, na kawałku wysokiej skały. Wiadomo było, że on pierwszy padnie ofiarą morza. Na razie jednak trwał w słońcu niczym znak ostrzegawczy lub po prostu znak obecności. Było w tym widoku coś duchowego. Manifestacja siły, o której zapomnieliśmy, że w nas jest. ©

#łąka powszechna

Już rośnie!

Toruń, Wieliczka, Kraków, Gdańsk, Sulejówek, Gdynia, Ełk, Chomętowo, Lublin, Białystok, Grudziądz, Rzeszów, Piaseczno i Kocmyrzów-Luborzyca oraz Warszawa – to tylko niektóre miejscowości, gdzie wzrastają Państwa Łąki Powszechne.

Pokażcie nam, gdzie jeszcze wysialiście swoje nasiona; zróbcie zdjęcie rosnących kwiatów i oznaczcie się na FB lub Instagramie hasztagiem #lakapowszechna wraz z nazwą miejscowości lub adresem GPS albo wyślijcie na adres laka@tygodnikpowszechny.pl

Stwórzmy razem mapę naszej wspólnej łąki – niech zakwitnie!

pani łąka

Mieszankę nasion *Łąki Powszechnej* stworzyła Pani Łąka / panilaka.pl – profesjonalny sklep z autorskimi mieszankami nasion łąk kwietnych

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 28/2020

Włóczykij i Powsinoga

KRZYSZTOF STORY

Nieczynna przędzalnia w Łodzi

Wstęp wzbroniony

KRZYSZTOF STORY

Urbex to turystyka na przekór. Odwiedzanie tego, czego nikt inny odwiedzać nie chce. A czasem tego, czego odwiedzać nie wolno.

Miałem może osiem lat, a niedaleko mojego domu była opuszczona stacja kolejowa. Ostatni pociąg odjechał z niej krótko po moich narodzinach. Budynek zdążył zarosnąć chaszczami, niedopałkami papierosów i rozbitymi butelkami. Miejsce stukotu kół zajął chrzęst tłuczonego szkła. Chodziliśmy tam bawić się w odkrywców. Po kryjomu, tak żeby mama nie wiedziała.

Później była stara bocznica kolejowa, już w centrum Wrocławia. Mówiło się na to Berlin, bo na ścianie wisiał jeszcze drogowskaz sprzed wojny. Tam też chodziliśmy się bawić. Pierwsze licealne eskapady, te z okresu młodzieńczego buntu. Chodziło się na Berlin, albo na niedokończony parking samochodowy. Chodziło się tak po prostu. Wtedy nie miało to żadnej nazwy.

Teraz już ma. Urbex, czyli *urban exploration,* to odkrywanie miejsc opuszczonych, niszczejących, trudno dostępnych. Nie wiem, czy można tu bezpiecznie użyć słowa „zwiedzanie". „Zwiedzanie" to przecież zabytki, muzea, rynek taki czy owaki, może Krupówki. Urbexer tymczasem zwiedza nieczynne fabryki, zamknięte szpitale i kościoły. Zwiedza to, co już zniknęło albo nawet nie zdążyło zaistnieć. Ruiny i niedokończone budowle. Hale, które już nigdy się nie przydadzą, pokoje, w których nikt nie zamieszka, kaplice, które nie usłyszą żadnych modlitw. Historię, której nikt już nie potrzebuje.

Żółta tabliczka

Rano pakuję aparat, latarkę, rękawiczki. Miejsce znalazłem wczoraj – radziecki szpital wojskowy w Legnicy. Armia Czerwona wycofała się stąd w 1994 r., a szpital został. Dziś jest jednym z najbardziej spektakularnych opuszczonych miejsc w kraju.

Dojeżdżam pod bramę i przekrzykując ujadanie psów rozmawiam z ochroniarzem. Jeden banknot załatwia sprawę. Dostaję klucze. Obejście całego kompleksu zajmuje mi ponad trzy godziny. Szpital był małym miastem, w pełni samowystarczalnym. Był basen, kino, kaplica. To wszystko dziś spokojnie niszczeje i pozuje do zdjęć. Przemierzam korytarze, klatki schodowe i dziedzińce. Odkrywam gabinety, sale

KRZYSZTOF STORY

Opuszczona chata w Siedliszczu

operacyjne i magazyny. Zaglądam do kostnicy i restauracji. I nie mogę uwierzyć. Nie mogę uwierzyć, że coś tej skali mogło po prostu przestać być potrzebne.

W szpitalu w Legnicy spotykam jeszcze pięć innych osób. Wszystkie z aparatami. Urbex w Polsce staje się coraz bardziej popularny. Facebookowa grupa dla eksploratorów ma już ponad 16 tys. członków, powstają też mniejsze, lokalne społeczności. Ludzie szukają towarzystwa, informacji o obiektach, umawiają się na wypady. Popularne krakowskie cele to forty wojskowe, kamieniołom Liban, stare lokomotywy stojące na bocznicy za dworcem Płaszów. Informacji w internecie jest dziś wielokrotnie więcej niż wtedy, gdy stawiałem swoje pierwsze eksploratorskie kroki. Są całe bazy opuszczonych obiektów. Urbex trafił na fora, blogi podróżnicze, a nawet do programów biur podróży (najlepszym przykładem jest ogromne zainteresowanie zwiedzaniem Prypeci i Czarnobyla).

– Te miejsca nie są ładne w oczywisty sposób. Są tajemnicze i często bardzo atrakcyjne pod kątem fotograficznym – mówi Michał Maj, podróżnik i bloger z Krakowa. – Zawsze wiąże się z nimi jakaś historia. Nie są popularne, a to zawsze ekscytujące. Podobnie jest ze zwykłymi podróżami – chyba każdy z nas lubi odkryć miejsce spoza przewodnika.

Urbex to turystyka na przekór. Odwiedzanie tego, czego nikt inny odwiedzać nie chce. A czasem tego, czego odwiedzać nie wolno. Pójście na przekór żółtej tabliczce z napisem „Wstęp wzbroniony" dostarcza emocji. Sam doświadczałem tego w ruinach łódzkich przędzalni, w podziemiach dawnych koszar ZOMO we Wrocławiu i w opuszczonym hotelu w gdyńskim Orłowie. Inne motywacje się zmieniają: niektórzy wybierają konkretny typ obiektów (np. militarne), inni szukają dokumentów albo uprawiają *urban climbing* – wspinaczkę na opuszczone kominy, wieże, budynki. Ale kilka fraz jest dla urbexerów uniwersalnych. „Adrenalina", „dreszcz emocji". I być może najważniejsza: „ocalenie od zapomnienia".

Pani Józefa

Ze wsi Siedliszcze w gminie Wola Uhruska przez 20 lat wyjechało ponad 200 osób, czyli połowa. Życie, które po sobie zostawili, zdziczało i zaczęło chodzić własnymi ścieżkami. Zapakowało się do środka, powłaziło przez okna, pozawalało dachy. Powykręcane jabłonie rzucają tu cień na zarośnięte ogrody. Szczerbate płoty otaczają chylące się do ziemi chaty. Ścieżki do drzwi już nawet nie widać. Czasami wisi szyld „Sprzedam" i numer telefonu.

Stanąłem przed jedną z chat. Żółte ściany przyjemnie kontrastowały z zielenią, czerwonawe drewno na rogach wspierało omszały dach, który jeszcze się trzymał. Gdzieniegdzie były szyby, a w oknach wisiały koronkowe firany. Z prawej strony bielone drzwi zawisły na jednym zawiasie, otwarte na oścież. Obszedłem dom dookoła, zajrzałem przez każde okno. Jak poklatkowy film o minionym życiu.

Klatka pierwsza: cztery sukienki wiszą na swoim miejscu na wieszakach w szerokiej szafie z paździerza. Na podłodze wala się mnóstwo szmat, trochę słomy, butelka po winie, jakiś karton. Wszystko obsiadł kurz. Klatka druga: gruba kotara zerwała się z karnisza, opada wprost na wygnieciony tapczan. Klatka trzecia: drewniane łóżko stoi w kuchni, bo tu pewnie było najcieplej. Po lewej kaflowy piec, na wprost biały kredens. Na półkach stoją puste słoiki, prążkowana tapeta odłazi ze ścian. Klatka czwarta: na parapecie okna leżą dziesiątki guzików i osiem plastikowych grzebieni. Każdy w innym kolorze, można by ułożyć z nich ząbkowaną tęczę. Jest też pożółkła karta dostawy mleka w formacie dzisiejszych dowodów rejestracyjnych. Dostawa numer 121, imię Józefa, rok 1974. Nazwisko się zatarło.

Dla wielu urbexerów, także dla mnie, eksploracja to poszukiwanie historii. A raczej pragnienie, żeby historia dała już spokój i odpuściła sobie te daty, bitwy i ważne persony. Żeby można było jej dotknąć, zbadać inaczej niż na kartach książek i ekranie komputera. Zanurzyć się w nią po szyję. Zajrzeć przez okno i wyobrazić sobie, że tu, na tym łóżku, 50 lat temu pani Józefa czytała gazetę, na piecu gotowała się woda, a w białym kredensie czekał emaliowany kubek.

Do opisania opuszczonych miejsc często używamy słów: „tajemnicze" albo nawet „magiczne". Widocznie jest coś oszałamiającego w widoku drzewa wyrastającego wprost z łóżka czy płatów tapety w koty opadających na porośniętą mchem podłogę.

Opuszczony port

– Niedawno odwiedziłem opuszczony kościół – mówi Michał Maj. – Upatrzyłem go sobie kilka lat temu. Wejście

KRZYSZTOF STORY

Poradziecki szpital w Legnicy ↦

KRZYSZTOF STORY

Ewangelicki kościół w Żeliszowie

↦ było nie do końca legalne, a świątynia jest w samym środku miejscowości. Bałem się, że ktoś mnie zauważył. Serce biło mi jak szalone. Samo wnętrze – niesamowite. Piękny, ale niestety zaniedbany zabytek. Zabrałem jedynie zdjęcia i wspomnienia.

W tych kilku zdaniach Michał opisuje przygotowanie typowej eksploracji. Zaczyna się od wyboru miejsca. Trzeba zebrać informacje, a tymi urbexerzy dzielą się niechętnie z prostego powodu – gdy miejsce zrobi się zbyt popularne, ktoś w końcu je zdewastuje, a właściciel zdecyduje się je zamknąć, lepiej zabezpieczyć. Opuszczone obiekty w miastach szybko znikają, a na ich miejscu pojawiają się nowe osiedla. Niektóre budynki grożą zawaleniem, czasem potrzebna będzie wspinaczka.

Trzeba przeanalizować ryzyko, wybrać dobrą porę i dzień. Dopiero wtedy można pakować plecak. Podstawowe wyposażenie to: dobra latarka, telefon, zapasowe baterie, długie spodnie, buty z grubą podeszwą i rękawice. Wszystko, co pozwoli nam się bezpiecznie poruszać po obiekcie.

– Uwagi nie wyłącza się ani na moment – mówi Michał. – Budynki często są w fatalnym stanie, grożą zawaleniem. Oczy dookoła głowy. Musimy też być świadomi, że to często własność prywatna. Właściciel nie zawsze musi być zadowolony z naszych odwiedzin. Trafiłem kiedyś na opuszczony port z pięknymi, starymi barkami. Stróż pozwolił mi go zwiedzić, ale bez publikacji zdjęć. Rozpaczałem, bo to niesamowicie fotogeniczne miejsce, ale uszanowałem to.

Ślady butów

„Wstęp wzbroniony". Od takiej tabliczki zaczyna się prawie każda eksploracja. Często uzyskanie zgody jest trudne albo niemożliwe. Czasem – łatwiejsze niż się wydaje. Nie wszystkie eksploracje oznaczają łamanie prawa.

Dzień przed moimi urodzinami pod dom podjeżdża samochód. – Siadaj, mam dla ciebie prezent! – krzyczy M., koleżanka. Wyruszamy z Wrocławia, na zachód.

Po 1,5 godziny jazdy wysiadamy przed kościołem ewangelickim w Żeliszowie. Jednym z najpiękniejszych i niestety zrujnowanych zabytków Dolnego Śląska. Rzadkim przykładem europejskiej świątyni zbudowanej na planie elipsy. Stajemy przed zamkniętymi drzwiami. Milcząco pytam, co dalej. M. z szelmowskim uśmiechem wyciąga klucz i otwiera świątynię z XVIII wieku. Wystarczyło napisać maila.

Kościół w Żeliszowie to jeden z najpiękniejszych opuszczonych budynków w kraju. Ascetyczne, ewangelickie wnętrze otoczone drewnianymi emporami. Nieużywane od 1945 r., od wielu lat prowadzone są tu jedynie doraźne prace remontowe. Świątynia nadal robi niesamowite wrażenie pomimo zniszczonego dachu, butwiejących balustrad i wszechobecnego gruzu.

Pamiątką po tej i każdej innej eksploracji są wyłącznie wspomnienia. To podstawowa i najważniejsza zasada urbeksu: „Zabierz tylko zdjęcia. Zostaw tylko ślady butów".

© KRZYSZTOF STORY

REKLAMA

BOGUSŁAW ŚWIERZOWSKI / UM KRAKÓW

Ogród zoologiczny w Lesie Wolskim. Kraków, maj 2020 r.

Kraków w kieszeni

Krakowskie parki kieszonkowe to minirezerwaty, w których naliczymy od kilkunastu do kilkudziesięciu gatunków kwiatów. W wielu przybyło drzew. Jest także coś, co je wyróżnia.

W zwartym szeregu starych kamienic albo między blokami a parkingiem pojawia się luka – fragment gruntu o nieregularnym kształcie, łysawy trawnik z kilkoma przerośniętymi krzakami. Przechodząc codziennie tamtędy myślimy, że wypadałoby tę dziurę zaplombować – niekoniecznie wznosząc kolejny budynek. Skoro zewsząd otaczają nas mury, może warto byłoby zrobić odrobinę przerwy na zieleń? Tak właśnie w najbardziej zurbanizowanych regionach świata, od Australii po Meksyk, rodziła się idea parków kieszonkowych. Najsłynniejszym i najstarszym jest powstały w latach 60. minionego wieku nowojorski Paley Park, słynący ze sztucznego wodospadu zagłuszającego zgiełk Manhattanu.

Dla mieszkańców krakowskich dzielnic ważniejsza od ciszy jest zieleń, która – szczególnie w obliczu zmian klimatycznych – zapewnia wytchnienie i czyni osiedlowe życie znośniejszym. Każdy park kieszonkowy to minirezerwat, w którym naliczymy od kilkunastu do kilkudziesięciu gatunków kwiatów. W wielu przybyło drzew. Jest także coś, co je wyróżnia: „literacki", „prehistoryczny", „polny", „motyli" – każdy ma swój motyw przewodni. Oprócz hamaków, krytych rodzinnych huśtawek, pozwalających przeczekać letni deszcz, czy siedzisk, na których wielbiciele opalenizny mogą obracać się wraz z wędrującym po niebie słońcem, w Ogrodach Krakowian znajdziemy też budki lęgowe dla ptaków i domki dla motyli, skrzyneczki do bookcrossingu oraz elementy małej architektury zachęcające do aktywności edukacyjnej i fizycznej (trampoliny!). W Bieńczycach (Ogród Sielski) pobawimy się w wiejskiej zagródce wśród róż, w Łagiewnikach (Ogród Leśny) spróbujemy posadzonych tu leśnych poziomek, a na Dębnikach (Ogród Magiczny) przechodząc na drugą stronę lustra, trafimy do kącika eliksirów.

W każdej dzielnicy Krakowa powstać mają co najmniej dwa parki kieszonkowe, a do 2030 r. będzie ich – jak zapowiada Zarząd Zieleni Miejskiej – siedemdziesiąt. Pomysł został doceniony na arenie międzynarodowej, wygrywając na konferencji EUGIC London 2019 w kategorii Implemented Green Infrastructure Projects (wdrożone projekty infrastruktury zielonej), a także na konferencji 2019 Euro-China Green&Smart City Forum and Awards. Ogrody Krakowian otrzymały również nagrodę honorową Towarzystwa Urbanistów Polskich w ogólnokrajowym konkursie na najlepiej zagospodarowaną przestrzeń publiczną w zieleni.

Trzy dni nad morzem

Mieszkańcy Nowej Huty na brak zieleni narzekać nie mogą – Ogród Lipowy przy ul. Jana Zachemskiego to tylko jedno z wielu zielonych miejsc dzielnicy. Tego lata nad Zalewem Nowohuckim przy ul. Bulwarowej (nieopodal mieści się znany teatr Łaźnia Nowa) do użytku oddano tężnię. Trzy ramiona, o długości 18 metrów każde, obłożone zostały tarniną z Bieszczad – najlepszym materiałem w Polsce dla tego typu obiektów. Dostarczona przez kopalnię soli w Wieliczce solanka, transportowana specjalnymi rynnami i rozprowadzana po ścianach nachylonych pod takim kątem, by rozbijała się o gałęzie, tworzy unoszący się w powietrzu aerozol. ↦

MATERIAŁ PROMOCYJNY

BOGUSŁAW ŚWIERZOWSKI / UM KRAKÓW

Park kieszonkowy – Ogród Malwowy przy ul. Balickiej. Kraków, czerwiec 2020 r.

↦ Godzinny spacer przy tężni solankowej to dawka jodu, która odpowiada trzem dniom spędzonym nad morzem.

Obiekt będzie czynny cały rok, między godziną 7.00 a 20.00. Zadaszenie jednej ze ścian tężni umożliwia korzystanie z niej nawet przy niesprzyjającej pogodzie. Po spacerze odpoczniemy na plaży zwieńczonej drewnianym nabrzeżem. Od kilku lat Zarząd Zieleni Miejskiej prowadzi projekt rewitalizacji całego terenu. Będą tu więc kolejne alejki, scena letnia i plac zabaw – najnowocześniejszy w Krakowie, bo wszystkie urządzenia zostaną podświetlone panelami fotowoltaicznymi.

Kolejna tężnia powstaje nad Bagrami – ma być zlokalizowana nad wschodnią częścią zalewu (pomiędzy przedłużeniem ul. Grochowej i ul. Bagrowej). Zalew Bagry powstał w wyniku zatopienia wyrobisk żwirowni i jest jednym z większych zbiorników wodnych w granicach miasta. Można korzystać z kąpieliska, dwóch przystani wodnych oraz wypożyczalni sprzętu, można też surfować, próbować sił na coraz popularniejszym SUP-ie albo popływać żaglówką.

O czym szumią drzewa

Zasilone jodem krakowskie włóczykije i schnące w lipcowym słońcu włóczywiosła ruszają wprost do lasu. Pandemia sprawiła, że nie tylko częściej spacerujemy, ale i chętniej korzystamy z rowerów. Na całym świecie pokaźnie wzrósł ruch rowerowy, m.in. w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. W Wiedniu część ulic zamknięto dla ruchu samochodowego, a w centrum Brukseli i Wilna wprowadzono ograniczenia prędkości, by najważniejsi na drogach byli spacerowicze.

W środku Krakowa, na terenie Lasu Wolskiego, wśród ponad trzydziestu gatunków rosnących tu drzew, znajdziemy 40 km ścieżek spacerowo-rowerowych oraz kilka polan wypoczynkowych, wyznaczonych w 1917 r. przez inżyniera Wincentego Wobra. Tuż przed wojną na wydzierżawionym kawałku jednej z takich polan przemysłowiec i polityk Antoni Jan Goetz-Okocimski wybudował zaprojektowany przez architekta Jana Ogłódka (współpracownika słynnego Adolfa Szyszko-Bohusza) Pawilon Okocimski. Wiosną 1936 r. nastąpiło jego uroczyste otwarcie, a 24 czerwca, przy okazji posiedzenia komitetu budowy Muzeum Narodowego przy Błoniach, odbyły się tu imieniny sławnego tenora Jana Kiepury. Po wojnie działała w Pawilonie Okocimskim popularna restauracja i kawiarnia, jednak od lat 70. zeszłego wieku stan budynku stopniowo się pogarszał.

Pawilon powrócił na mapę krakowskich atrakcji po prawie trzydziestu latach. Od kilku miesięcy w świeżo odremontowanym budynku działa Centrum Edukacji Ekologicznej „Symbioza", a jego gospodarzami są... borsuk, puszczyk i rzekotka. Placówka prowadzi zielone lekcje dla dzieci oraz spacery przyrodnicze dla wszystkich – bez względu na wiek. „Symbioza" dysponuje także pracownią i piecami do wypalania ceramiki oraz szkła. Można zapisać się tu na zajęcia prowadzone w pracowni kulinarnej, uwrażliwiającej na bodźce płynące z obcowania z dostępnym w lasach pożywieniem. „Czy można opisać to miejsce w dwóch słowach?" – pyta kolegę puszczyka zasiedlająca Pawilon rzekotka. „Użyję dwóch! – odpowiada rezolutny puszczyk. – Nie można!".

Kujawsko-Pomorski Impresaryjny Teatr Muzyczny w Toruniu

Siedzibą Teatru Muzycznego w Toruniu jest świeżo wyremontowany i dostosowany do potrzeb widzów Pałac Dąmbskich, znajdujący się przy ul. Żeglarskiej 8. Teatr uczestniczy w projekcie „Toruńska Starówka – ochrona i konserwacja dziedzictwa kulturowego UNESCO – etap II", realizowanym w ramach działania 8.1 Ochrona dziedzictwa kulturowego i rozwój zasobów kultury Programu Operacyjnego Infrastruktura i Środowisko 2014-2020. Podmiot jako partner realizuje podprojekt pod nazwą „Przebudowa i remont konserwatorski budynku Pałacu Dąmbskich w Toruniu na cele kulturalne". W wyniku realizacji projektu i dzięki współfinansowaniu unijnemu udało się wykonać kompleksowy remont konserwatorski – m.in. zainstalować windę, której wcześniej nie było w budynku, oraz zmodernizować Salę Złotą i scenę widowiskową.

Do końca XVIII wieku budynek pozostawał w rękach rodziny Dąmbskich, służąc jako rezydencja urlopowo-wypoczynkowa na czas jarmarków i zimowego karnawału. Cała fasada budynku pokryta jest bogatymi stiukowymi ornamentami roślinnymi i dziś jest jednym z nielicznych zachowanych przykładów toruńskiego zdobnictwa barokowego. Gdzieniegdzie pomiędzy tymi elementami dekoracyjnymi widać odsłonięte fragmenty ceglanych łuków gotyckich. Wejście zdobi bogato ornamentowany, okazały portal oraz przedproże. Osobna brama prowadzi na podwórze, gdzie znajduje się oficyna.

Dzięki środkom unijnym Teatr Muzyczny w Toruniu zyskał nowoczesną scenę z widownią na 162 miejsca. To tam znajduje się prawdziwe serce instytucji, jednej z najmłodszych w województwie kujawsko-pomorskim. Wystawia się tu zarówno spektakle dla najmłodszych, którzy dopiero rozpoczynają swoją przygodę z teatrem, jak i dla dorosłych. Repertuar jest różnorodny: od musicali po sztuki dramatyczne. Organizuje się również koncerty, recitale i warsztaty teatralne dla różnych grup wiekowych. W spektaklach grają m.in. Edyta Olszówka, Maria Seweryn, Mirosław Zbrojewicz i Piotr Polk.

Teatr jest również organizatorem festiwalu „Przygrywka" – ogólnopolskiego przeglądu dyplomów i egzaminów muzycznych wyższych szkół artystycznych o nagrodę marszałka województwa kujawsko-pomorskiego. Przegląd jest adresowany do studentów wyższych szkół artystycznych zarówno państwowych, jak i prywatnych.

FOT. TOMASZ WOLFF X2

MATERIAŁ PROMOCYJNY

Fundusze Europejskie Infrastruktura i Środowisko

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Miasto Toruń

Unia Europejska Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

Łowcy miejskich duchów

OLGA DRENDA

Zawsze mieszkałam na obrzeżach miasta i chodziłam śladami dawnych wsi. Moim żywiołem były pogranicza, wiecznotrwałe szyldy, działające od dziesięcioleci zakłady usługowe.

Mam w życiu szczęście: przeprowadzam się na ogół z własnego wyboru, nie z przykrej konieczności. Przestrzeń, w którą niespodziewanie rzuca nas los, pozostaje zazwyczaj scenografią nawykowych czynności, pracy i snu. Gdy samej wybiera się kierunek przeprowadzki, łatwiej o uwiedzenie duchem miejsca. A że okazuje się on całkiem inny, niż go sobie wyobrażaliśmy, to już zupełnie inna historia.

Śląski cyberpunk

Tak było w przypadku mojej długiej i trudnej znajomości z duchem miasta Krakowa. To duch potężny, poetycki, trudno mu się oprzeć. Chodzi w płaszczu, popija kawę, przygląda się gołębiom i oczywiście – nigdy się nie spieszy. Zapewne jest artystą, a jeśli nie – nie może żyć bez sztuki. „Magiczny Kraków" – to marka, która działa. Bezpośrednia konfrontacja z Krakowem objawiła mi jednak zupełnie inne oblicze tamtejszego *genius loci.*

Przyjechałam z regionu, którego duchem jest niedokończona przyszłość, porzucona w pół drogi obietnica – kosmiczne pasaże, futurystyczne konstrukcje o rozmachu Brasílii, maszyny do mieszkania. A jednocześnie struktura rozbita na niepołączone ze sobą dzielnice oddzielone pasami lasu. Pejzaż naznaczony szkieletami nieczynnych zakładów i pamiątkami megalomanii władzy. To duch planety zardzewiałej, chropowatej, zamieszkanej przez subkultury. Tak go w każdym razie widziałam i opisywałam innym. Nie wiem, czy to Śląsk wywołał we mnie zamiłowanie do estetyki cyberpunk, czy odwrotnie, to ja widziałam mój pachnący chemikaliami, zapylony heimat przez dystopijny filtr.

Krakowska magia chaosu

Stamtąd trafiłam do miasta mniejszego, lecz gęściej zaludnionego. Pierwszym wrażeniem było zatłoczenie, prawie klaustrofobiczne, ale miało ono jedną niezaprzeczalną zaletę – wszędzie dało się dotrzeć pieszo. Tak poznawałam Kraków całkiem inny. Jego ślady zaczynały się już na Starym Mieście, ale na dobre rozgaszczał się gdzieś w okolicach Grzegórzek, albo, z drugiej strony, od Kalwaryjskiej. Jeśli był magiczny, to raczej w duchu magii chaosu. Było w nim także coś przyjemnie obskurnego – wiecznotrwałe szyldy, działające od dziesięcioleci zakłady usługowe.

Zastanawiało mnie to połączenie kameralnego ciepła i osobliwej nieuprzejmości: jej ilustracją jest niepokojąca (choć bardzo przeze mnie lubiana) brutalistyczna sylweta hotelu Forum, wtedy już nieczynnego, w otoczeniu szacownych zabytków. Lekka inercja, opór przed modernizacją, klimat dziadostwa, który dawał o sobie znać podczas niedzielnych wizyt pod Halą Targową. Za 10 zł kupiłam tam wspaniały oleodruk „Śmierć sprawiedliwego i śmierć grzesznika". Moim żywiołem były pogranicza, opłotki, stare napisy.

Nie znając jeszcze tego pojęcia, stosowałam podejście psychogeograficzne. Ta technika, opisana przez sytuacjonistów, to w najprostszym ujęciu nakładanie własnych map na oficjalną mapę miejsca. W Krakowie miałam trasy śladami sklepów, w których można było kupić lukrecję (przysmak niepopularny na wschód od Wisły) albo w których trwały właśnie ostatnie, najtańsze dni wyprzedaży odzieży na wagę. Wreszcie – mapę zupełnych marginesów, bo mieszkałam zawsze na obrzeżach miasta i chodziłam śladami dawnych wsi. Nieco podobny sposób myślenia o Krakowie wciela w życie festiwal Unsound: to on ożywił hotel Forum i kilka innych opuszczonych miejsc.

Dopiero z perspektywy czasu dostrzegłam, że moje krakowskie dni przypadły na moment przełomowy. W okolicach Rynku funkcjonowało jeszcze zwykłe, nudne życie. Stopniowo jednak miasto zaczęło się zmieniać w park rozrywki. Coraz rzadziej się tam pojawiałam, jakby żywioł nieustannego karnawału mnie wypraszał. Czułam, że przez Rynek coraz trudniej przejść. Być może tak właśnie na rynkach być powinno, może tak było w czasach renesansu, gdy przy okazji radosnych albo krwawych zgromadzeń zbierała się tu ciżba. Ale poza ścisłym centrum, tam, gdzie zwykle krążyłam, następowało generalne „ustockowienie": krajobraz anonimowości.

Osiedla zagęściły się niemal z dnia na dzień nową zabudową. W salonach fryzjerskich malowane na szkle napisy z czasów PRL zaklejano siatką typu mesh z banalnymi fotografiami z banku obrazów. Duch miejsca nie tyle zaginął, co przybrał postać duńskiej modelki Emmy Wang Hansen, Twarzy Polskiej Reklamy. Trzeba było tworzyć nową psychogeografię, szukać nowych enklaw.

Porządek, czas i światło

Ponieważ w Krakowie studiowałam i duże wrażenie zrobiły na mnie zajęcia z fenomenologii u profesora Dariusza Czai, pozwolę sobie skorzystać właśnie z fenomenologicznego ujęcia ducha miejsca, bo nie jest to kategoria ścisła, naukowa, nikt nie podał jej wyczerpującej definicji. A jednak wiemy, że jakoś istnieje, bo – mówiąc fenomenologicznie – „jawi się" nam. Możemy tego ducha wyczuć, zaobserwować i możliwie dokładnie opisać, obchodząc z każdej strony. Pomaga w tym norweski architekt Christian Norberg-Schulz,

JAKUB WŁODEK / AGENCJA GAZETA

Diabelski młyn, w tle kościół na Skałce. Kraków, luty 2020 r.

autor prac poświęconych fenomenologii architektury, który próbował wielokrotnie schwytać *genius loci*, lecz ten wciąż jakoś mu (nawet jemu!) umykał.

Norberg-Schulz charakteryzował miejsca przez czas, porządek i światło oraz relacje między nimi, ale przyznawał, że istnieje komponent nastroju niemożliwy do precyzyjnego opisania, „determinujący podstawowe cechy obrazu otoczenia u większości obecnych tam ludzi". Nie do końca mogę się z nim zgodzić: mój Kraków był prawdopodobnie innym Krakowem niż ten, który widzimy dzisiaj w okolicach Rynku – coś pomiędzy kolektywnym życzeniem, folderem turystycznym a faktycznym duchem miejsca, w tym przypadku z mieszczańskim klimatem kulturowego dziedzictwa (*heritage city*) i elementami młodopolskiej nostalgii, ale też samofolkloryzacją (być może nieuniknionym losem miasta turystycznego). Tak oto duch miejsca staje się rolą, którą trzeba grać.

Modny jakiś czas temu marketing miejsc opierał się często na koncepcji tworzenia wizerunku miasta na nowo albo zredefiniowania jego jakości: wydobycia cech charakterystycznych na potrzeby promocji i sprzedaży. Tam, gdzie marka nie była tak silna jak w Krakowie, próbowano zazwyczaj dróg kulinarnych, powoływano się na miasto jako miejsce skrzyżowań kultur albo bliskie natury. Rezultaty tych kampanii bywały bardzo różne. Wrocław chyba z powodzeniem przeorientował się na otwarty i nowoczesny WrocLove, był też moment, kiedy krakowianie zazdrościli Katowicom wielkomiejskiego rozmachu, wydobytego z powodzeniem przez przypomnienie dziedzictwa modernizmu. Oznacza to, że z duchem miejsca można grać, może da się go wywoływać, przypominać, zmieniać akcenty, ale nie wyczarować od zera, przynajmniej na poziomie dużych narracji.

Trójmiejski chochlik absurdu

Prywatnie psychogeografia pozostawia natomiast wielkie pole do popisu, zachęcając do dowolnego bazgrania po mapach. Spędziłam kilka lat w Mikołowie – małym, schludnym miasteczku, słynącym osobliwie z poezji (to tu mieszkali kiedyś Rafał Wojaczek oraz Rahim z Paktofoniki). Ja odkryłam je jako miasto pomysłowych interwencji architektonicznych z lat 80. Nietypowych dla Polski bloków-zigguratów na Recie, malowniczego postmodernistycznego osiedla nad Jamną. Tu duch miejsca był przyjazny i porządny, nieco przy tym wyluzowany, na czeską modłę. Chwilę przed koronawirusową kwarantanną porzuciłam Mikołów dla Gdańska – jakie inne miasto może kojarzyć się z początkiem nowego życia, może oprócz Szczecina?

Rozpocząwszy psychogeograficzne mapowanie musiałam je na chwilę zawiesić, ale już wiem, że czekają mnie długie negocjacje. Trójmiejskie *genius loci* znam jako chochlika absurdu i lekkiego szaleństwa, które zrodziło interesujące wątki w kontrkulturze lat 80. i 90., ale też widzę jego korespondencję z klimatem Śląska. Wszak Gdynia wygląda nieco jak nadmorskie Katowice, a gdańska czerwona cegła przywodzi na myśl pejzaże Zabrza czy Gliwic. Tu jednak znów trafiam w punkt, w którym opowieści ścierają się ze sobą: odchodzący w przeszłość Gdańsk przemysłowy, wciąż pełen pustostanów, samoróbek, ziem niczyich zamieszkałych przez liczne koty, ustępuje rozmachowi wielkich inwestycji w stylu „nowohanzeatyckim".

Gdy piszę te słowa, trwa debata o tym, co dalej z budynkiem LOT-u, zaniedbaną, choć potencjalnie widowiskową pamiątką PRL-owskiego modernizmu (urok budynku, dziś oklejonego reklamami, najpełniej widać w środku). Zwolennicy wyburzenia pawilonu widzieliby w jego miejscu rekonstrukcję dawnego hotelu Danziger Hof. To niebezpieczna twarz ducha miejsca: potrafi uwodzić nostalgicznymi obrazami, w rzeczywistości oferując jedynie makiety i maski. ©

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 28/2020
REDAKCJA: Monika Ochędowska | PROJ. GRAF. Marek Zalejski
FOTOEDYCJA: Grażyna Makara, Edward Augustyn | SKŁAD: Zuzanna Kardyś
OKŁADKA: Anna Prusiewicz, Renata Surowiec / Do lasu

PARTNER WYDANIA: Kraków

JAN

Klata:
Bitwa nad Bzdurą

Cieszę się, cieszymy się, cieszmy się – my, Polki i Polacy – że coraz mniej obawiamy się tego wirusa, tej pandemii, już teraz nie trzeba się bać i to jest dobre podejście do urn, zwłaszcza bez kolejki. Tłumnie. Bo przecież są gorsi od koronawirusa – znaczy, oczywiście nie nasza obecna władza jest gorsza, ale ta nieobecna. Dlatego idźmy, zwłaszcza w grupie powyżej sześćdziesiątki są rezerwy. Bez kolejki, bez ryzyka. Premier i minister-pogromca pandemii zlikwidowali wirusa, nie obawiają się go, a chcieć to móc, patrzaj, Europo, i podziwiaj. Jakby co, czeka kupa respiratorów, sytuacja jest opanowana.

A skoro jest opanowana, to pora zająć się „warszawskimi elitami, które zapychają sobie kieszenie". Salon warszawski to co innego niż Warszawa, dodała Głowa Państwa, która chyba ostatnio przedawkowała „Dziady". Na trzeźwą uwagę dziennikarza, że być może można powiedzieć, iż dr Duda pochodzi z krakówka, ten odpalił: „Ja pochodzę z krakowskiej inteligencji, na mnie krakówek nie głosuje". Jakkolwiek to zdanie rozebrać, wychodzi bzdura. I właśnie nad Bzdurą obóz władzy toczy bitwę o Polskę. Krakowska inteligencja... temat rzeka... Kto to? Czy ci, którzy uczęszczają na Misteria Paschalia? Czy ci, którzy bywają w metropolitalnych MOCAK-ach i Cricotekach? Ci, co kupują (i czytają) książki po księgarniokawiarniach? Ci, co odpowiednio wolno kroczą ulicą Gołębią? Pytania mnożą się niczym prawa rachunku zdań, z którego Głowa Państwa niewiele zapamiętała.

Czy krakówek nie głosuje na Dudę dlatego, że pochodzi, skąd twierdzi, że pochodzi, czyli z krakowskiej inteligencji? Czy też po prostu w Twierdzeniu Dudy nic nie łączy tego, co przed przecinkiem, z tym, co po przecinku? Odpowiedź przyniesie wiatr wiejący od urn oraz przyszłe memuary Andrzeja Dudy, tworzone, kiedy genetyczny potomek krakowskiej inteligencji będzie miał już w końcu dużo czasu do namysłu oraz wolny długopis. Oby niedługo! Takie pióro nie może się marnować. ©

Lektor:
Czytać od nowa

▪ *Ryszard Koziołek*
WIELE TYTUŁÓW
Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2020, ss. 302

„Wzorem – by nie powiedzieć wzorcem – naukowego pisania o literaturze" nazywa tę książkę Marek Bieńczyk. I dodaje, że jest ona przykładem, jak „wyrwać akademicką rozprawę z kleszczy hermetyczności i uczynić z niej prawdziwie humanistyczną refleksję o literaturze i nad literaturą, o jej roli w życiu nie tylko osobistym, lecz przede wszystkim społecznym".
Czytelnik „Tygodnika Powszechnego", z którym Ryszard Koziołek – literaturoznawca, profesor, a od niedawna rektor elekt Uniwersytetu Śląskiego – stale współpracuje, wszystko to wie. „Wiele tytułów" w połowie (drugiej) składa się z poszerzonych wersji tekstów, które pierwodruk miały u nas właśnie.
Chciałem teraz zachęcić do lektury części pierwszej, w której znalazły się szkice ważne, intrygujące, żywe i udowadniające, że analiza dzieła wybitnego ma czasem wiele wspólnego z pracą detektywa.
Najpierw więc polska klasyka: „Lalka" i „Chłopi". Mam przyjaciół, którzy z marszu mogliby wystartować w teleturnieju na temat dzieła Prusa (gdzie te peerelowskie czasy, kiedy podobne teleturnieje organizowano...). O „Lalce" nigdy dosyć, jak bowiem pisze Ryszard Koziołek, błądzenie jest właściwym trybem lektury tej arcypowieści: „Autor steruje nami za pomocą dwóch niedoinformowanych narratorów, którzy do tego stopnia »nie wiedzą«, o czym opowiadają, że można z ich narracji ułożyć fabuły alternatywne".
I badacz taką właśnie fabułę układa, czytając „Lalkę" jako „powieść zemsty, wydobytą zza zasłony krytycznego realizmu", w tle której majaczy widmo hrabiego Monte Christo.
Z doborem uczestników teleturnieju o dziele Reymonta byłoby trudniej. Może więc miast czytać je jako epicką powieść o związku człowieka z ziemią, spojrzeć na nią od innej strony? Dostrzec opisaną z perspektywy konserwatywnej „nieudaną próbę zbudowania podstaw wspólnoty politycznej w obrębie warstwy społecznej, która przez wieki była z polityczności wykluczona"? I zastanowić się zarówno nad rolami, jakie przypisano poszczególnym postaciom, jak i nad funkcją olśniewającej różnorodności stylistycznej Reymontowej prozy?
Wreszcie polecenie trzecie: „Kwadrat afrykański Conrada i Sienkiewicza" oraz „Wybuchowe znaki". Kolonialne dziedzictwo w literaturze i banan rzucony pod nogi ciemnoskórego piłkarza. Rzecz o stereotypach i „krzywdzącej mowie". Trudno o wątki bardziej dziś aktualne... ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Jak post, to w kuchni

Półtora miliarda. Tyle funtów wpompuje brytyjski rząd w kulturę. Teatry, muzea, zespoły muzyczne i lokalne instytucje – spora część z nich musi dostać jakiś zastrzyk, żeby wyrównać straty wynikłe z zamknięcia i móc się otworzyć na pół gwizdka, tzn. z ograniczeniem liczby gości oraz innymi obostrzeniami. Całkowite zamknięcie w takich sytuacjach bywa dla instytucji bardziej opłacalne księgowo, ale to akurat takie miejsca, które zamknięte być nie powinny. Bo ich hibernacja jest nieopłacalna dla nas na dłuższą metę.

Przypomina się apokryficzna anegdota o Winstonie Churchillu, który miał w czasie posiedzenia wojennego gabinetu postawić weto cięciu wydatków na kulturę i rzec przy tej okazji: „to o co się w takim razie bijemy?". Niestety, kustosze spuścizny tego laureata Literackiej Nagrody Nobla, malarza pejzażysty, a także znawcy fermentacji i destylacji nie znaleźli takiego akurat cytatu. Ale ważne, że Boris Johnson, usilnie małpujący Churchilla, miał z kogo brać przykład.

W życiu ludzi budujących swoją tożsamość na bufonadzie bywają jednak chwile powagi. Premier przeszedł dość poważnie zakażenie koronawirusem, trafił nawet na oddział intensywnej terapii. Wyszedł zauważalnie szczuplejszy (przedtem ważył 110 kilo) i odmieniony mentalnie. W niedawnym wywiadzie zadeklarował, że chciałby swój „wspaniały kraj" odchudzić. Choć, jak opowiadał, do pomysłu, iż państwo powinno kształtować dietę, miał dotąd podejście libertariańskie, to teraz sądzi, że jest to *the top one* temat polityki publicznej.

Podatek cukrowy (i „małpkowy", czyli od sprzedaży małych butelek z wódką) to jedna z tych rzeczy, które udało się w Polsce utopić, rozmyć w zamieszaniu pierwszej fazy pandemii. Dla mnie pozostanie *the top one* – nie widzę większego wyzwania dla suwerennej sfery politycznej. Czy jest na to lepszy moment niż teraz, kiedy politycy odczuli na własnej skórze, że opłaca się poważnie traktować lekarzy?

Rzadko oglądam świat dalej, niż pozwalają uchylone drzwi kredensu, w każdym razie nie dotarło do mnie, żeby skuteczne i ekonomicznie bolesne ograniczenie cukru było jednym z tematów końcówki tej kampanii. Oświećcie mnie, chyba że sami udaliście się na cyfrowy post, o którym słyszałem od kolegi – żeby odpępowić się na tydzień od mediów społecznościowych, bo chwilowo ta przestrzeń, zazwyczaj pięknie zbliżająca do siebie ludzi, zieje wzajemną agresją. Wiem z doświadczenia, że nagłe posty i głodówki są w pierwszej fazie niebezpieczne, mam zamiar zachęcić kolegę do terapii zajęciowej w swojej kuchni. Ileż będzie okazji, żeby wykonać okropnie żmudne prace właśnie tak, jak należy, starannie i z pasją do najdrobniejszego szczegółu.

Sporo jest przepisów, które możemy wykonać po łebkach – i często faktycznie tak robimy, przyduszeni pośpiechem, z efektem, który jest „wystarczająco dobry". Ale czy zdarzyło wam się kiedyś czyścić czarne porzeczki do dżemu tak, żeby nie ostała się ani jedna gałązeczka, szypułka czy ten mały dzyndzelek na końcu jagody? I tak kilka tysięcy razy? Albo koperek, kiedy szykujemy go do mrożenia – suszymy kilka porządnych pęczków, a potem pomału, niemal pęsetką, oddzielamy aromatyczną „bródkę" od łodyżek, zamiast siekać wszystko jak leci? A pomidory, kiedy przygotowujemy je na bruschettę: nie tylko trzeba obrać każdy po sparzeniu, ale potem, po pokrojeniu w drobną kosteczkę, trzeba oddzielić wszystkie nasiona razem z ich płynem. Wersja na skróty to przetarcie przez sito, ale wtedy otrzymamy papkę. A przy okazji poproszę jeszcze kolegę na detoksie, żeby bakłażany po pokrojeniu ładnie posolił, docisnął, a potem, kiedy oddadzą płyn, przepłukał i wysuszył. Im mniej wilgoci, tym lepiej się usmażą. Naprawdę jest różnica.

Kto zatem chętny, niech dzwoni do mnie, kuchnię mam sporą, zmieści się wiele osób. Obiecuję krew, pot i łzy. Krew tylko z mięsa, które trzeba dokładnie pooczyszczać z błon. A łzy – wiadomo, od cebuli, nie będziemy przecież płakać nad ojczyzną naszą, kiedy na gazie obiad, najlepszy z możliwych. ©℗

ADOBE STOCK

Jedną z potraw, w których żmudny wysiłek procentuje drobną, ale wyczuwalną różnicą, jest ratatouille. Podstawą jest osobna obróbka każdego z warzyw, które należy starannie przygotować. Paprykę czyścimy z wewnętrznych białych tkanek i nasion, kroimy w paski czy kwadraciki. Cukinię należy pozbawić środka: miąższu z nasionami – w tym celu kroimy ją wzdłuż i każdą połówkę jeszcze raz wzdłuż, potem nożykiem odcinamy nadmiar miąższu, który tylko zamuli smak potrawy. Bakłażana po pokrojeniu na plastry grubości 1 cm kroimy w kostkę, ale tak, by wyrzucić środkową część miąższu. Z cebuli niczego nie usuwamy. Zwykle szykuję warzywa w podobnych proporcjach. Dusimy cebulę jak najwolniej, odstawiamy. Paprykę rzucamy na duży ogień (z niewielką ilością oliwy), kiedy zacznie skwierczeć i pachnieć (ale jeszcze nie węglić się), zmniejszamy ogień i dosmażamy kilka minut. Na kolejnej patelni bakłażana w kostkach dobrze jest przesmażyć na średnim ogniu na sporej ilości oliwy, ok. 5-6 minut. Cukinię – z początku mocno, potem dać jej dojść na małym ogniu pod przykryciem przez kilka minut. Łączymy wszystko na dużej patelni, podlewamy odrobiną pulpy pomidorowej (tak żeby czerwień pomidora pojawiła się tylko jako odcień tła), ogrzewamy krótko wspólnie na średnim ogniu, doprawiając tymiankiem i bazylią, na koniec jeszcze czarne oliwki. Jeśli jest upał i chcemy to jeść na zimno, warto skropić octem winnym (wtedy danie robi się podobne do sycylijskiej caponaty).

ZMYSŁY

ROZMOWA Z CIENIEM

Czy ludźmi nie stajemy się dopiero na tle tego, co nami nie jest? Co nam po byciu człowiekiem wśród innych ludzi?

ADAM ROBIŃSKI

Przebycie tej drogi zajęło jej ledwie 20 godzin. Zaczęło się nagle w poniedziałek wieczorem. Podniosła łeb znad miski i już nic nie było takie jak wcześniej. Ciało wygięte jak leszczynowy badyl, przednie łapy stawiane na skos, tylne wykoślawione i wyraźnie nieposłuszne. Była przerażona. Zrobiła kilka długości korytarza, a potem zawlokła się na kanapę i schowała pod kocem. Zapytałem doktora Google'a, specjalność weterynarz: „Kot chodzi jak pijany". Ale odpowiedzi zbiły mnie z pantałyku, a i ona jakby się uspokoiła. Za to rano trzeba ją było wyciągać z szafy. Nie chciała już nawet wskakiwać na wyższe półki. Nie ruszyła śniadania. Leżała zwinięta w kłębek za stosem butów. W oczach miała popłoch.

Weterynarz najpierw nie mówił nic, a potem wyraźnie ważył słowa. Wreszcie wziął cążki i drżącym głosem wydusił: „Utnę jej teraz pazur, chciałbym zobaczyć dużo krwi". Ale nie poleciała ani kropla, a ona nawet nie jęknęła. Jej oczy mówiły ciągle to samo. Potem wszystko toczyło się jakoś dziwnie szybko. Badanie kardiologa, telefon i diagnoza: zator typu jeździec, potwornie przerośnięte serce, obrzęk płuc. I bardzo jednoznaczna rekomendacja.

Kiedy popołudniu pobiegliśmy ją pożegnać, była naćpana od środków przeciwbólowych. Głaskałem ją i patrzyłem w te kompletnie nieobecne już oczy, kiedy dostawała ostatni zastrzyk. Schowaliśmy ją do pudełka, zawieźliśmy do teściów na wieś i jeszcze przed zachodem słońca pogrzebaliśmy.

Od dwóch dni w domu zamieszkanym przez sześcio- i czterolatka jest jakoś dziwnie spokojnie. Najbardziej brakuje nam chyba tej głowy, którą zawsze wkładała w drzwi, kiedy wracaliśmy ze spaceru. A ja ciągle podświadomie podwijam w nocy kołdrę pod stopy, żeby jej nie kusiły. I wciąż się zastanawiam: czy byłem dla niej dobrym człowiekiem? Przy czym wcale nie chodzi o rozterki skazującego na eutanazję. To raczej wątpliwość: czy mogła mieć inne, lepsze życie niż to w gościnie u nas?

UDO BERNHART / ANZENBERGER / FORUM

Przekonanie o wyższości

Bo czy nie jest tak, że ten ogromny rzeczownik – „człowiek" – powinien być nam potrzebny przede wszystkim w kontaktach międzygatunkowych? Językoznawcy przekonują, że koncepcja człowieczeństwa mogła zrodzić się gdzieś na Stepie Pontyjskim wśród ludów protoindoeuropejskich. Ich płaski jak stół świat dzielił się na dwie równe części, tę zamieszkaną przez bóstwa, istoty z nieba (lingwiści dopatrują się w językach protoindoeuropejskich korzeni łacińskiego „*deus*"), i tę naszą, bliską ziemi. *Hemo, homo, homme, hombre, uomo, om.* A więc człowiek zrodził się w opozycji do bogów.

W polszczyźnie obecny jest od XVI wieku, i – jak podaje w „Słowniku etymologicznym języka polskiego" Wiesław Boryś – jest tak naprawdę złożeniem dwóch innych słów. Rozszyfrowuje je Katarzyna Mazur z internetowej poradni językowej Uniwersytetu Śląskiego. „W jednej z bardziej prawdopodobnych interpretacji przyjmuje się natomiast, że pierwszy człon omawianego rzeczownika (...) łączyć trzeba z psł. *čel'adь*, używanym w znaczeniu rodzina, ród, domownicy, a także służba. Drugi człon (-*věkъ*) miałby z kolei być pokrewny z litewskim wyrazem *vaĩkas*, stosowanym na określenie dziecka, syna lub chłopca, a pierwotnie także każdego, kto należy do rodu".

Ale potem przyszedł Karol Linneusz i poustawiał nas wszystkich w relacji do reszty świata ożywionego. „Człowiek, *Homo sapiens*, istota żywa wyróżniająca się wśród innych najwyższym rozwojem psychiki i życia społecznego, jedyna posiadająca kulturę i zdolna do jej tworzenia" – czytam w internetowej encyklopedii PWN. Trochę mi to jednak burzy punkt widzenia, więc zaraz otwieram drugie okno przeglądarki i żeby zagrać anonimowemu autorowi hasła na nosie, wyszukuję artykuł z „Nature Ecology & Evolution". „Zdolność do tworzenia i kultywowania związków społecznych pozwoliła ludziom na skolonizowanie prawie każdego ekosystemu i środowiska na naszej planecie. Wieloryby i delfiny, które również posiadają wyjątkowo duże i anatomicznie zróżnicowane mózgi, zbudowały podobną kulturę w wodzie" – mówi dr Susanne Shultz, współautorka badania z 2017 r. W myślach wysyłam PWN-owi erratę: „Człowiek, *Homo sapiens*, istota żywa wyróżniająca się wśród innych przekonaniem o swoim najwyższym rozwoju psychiki i życia społecznego...".

Gwarne targowisko

We wspaniałej książce „Braiding Sweetgrass" (o której już na tych łamach wspominałem, i pewnie jeszcze mi się to kiedyś przydarzy, bo to studnia bez dna) biolożka Robin Wall Kimmerer pisze o praktykowanym wśród rdzennych mieszkańców Ameryki Północnej „honorowym zbieractwie".

To nie są żadne spisane reguły czy dekalog. Raczej zbiór intuicyjnych zasad, których należy przestrzegać w lesie. Zasada pierwsza, do wdrożenia natychmiast, na poziomkach, jagodach lub grzybobraniu: nigdy nie zrywaj pierwszej rośliny, którą znajdziesz, bo może być ostatnią w okolicy i skażesz ją na wymarcie. Poza tym jeśli ją oszczędzisz, będzie o tobie dobrze mówiła swoim współziomkom.

Ktoś powie: ryzykowna argumentacja, od śmierci kota do gadających roślin. Jasne, nikt nie ma wątpliwości, że ten pierwszy potrafi pierwszorzędnie komunikować swoje potrzeby, a ze swoim opiekunem (bo przecież nie wypada mówić: właścicielem) często rozumie się lepiej niż niejedno małżeństwo. Człowiek w jednej chwili chwyta, kiedy chodzi o jedzenie, kiedy o wyjście na balkon, a kiedy czworonogowi należy dać święty spokój. Ale – i to już wcale nie jest dla nas tak oczywiste ↦

↦ – również botanicy nie zastanawiają się, czy rośliny przekazują sobie jakiekolwiek biochemiczne sygnały. Zamiast tego nauka stara się zrozumieć, jak to robią.

Na YouTubie można obejrzeć, jak w ramach wykładu z serii TEDx Suzanne Simard szczegółowo tłumaczy, o czym w lesie deszczowym strefy umiarkowanej rozmawiać mogą brzoza z daglezją. Simard to kanadyjska naukowczyni, która jako pierwsza za pomocą szkiełka i oka przyłapała drzewa na porozumiewaniu się. Dzięki jej badaniom wiemy dziś choćby to, że sieć mikoryzowa, łącząca strzępki grzybni z korzeniami roślin, zamienia ów las w gwarne targowisko.

Dlaczego tak nas to dziwi? Być może w trakcie budowania owej – jak kłamią nasze encyklopedie – jedynej kultury straciliśmy pewną powszechną wiedzę o świecie. I teraz, aby przywrócić ją świadomości, musimy ją ogłaszać w sensacyjnym tonie na łamach poważnych publikacji naukowych.

Tak twierdzi David Abram – amerykański filozof, performer i magik, który w latach 80. ubiegłego wieku przeniósł się najpierw na Bali, a potem do Nepalu, by w jednym i drugim miejscu terminować u lokalnych szamanów. Chodziło mu o wymianę doświadczeń, coś w stylu: pokażę wam, jak wyciągnąć królika z kapelusza, jeśli wy opowiecie mi o swoich rytuałach. Przyjęto go z otwartymi ramionami, a on – z uformowanym przez uniwersytet umysłem – próbował przełożyć swoje obserwacje na język zachodniej kultury.

Inteligencja magika nie ma swojego źródła we wspólnocie, w której ów żyje, pisał potem w książce „The Spell of the Sensuous". Jej miejsce znajduje się na marginesie owej społeczności, gdzie mediuje między nią a większą społecznością istot, od których zależy dobrobyt i przetrwanie wsi. Szaman jest więc pośrednikiem między ludźmi a ekosystemem, jego rolą jest dbanie o płynny, dwustronny przepływ dóbr pomiędzy krajobrazem a jego mieszkańcami. Tę wzajemność zapewnia szereg rytuałów, transów i ekstaz. To, jak wiele z przyrody pozyskamy na własny użytek, wymaga uprzedniego uzgodnienia z kimś, kto jak nikt zna teren i jego zasoby.

A więc szaman czy zielarz nie jest żadnym magikiem, tylko skarbnicą wiedzy o okolicy. Jego mądrość sprawdzi się tylko w miejscu, w którym się wcześniej ukorzenił. Przeniesiony „na inną parafię", będzie się musiał uczyć od zera. W tym sensie magia jest tylko świadomością współistnienia w świecie, na który składa się wiele różnych perspektyw i inteligencji, a każda z nich – od jaskółki po źdźbło trawy – odczuwa świat zmysłami. Dary składane na Bali duchom okazują się pokarmem dla łakomych mrówek, który ma utrzymać je z dala od domostw.

Nie potrafimy już patrzeć na litery wyłącznie jak na graficzne znaki, za którymi nie kryją się żadne sensy. **Drukowane zawijasy są dla nas nośnikiem mądrości,** tak jak dawniej były nimi dęby, kruki czy gwiazdy.

Czym jest rzeka

W pisaniu Abrama mnóstwo jest wątków z klasycznej fenomenologii, ale jeszcze więcej wytyczania nowych szlaków w głębokiej ekologii. Głębokiej, a więc takiej, która za cel stawia sobie przeformułowanie naszego miejsca w szeregu innych bytów, a nie tylko walkę o filtry spalin na kominach elektrowni czy renaturyzację mokradeł.

To Abram jako pierwszy użył sformułowania „*more than human world*", świat więcej niż ludzki lub po prostu pozaludzki, które dziś weszło na stałe do retoryki antropocenu. On też stawia prowokacyjną tezę, jakoby od ziemi – dosłownie i w przenośni – oderwał nas alfabet.

Kiedy otaczający nas krajobraz zamieszkiwały rzesze bogów i nadprzyrodzonych istot, wiedza o nich przekazywana była z pokolenia na pokolenie ustnie – w historiach, przestrogach, magicznych formułach. W IV wieku przed naszą erą, gdy w czasach Platona alfabet wszedł do powszechnego użycia w Atenach, nasze myślenie o świecie przestało opierać się na jego widzialnych kształtach, wymiarach, barwach. Zaczęliśmy używać abstrakcyjnych pojęć, które odłączyły nasz język od tu i teraz. Rzeka nie oznaczała już konkretnej wody płynącej od sprecyzowanego źródła do mierzalnego ujścia. Nie była wodą, którą pijemy, w której się kąpiemy i pierzemy nasze ubrania. Rozmowa o niej stała się obracaniem na lewo i prawo abstraktu, nieokreślonego bytu o nieokreślonym źródle i takim samym ujściu. To wszystko ma, zdaniem Abrama, tragiczne konsekwencje dla współczesnego świata.

Debatując nad grodzeniem rzek zaporami czy wpuszczaniem ich w zabetonowany kanał, nie jesteśmy dziś świadomi, że na szali znajduje się nasz własny dobrostan. Zastanawiamy się, jak dobrać się do gałęzi, na której wszyscy siedzimy, bo nie czujemy jej chropowatej kory pod własnymi pośladkami.

„Charakterystyczna dla animizmu skłonność do przypisywania nieregularnym kształtom głazów wymownego sensu, lub do wchodzenia w dialog z sowami czy chmurami, mogłaby zostać zbyta jako halucynacja czy fantazja, gdyby nie to, że takie uczestnictwo w krajobrazie było wynikiem czystej percepcji, kreatywnej współpracy naszych zmysłów" – pisze Abram. A więc szczególnie mocno ukorzeniało nas w ziemi przede wszystkim to, co działo się na skrzyżowaniu zmysłów, głównie wzroku i słuchu: szmer osiki i przedziwny kształt eratyka albo grzmot i ciemność burzy. Rzeka była szeroka, głośna, zimna i mokra. Nie była natomiast pięcioliterowa.

Abram idzie w swoim wywodzie dalej – twierdzi, że jeśli nie słyszymy już głosu kamieni czy drzew, to dlatego, że w naszych głowach wciąż dudnią inne. Jakie? Zdaniem filozofa, pewną odpowiedź mogą dać relacje antropologów z różnych stron świata, którzy konfrontowali się z plemionami praktykującymi przekaz oralny. Ludzie z tych plemion na widok książki mówili o gadających liściach – „bo czarne znaki umieszczone na płaskiej, liściopodobnej powierzchni zdawały się mówić prosto do głowy tego, kto znał sekret ich działania".

Wyczaruj czaplę

Szczególna przewrotność ujawnia się w języku angielskim, gdzie *spell* może być czasownikiem oznaczającym literowanie, ale również najzwyklejszym, najprawdziwszym zaklęciem. Dziś ta wieloznaczność może się nam wydawać bez większego związku, a jednak czymże jest ustawianie liter w odpowiedniej kolejności, jeśli nie powoływaniem się na magiczną moc alfabetu?

A więc litery jako magia – książka jako animistyczny obiekt kultu. Czytając, oddajemy jej cześć. Nie potrafimy patrzeć na litery wyłącznie jak na graficzne znaki, za którymi nie kryją się żadne sensy. Drukowane zawijasy są dla nas nośnikiem mądrości, tak jak dawniej były nimi dęby, kruki czy gwiazdy. Gdyby kolejny akapit tego tekstu był bezsensownym bełkotem, plątaniną sylab z nikomu nieznanego języka, czytelniczki i czytelnicy nie podziwialiby, jak kółko z kreseczką u góry pasuje do szlaczka, który jest żywcem wziętą z nocnego nieba Kasjopeą. Zamiast tego w redakcji „Tygodnika" pewnie rozdzwoniłyby się telefony z grzecznymi sugestiami, że być może autorowi kot usnął na klawiaturze (to, niestety, niemożliwe), redaktorowi wylało się espresso, korektor postanowił wszystkim zrobić psikusa albo jest to sprawka konkurencji, której wciąż ubywa czytelników.

Oto i najważniejszy wniosek kilkusetstronicowego wywodu Abrama: być może tak kiepsko dogadujemy się dziś ze światem pozaludzkim, bo jeden animizm zamieniliśmy na inny, zupełnie od tego świata oderwany. W powszednim naszym otoczeniu widzimy jedynie pozbawiony sensu akapit. Szereg niemych znaków i kształtów. Owszem, czasem doceniamy jego powierzchowność, pochylamy się w zadumie nad zestawieniem poszczególnych składowych czy paletą barw. Ale wcale nie słyszymy już jego głosu. Krajobraz milczy, a nam się wydaje, że to naturalna kolej rzeczy.

Nie wiem, czy byłem dla kotki dobrym człowiekiem. Kiedy piszę te słowa, mam przed oczami wszystkie sytuacje, gdy zamykałem przed nią drzwi lub spychałem ją z kolan, żeby w spokoju – o zgrozo! – poczytać książkę. Wsłuchać się w abstrakcyjne, odległe głosy, podczas gdy ten konkretny, zrodzony z żywej istoty, wibrował tuż przy moim uchu. Praktykować kult literatury. Patrzeć na czarne na białym, dotykać gładkiej powierzchni papieru, a resztą zmysłów przejść w stan uśpienia. Nie wąchać, nie słuchać, nie smakować. Konsumować świat w kilkudziesięciu tylko procentach.

Pięć hydrantów

Jedną z największych sensacji wydawniczych ostatnich lat w Wielkiej Brytanii stała się ogromna, przerastająca typowe regały księga zaklęć dla dzieci autorstwa pisarza Roberta Macfarlane'a i artystki Jackie Morris. Bodźcem do jej powstania było wymazanie z nowych wydań młodzieżowego słownika kilkudziesięciu słów związanych z przyrodą. Zastąpiono je slangiem technologicznym. Czat za skowronka, serwer za paproć, tweet za wydrę.

Zaklęcia miały odwrócić ten haniebny proceder. Czytelnik literuje d a n d e l i o n, by na kolejnej stronie wyczarować kwietną łąkę pełną mniszka lekarskiego. Kiedy wypowie rzeczownik h e r o n, spomiędzy kart wyleci czapla z dziobem ostrym jak sztylet.

„The Lost Words" stały się bestsellerem, a w internecie ruszyło kilka publicznych zbiórek. Ich pomysłodawcy chcieli kupić po egzemplarzu m.in. dla każdej szkoły i biblioteki w Wielkiej Brytanii, od Szetlandów i Hebrydów po Dover i Plymouth. Chyba im się udało. Przy czym dorośli i seniorzy okazali się zainteresowani książką w takim samym stopniu jak dzieci. I nie była to chyba gonitwa za powidokami dzieciństwa, ale szczera chęć naprawienia pewnego błędu.

Najlepszych argumentów na słuszność tez Abrama dostarczają nam nasze dzieci. Mali, wiecznie brudni analfabeci. Żyją bliżej ziemi nie tylko dlatego, że mają krótsze nogi i często kucają. Przede wszystkim dlatego, że nie brzydzą się brać ją między palce. Ich buty zawsze są pełne piasku, a kieszenie – ptasich piór i kamieni. Bo patrząc, łowią również te detale, które w późniejszym życiu będą pomijać jako oczywistość. Bo słuchają i dotykają. Bo nigdy nie przyjdzie im do głowy, że polizanie liścia może być czymś niestosownym. Bo już stuletnie drzewo jest dla nich gigantem, a mrówka czy biedronka – kompanem do zabawy.

ADAM ROBIŃSKI

Kotka Lara

Ta otwartość rzadko kiedy prowadzi je na manowce. Jak w książce „On Looking" („O patrzeniu") pióra amerykańskiej dziennikarki Alexandry Horowitz, która w czasie urlopu macierzyńskiego zapragnęła odnowić znajomość z Nowym Jorkiem. Sposobem na to miało być jedenaście spacerów po mieście, każdy odbyty w towarzystwie innego eksperta. Geolog opowiedział jej o kamieniach, z których zbudowano tamtejsze budynki i chodniki. Typograf – o tym, co mówią o nowojorczykach umieszczone w przestrzeni publicznej napisy. Oczami entomologa zobaczyła metropolię owadów, urbanista odsłonił przed nią reguły rządzące przepływem mas ludzkich.

Najbardziej owocny był dwunasty spacer, na który zabrała półtorarocznego syna. Dała się prowadzić. Oczywiście nie zaszli daleko. Ale to dzięki synowi dowiedziała się, że na jej ulicy stoi pięć hydrantów, pięć wieżowców, a większość parkujących przy niej aut jest biała. Przy okazji odbyła też dziesięciominutową rozmowę z własnym cieniem.

Jaką puentę powinien mieć ten tekst, żeby nie wybrzmiał jak oda do wtórnego analfabetyzmu? Z góry skazana na porażkę, bo przecież spisana. Apelowanie do rezygnacji z czytania byłoby zbrodnią. Choć czasem może faktycznie lepiej odłożyć książkę i zamiast niej wąchać brzozy po deszczu (pachną jak whisky). Albo chociaż przeformułować własny słownik i niektórym słowom nadać trochę węższe znaczenie. Skojarzyć rzekę z Wisłą, Pasłęką lub Nidą. *Felis vulgo catus, Felis silvestris domesticus*. Nie znam już takiego zwierzęcia jak kot. Znam za to Larę, szarą, pręgowaną trzylatkę o gęstej sierści, która mruczy jak australijskie didgeridoo, lubi łazić po parapecie za kuchennym oknem, chować się pod dywanem w pokoju dzieci i włazić mi na brzuch, gdy tylko padnę na kanapę. Która zawsze wkłada głowę w otwierane drzwi. Której kłaki wciąż znajduję w zagłębieniach fotela.

© ADAM ROBIŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz: *Krakowiaczek jeden*

Wyznanie prezydenta, że „pochodzi z krakowskiej inteligencji, a krakówek na niego nie głosuje", wywołało zaskoczenie, zamieszanie, liczne interpretacje i oczywiście spory. Czym oto jest inteligencja jako formacja, czym jest krakowskość, a czym jest krakówek? Wiele wskazuje, że te dość proste terminy okazały się nagle bardzo trudne do zrozumienia, i że są ludzie – np. z Krakowa – którzy nic z tego zestawu i zastosowanych w nim opozycji nie rozumieją. Gdzieś wcześniej prezydent użył określenia „warszawka", co chyba znaczy, że doradcy znaleźli w krakówku i warszawce potencjał grozy, a w pochodzeniu z krakowskiej i inteligenckiej rodziny jakiś powabny argument dla wyborców.

Prawdopodobnie chodziło o oskrzydlenie rodzinnymi, krakowsko-warszawskimi afiliacjami konkurenta pana Dudy w wyborach. Mamy więc do czynienia z karkołomną próbą własnego równoczesnego wpisania się i natychmiastowego wypisania z jakiegoś klubu, do jakiejś klasy bądź sfery. Bóg wie skąd dokąd. Z próbą – niezbyt chyba dla mas czytelnego – ataku na konkurencję.

Zaraz zresztą zaczęto uczytelniać te, jak się okazało, inwektywy. Doradcy pana Dudy polecili mu tłumaczyć, że oto krakówek i warszawka to jest zamożny i rozwydrzony, wypełniony celebrytami salon, który ograbił do cna prosty lud, w tym – jak można chyba mniemać – zacne krakowskie inteligenckie rodziny, znane z nieudolności życiowej. Łza się w oku kręci, i że się kręci, to mało powiedziane, Duda jest kolejnym polskim politykiem odmawiającym inteligencji polskiej jakiejkolwiek sprawczości, gibkości, zaradności, cwaniactwa, zdolności do wyjścia na celebrycką ściankę czy zrobienia sobie *selfie* innego niż z jakąś muzealną mumią. Inteligencja, jak była, tak i jest teraz symbolem zakurzenia i prowincjonalnego oglądu świata.

Trudno, niech się kurzy, wypadałoby rzec. Jest jednak coś w inteligencji – w tym krakowskiej – niewziętego pod uwagę w kalkulacjach obecnego prezydenta i jego doradców. Jest to mianowicie ostrożny sceptycyzm, by nie powiedzieć: umiarkowana wiara w gusła. Kolega pana Dudy bez poczucia obciachu orzekł ostatnio pod jakimś świętym dębem, że choroba wirusowa została zwalczona i że jest bezpiecznie. Że starcy powinni stanąć masowo w kolejkach do urn. Z jego tonu wynikało nawet coś więcej: że wizyta w lokalu wyborczym będzie miała cudowne właściwości lecznicze. Że każdy chory powinien spróbować. Powiedział on coś takiego, mimo powszechnie dostępnych danych, że mianowicie nie ma mowy o ustępowaniu epidemii. Otóż inteligencja, zwłaszcza krakowska – jeżeli mamy z panem Dudą na myśli tę samą formację i tych samych ludzi – nie przyjmie w tym guście opowieści jego przemiłego i optymistycznego w każdym wymiarze kolegi, że wirusy zwalcza się za pomocą siły woli narodu. To jest po prostu nie do przeskoczenia. Inteligencja krakowska ma wiele wad, ale tej nie weźmie na swe zupełnie niecelebryckie piersi.

Słowem: do niegłosującego nań krakówka pan Duda powinien dopisać prawdziwie inteligencki Kraków. Zresztą jego krakowskie wyniki w pierwszej turze mówią same za siebie.

Wróćmy na chwilę do krakówka i warszawki. Oba określenia stosuje się do niewielkiej części mieszkańców Krakowa i Warszawy, to wie każdy, a żadne – tak naprawdę – nie było i nie jest inwektywą, jak się to czasem wydaje prowincjuszom. Jest w obu wielki ładunek pobłażliwości i lekceważenia, a zarówno krakówek, jak i warszawka określają tak same siebie. Próba zrobienia z krakówka i przedstawicieli warszawki krwawych ciemiężycieli ludu polskiego jest dość groteskowa.

I na koniec zdanie bardzo krakowskie: dorosły człowiek kandydujący na godność nie tylko w państwie najwyższą, ale jakąkolwiek, wyrażający się publicznie tak wulgarnie o współobywatelach, powinien mieć świadomość, że to bardzo nieładnie. Kandydat, któremu tak potrzebne są w wyborach głosy, czyjekolwiek, powinien być dobrze wychowany i po prostu grzeczny. Do widzenia panu. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

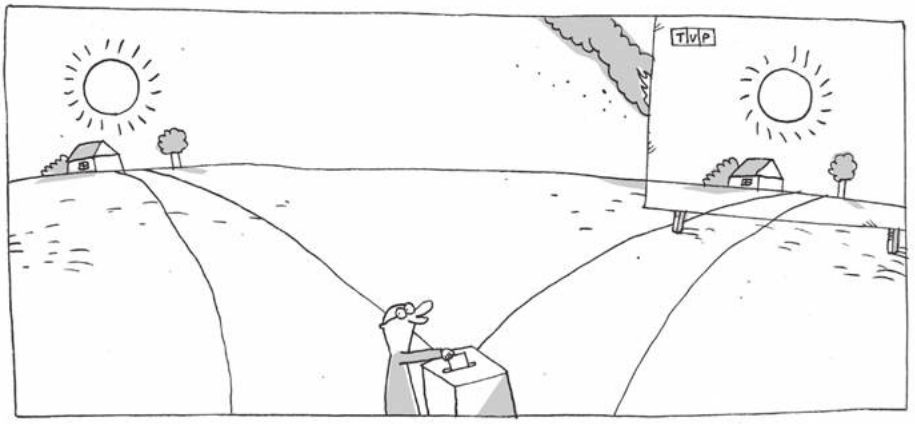

TYGODNIK POWSZECHNY

Spróbuj na lato zostań na lata

Kup prenumeratę „Tygodnika Powszechnego” w ofercie #lato

- otrzymasz 13 numerów pisma – pod wskazany adres bez dodatkowych kosztów wysyłki

  oraz GRATIS

- natychmiastowy 3-miesięczny dostęp online o wartości 50 zł

~~170~~ → 120 zł!

Nie przejmuj się zasięgiem – czytaj jak chcesz, gdzie chcesz i kiedy chcesz dzięki połączeniu wydania papierowego i cyfrowego na #lato

Sprawdź szczegóły oferty i kup na powszech.net/lato

Kontakt w sprawie prenumeraty:

Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 668 479 075
lub e-mail: prenumerata@tygodnikpowszechny.pl
– wydania drukowane

Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101
lub e-mail: kontakt@powszechswiat.pl
– wydania cyfrowe

Regulamin prenumeraty i promocji na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

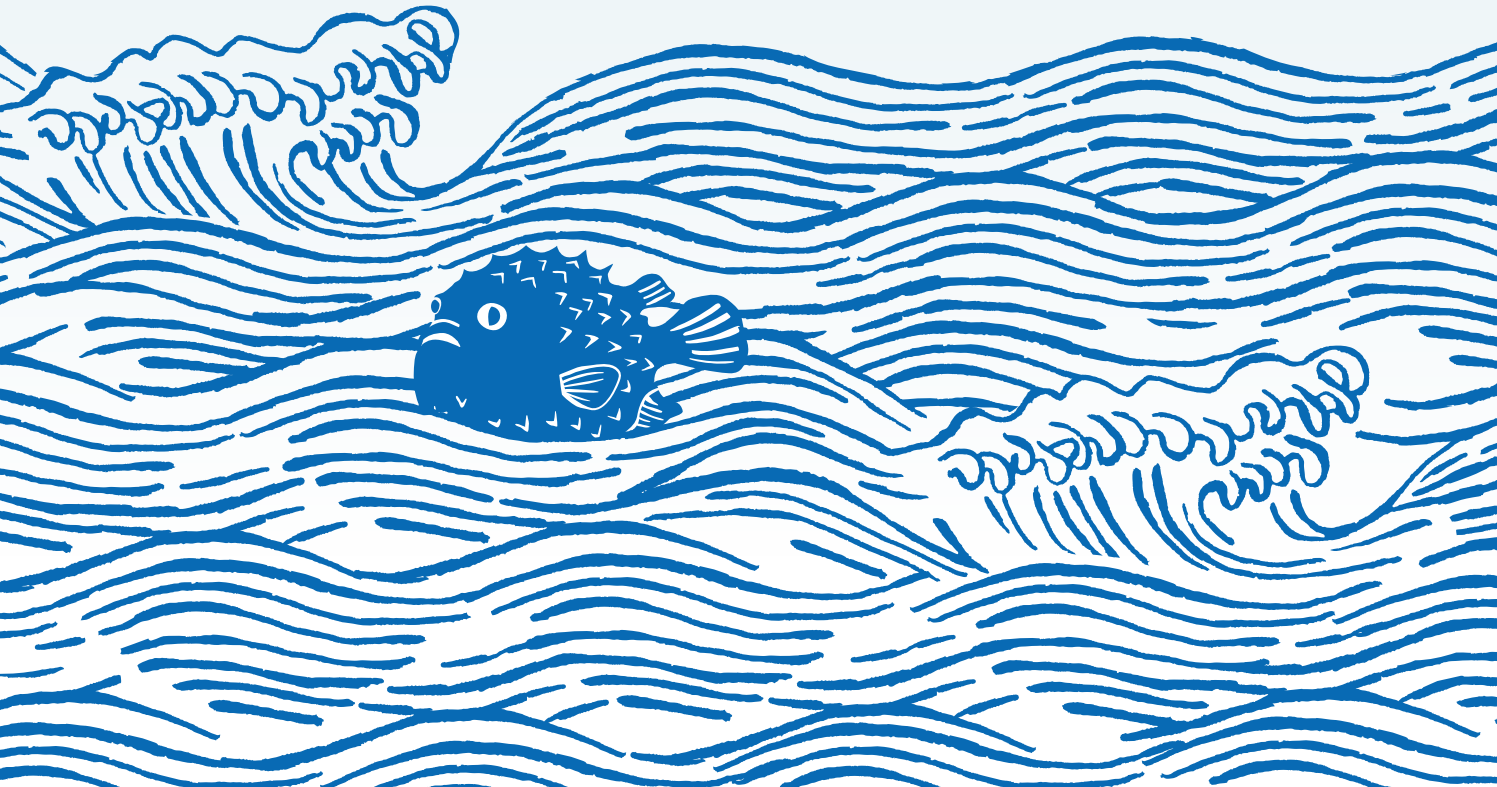

REKLAMA

xABo KSIĄDZ BONIECKI

xABo

W KINACH

SCENARIUSZ I REŻYSERIA ALEKSANDRA POTOCZEK
PRODUCENT ALEKSANDER KARDYŚ PRODUCENT WYKONAWCZY AGNIESZKA ISKRA
ZDJĘCIA ADAM PALENTA, SZYMON SINOFF KIEROWNICTWO PRODUKCJI LIDIA BARANKIEWICZ
MONTAŻ MARCIN SUCHARSKI DŹWIĘK TOMASZ KOCHAN MUZYKA HANIA RANI

PRODUKCJA:
FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO
tvn
kbf

WSPARCIE:
Kraków
MAŁOPOLSKA
Kraków

SPONSOR GŁÓWNY:
WYŻSZA SZKOŁA INFORMATYKI I ZARZĄDZANIA

SPONSORZY:
GRUPA ERGIS

PARTNER:
TYGODNIK POWSZECHNY

DYSTRYBUCJA:
GF

PATRONI MEDIALNI:
onet
FILMWEB
PANI
wysokie obcasy
TOK FM

FOT. MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA TYGODNIKA POWSZECHNEGO